



# — WIDZĄCY —

FRANCISZEK M. PIĄTKOWSKI

- WIDZĄCY -

# - WIDZĄCY -

FRANCISZEK M. PIĄTKOWSKI

© Copyright by Franciszek M. Piątkowski, Lublin 2019

Projekt okładki: Marta Żurawska

Skład i łamanie: Karolina Szustak

Patronat medialny: Oliwolumin

Druk i oprawa:

Drukarnia Akapit sp. z o. o.

ul. Węglowa 3

20-481 Lublin

# Prolog

Było przerażająco cicho. Niewyobrażalnie cicho. Tak cicho, jakby to miejsce istniało wyłącznie w celu zaprzeczenia istnienia dźwięku i dodatkowo uszczelniono je watą. Do tego wszystkiego nie było tutaj niczego. Absolutna pustka. Tylko szary, skalisty, równy jak stół płaskowyż, który rozciągał się jak okiem sięgnąć. Wzrok nie natykał niczego, co mogłoby choć na chwilę zakłócić obserwację idealnie płaskiej równiny i linii horyzontu.

Ta obserwacja widnokregu wokół własnej osi obserwującego, kończyła się nagle na obu końcach widzialnego półkola, ścianą nieprzeniknionej mgły wyrastającej niemalże na krawędzi stromego urwiska. Wszystko to nakrywała kopuła burego nieba.

Tuż nad przepaścią stała w bezruchu potężna, wysoka jak gnieźnieńskie wały, czarna, posępna postać. Mroczny wojownik trwał w pełnym rynsztunku, wspierając się na monstrualnym, równie czarnym, jak on sam, mieczu. Uważny obserwator mógłby jednak zauważyć, że ramiona postaci delikatnie i miarowo to wznoszą się lekko, to opadają. Ponury wojownik najwyraźniej głęboko spał.

Nagle z gęstej mgły wysunęła się powoli szponiasta dłoń, a za nią wielkie jak tur ramię. Przerażająca łapa namacała krawędź urwiska, po czym z oparów wychynęło drugie ramię. Po chwili, w ślad za ramionami, wynurzył się potworny rogaty czerep, a za nim i reszta cielska osadzonego na grubych jak dębowe pnie nogach.

Gigant, który wychynął właśnie z mgły przepelzył na czworakach kilka metrów, po czym powoli, chwiejnie wstał i wyprostował się. Wzrostowi dorównywał śpiącemu wciąż wojownikowi, ale na tym podobieństwo się kończyło. Przybysz przedstawiał obraz nędzy i rozpacz, a po obu bokach jego głowy ziały wielkie rany. Nowoprzybyły posłał ponuremu wojownikowi przeciągłe spojrzenie, po czym ruszył powoli przed siebie.

Długo, bardzo długo po tym, kiedy tamten zniknął za horyzontem, śpiący ocknął się. Przez chwilę toczył po okolicy wzrokiem, aż zatrzymał spojrzenie na nieco zatartych śladach w szarym pyłe. Chwilę później ryknął ogłuszająco, aż zatrzęsała się ziemia.

\* \* \*

Piękna dziewczyna siedziała w cieniu rozłożystego dębu rosnącego na szczycie wzgórza. Oparta o gruby pień z aprobatą obserwowała treningową walkę dwóch młodzieńców.

– Bardzo pięknie sobie radzicie chłopcy! – zawołała do młodzieńców podobnych do siebie jak dwie krople wody.

Nagle zza drzewa o które była oparta, wychyliła się szkaradna głowa, a za nią pokraczny tułów.

– Nie musisz się skradać Pereplucie. Słyszałam cię już od paru minut – rzuciła dziewczyna wesołym głosem.

– Wła-aaa-ściwie to się nie skra-aaa-dałem tym ra-aaa-zem – zaskrzeczał stwór. – Za-aaa-stanawiałem się tylko, ja-aaa-ak ci to po-ooo-owiedzieć.

Dziewczyna zerwała się na równe nogi. Jąkanie Perepluta w Prawii, w jego własnym domu, zawsze wróżyło kłopoty.

– Skoro TY zastanawiasz się jak mi to powiedzieć, to spodziewać się mogę najgorszego – powiedziała ponuro do przyjaciela. – Co się stało?

– Tro-ooo-ojan uuu-uciekł – zaskrzeczał stwór, a jego wykrzywiona twarz wykrzywiła się w imponujący sposób.

Zielone oczy Miłej stały się okrągłe jak spodki.

– Jak to uciekł? – szepnęła przerażona. – A Nyja?

– Nyja za-aaa-asnął. Tro-ooo-jan uuu-uciekł.

– Jak to zasnął?! Przecież Nyja nigdy nie śpi!

– No właśnie... Nie wiadomo jak. Chyba ktoś go uśpił – zaskrzeczał stwór już normalnie. Najwyraźniej zrzućenie z siebie ciężaru tej wiadomości dobrze mu zrobiło.

– Bogowie... jak to uśpił?

– Sam raczej nie zasnął.

– Ktoś pomógł temu potworowi wydostać się z Pustki???

– Na to wygląda – Pereplut skrzywił już i tak przesadnie pokrzywioną twarz.

– Kto na wszystkich Bogów???

– Właśnie nie wiadomo kto to zrobił.

– Któryś z wieszczych?

– Z pewnością nie. Nawet nie zbliżyliby się do Nyji. Poza tym wszystkich siedmiu siedzi teraz w Czarnym Lesie. Coś kombinują, ale to na pewno nie ich sprawa.

– Jakiś koszmar... Kiedy to było? Strzybóg wie?

– Właściwie to nikt jeszcze nie wie. Siemargł wywąchał zapach Trojana nad Bylicą. Prawdopodobnie przez pewien czas płynął łodzią z nawką, a potem ślad się urwał. Siemargł natychmiast odszukał Nyję, bo własnym zmysłem nie chciał uwierzyć. Okazało się, że Nyja niczego nie pamiętał. Obaj wrócili do Prawii. Siemargł wysłał mnie do ciebie, a sam z Nyją udali się do Grodu Świętowita.

– Czyli nie wiadomo gdzie on teraz jest?

– Wiadomo, że dotarł do Nawii.

– I pewnie tam zniknie nabrać sił.

– Pytanie na jak długo – skrzeknął ponuro Perepłut.

– Niech to czarci chwycą! – wysyczała Miła przez zęby. – Jeszcze nam tego brakowało. Lel! Polel! – zawołała w kierunku młodzieńców, którzy nadal mocowali się ze sobą.

Bracia natychmiast podbiegli do Miłej i synchronicznie się uklonili.

– Biegnijcie pędem do Strzyboga i przekazcie mu, że Trojan uciekł – powiedziała po cichu demonica. – I żaden pary z ust.

Bliźniacy spojrzeli po sobie i kiwnęli równocześnie głowami. Poza tym nawet jeden mięsień nie drgnął im na twarzy.

– Lelu, Polelu – ciągnęła Miła – macie zmijów i płanetników pod sobą. Niech wszyscy go wypatrują we wszystkich dziedzinach. Tam dokąd mogą dotrzeć w Nawii, w Prawii i Jawii. Wszędzie. Może gdzieś wypełźnie. I dopóki wam nie powiem, to nie wiecie o niczym. Zrozumiano?

– Tak kniahini! – odparli chórem, a następnie pokłonili się demonicy i ruszyli sprintem w dół zbocza. Po chwili zniknęli w towarzystwie głośnych tąpnięć. Miła odprowadziła ich wzrokiem, a gdy zniknęli z wściekłości zacisnęła pięści.

– Niech to wszyscy czarci chwycą!!! – wrzasnęła tym razem, aż Perepłut skulił się lekko. – Najpierw Weles zaczął wymyślać, potem ten cholerny Biezdar zaczął szaleć, a teraz zdarzyło się najgorsze, co mogło się stać! Przecież to oznacza... – urwała i z przerażeniem równym jej wściekłości spojrzała na Perepłuta.

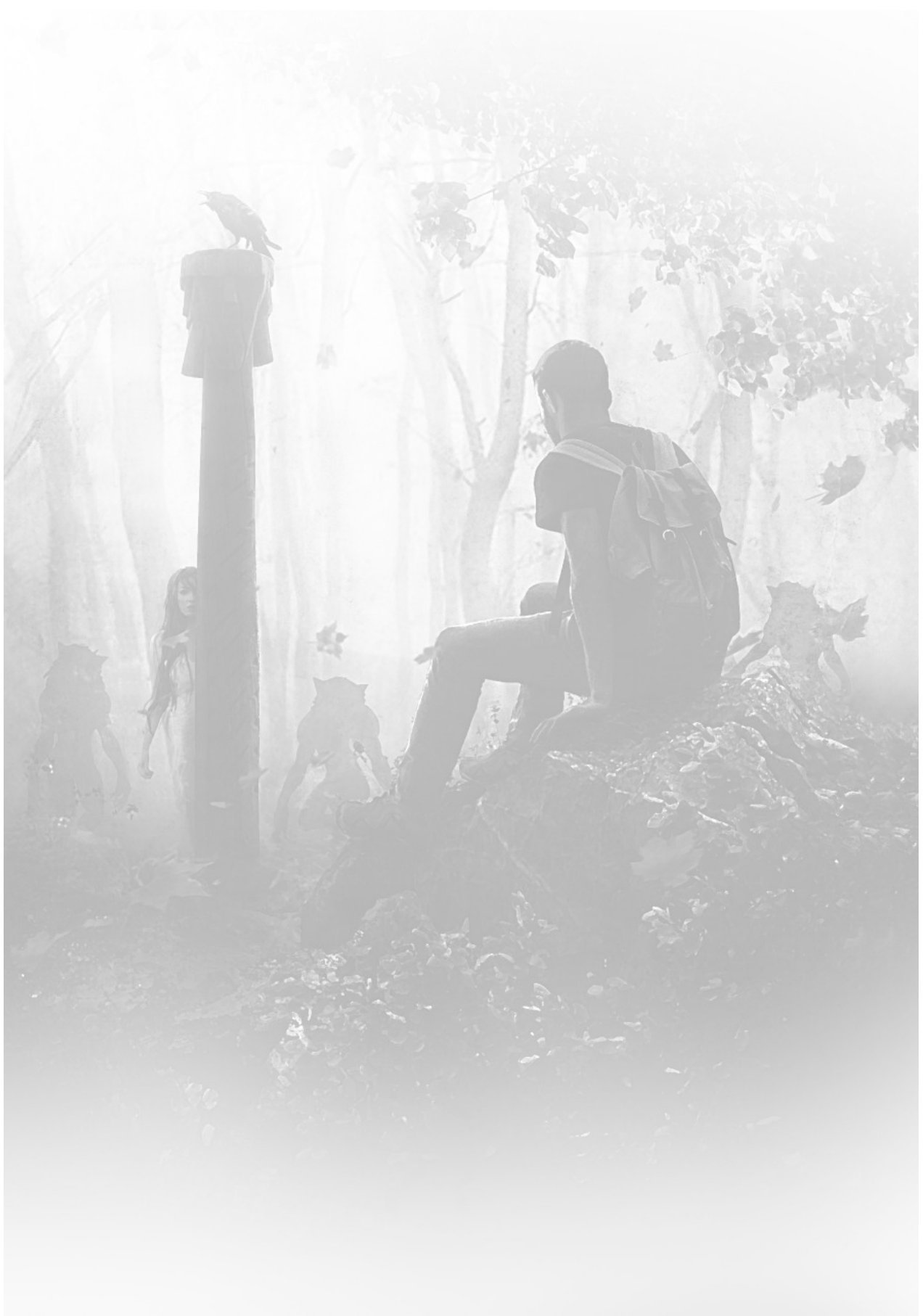
– ...Wróżdę – dokończył stwór grobowym głosem. – Nawia, Jawia i Prawia już nie będą takie same.

– O ile w ogóle będą – rzuciła równie ponuro Miła. – Wracaj do Siemargła. Pomyślcie, co teraz. Ja muszę zobaczyć się z Widzącym.

Perepłut rozplynął się w powietrzu. Miła została sama.

– Jeszcze do tego wszystkiego brakowało Trojana!





# Rozdział I

Nie jesteśmy sobą, zamordowano nam rodziców, zmieniono imiona, wymazano pamięć, skazano na cudzość.

Monika Rudaś-Grodzka – Słowiańszczyzna.

Pamięć i zapomnienie w wykładach Adama Mickiewicza

i powieściach Józefa Ignacego Kraszewskiego,

„Konteksty” 2003, nr 1–2, str. 224.

– Ahh – westchnął z lubością.

Nareszcie jest! Była idealna. Wysoka, zgrabna, długowłosa brunetka. Dziś wyglądała szczególnie atrakcyjnie. I tak pięknie pachniała! Naczekał się na nią długo. Będzie wspaniałą zdobyczą...

Przyczajony w ukryciu patrzył jak nerwowo poprawiała żakiet wychodząc z kamienicy, a teraz jak idzie pośpiesznie w dół ulicy z telefonem przy uchu. Szła prosto w jego stronę. Jeszcze kilkanaście metrów i będzie w jego mocy. Nie spieszył się, wiedział, że i tak za chwilę zwierzyna sama wejdzie mu w ręce.

Skończyła rozmawiać i prawie biegnąc zaczęła szukać czegoś w torebce.

– Taaak, nareszcie – szepnął.

Minęła go w pośpiechu ze wzrokiem nadal utkwionym we wnętrzu torebki. Wtedy skoczył. Kobieta z piskiem runęła twarzą na chodnik. Stanął nad nią przyglądając się z zadowoleniem. Kobieta jęknęła i zaczęła się podnosić wbijając w noc przestraszone, nierozumiejące spojrzenie. Napawał się przez chwilę zdziwieniem i bólem w oczach dziewczyny, po czym rzucił się na nią i przycisnął jej głowę do chodnika.

Zaczęła krzyczeć histerycznie i szarpać się, więc jedną ręką zakrył jej twarz, drugą przytrzymał ręce. Głos uwiązał jej w gardle. Ręce i nogi krępowała jakaś straszliwa siła. Brakowało tchu, jakby coś siedziało jej na piersi. Przerażonym wzrokiem szukała pomocy, ale wokół nie było nikogo.

Napastnik patrzył na pulsującą tętnicę na szyi brunetki. Chciał jeszcze przez chwilę rozkoszować się tym widokiem. Napawać się przerażeniem. Miał czas, a rozpacz dziewczyny była tak słodka...

Nagle jakaś potworna siła złapała go za kark, uniosła jak szmacianą lalkę, przytrzymała chwilę w górze, po czym cisnęła nim o trotuar. Stęknął ciężko, ale obrócił się błyskawicznie w stronę napastnika. W tym momencie ujrzał wylot lufy rewolweru kilkanaście centymetrów od swojej twarzy.

– Dobry wieczór – odezwał się spokojny, głęboki głos. – Cóż się takiego stało, szanowny wążerzu, że wylazłeś z nory? Trzeba było siedzieć na tyłku, a nie paradować mi po mieście.

– Widzący – warknął wążerz.

– Do usług – odparł człowiek i odwiódł kurek rewolweru.

Stwór zarechotał.

– A to co za wynalazek? Pistoolecik? Na srebrne kule? Naczytałeś się bajek o wampirach? Myślałem, że jesteś nieco bardziej bystry, Widzący. Chyba wiesz, że srebrne kule nic mi nie zrobią?

To mówiąc wążerz zaczął wznosić się do pozycji wyprostowanej w typowo wampiryczny sposób..

– Przypatrz się łaskawco – z nutką drwiny w spokojnym głosie odparł człowiek. – Nie pistolecik, tylko rewolwer. To Colt Navy, czarnoprochowiec. I kule nie są srebrne, tylko ołowiane. Widzisz, jakiś czas temu odkryłem przypadkiem, że ołów jest na was lepszy niż błyszcząca skała, bo nie odsyła, tylko załatwia was na dobre. Wracaj na glebę, wążerzu.

Wążerz w jednej chwili opadł głucho na ziemię ze wściekłym grymasem na trupiobladej twarzy.

– Nie odważysz się – zaskrzeczał mniej już pewnie wążerz.

– A to niby dlaczego? Przecież służysz Biezdarowi, jak mniemam. Weles pewnie nawet się ucieszy, że unicestwiłem biezdarowego buntownika – mężczyzna odciągnął kurek.

– Czekaj! – wrzasnął stwór. – Zaczekaj. Oszczędź mnie – zacharczał.

– A to niby dlaczego ?

Pytanie zawisło na moment w powietrzu.

– Jeśli mnie oszczędzisz powiem ci wszystko, co chcesz wiedzieć.

Marek obniżył nieco broń.

– Taaak? A co takiego ja chcę wiedzieć? Na wyrocznie mi nie wyglądasz, ale dobrze, spróbujmy. Zacznijmy od tego co tu robisz i dlaczego ona?

– Obiecuj, że mnie nie odeślesz, wtedy powiem ci wszystko, co wiem.

– Obiecuję, o ile powiesz mi coś wartego uwagi.

– Biezdar mnie wysłał, tak, jak i innych. Potrzebuje armii splugawionych. Dużej armii. Poluję na każdego, kto się nawinie.

– Po pierwsze powiedz mi coś, czego nie wiem. Po drugie, nie wciskaj mi kitu, że ta słodka bruneteczka, co tam leży, jest dobrym materiałem na plugawca. Po trzecie, pytam po raz ostatni więc skup się – dlaczego ona?

– Widzący znów uniósł Colta.

„Słodka bruneteczka” siedziała nieruchomo na ziemi parę kroków dalej i z przerażeniem obserwowała jak, na oko trzydziestoparoletni, mężczyzna gada do chodnika, mierząc do niego z rewolweru. Patrzyła okrągłymi, wielkimi oczami nie rozumiejąc ani sensu sceny, która się przed nią rozgrywała, ani sensu tego co spokojnym, łagodnym głosem mówił człowiek, który najprawdopodobniej uwolnił ją od ataku... czegoś.

– No więc, wąpierz, zaskocz mnie, bo zaczynam się nudzić – mężczyzna dalej rozmawiał z kostką brukową.

– To przypadek! Przemieniam kogo się da...

– Chyba się nie dogadamy – przerwał mu Marek i ponownie wycelował w łeb stwora.

– Poczekaj! – zaskrzeczał piskliwie wąpierz – Poczekaj! Powiem! To wiedźmaczka! To dlatego! Ona nawet tego jeszcze nie wie, ale drzemie w niej Wiedza.

Adwokat uśmiechnął się pod nosem.

– To takie kwiatki... Biezdarowi wymknął się z łap Widzący, to próbuje sobie stworzyć plugawców z ludzi dysponujących choć cząstką Wiedzy? No, niestety, chyba znowu mu poprzekadzam. Masz mi jeszcze coś ciekawego do powiedzenia?

– To wszystko co wiem! Puść mnie teraz!

– Przykro mi stworze, ale jakoś nie czuję się usatysfakcjonowany. Ale masz dodatkowe trzy sekundy.

– Wiem coś o tym, czego szukasz – powiedział szybko stwór. – Mam wskazówkę.

Marek uniósł brew.

– A niby czego szukam?

– Wiesz dobrze. Bałwanów.

– A ty niby skąd możesz to wiedzieć? Myślałem, że dawno nie byłeś po tamtej stronie – głos Widzącego zdradzał lekkie zaskoczenie i zainteresowanie, a cichy szcęk zwalnianego powoli kurka w rewolwerze znamionował również zainteresowanie.

– Wszystkie krainy o tym huczą. Stwory od dawna siedzące w Jawii też już o tym wiedzą.

– Pięknie – mruknął Widzący. – W sumie mogłem się tego spodziewać.

– Powiem wszystko co zechcesz, ale pod Welesem przysięgnij, że mnie nie odeślesz.

– Ty mi będziesz warunki stawiał, stworze?

– Przysięgnij – warknął wąpierz.

– Pod Welesem mam przysięgać? – mężczyzna uśmiechnął się złowieszczo. – A krainy nie huczą o tym, że Weles za mną, delikatnie mówiąc, nie przepada? Ale niech ci będzie, przysięgam pod Welesem, że cię nie odeślę – rzekł z błyskiem w oku.

– Wskazówka jest w Czerwieniu.

– Bzdury mi opowiadasz – prychnął mężczyzna. – Byłem w Czerwieniu trzy razy, przekopałem się przez wszystko, co znalazłem o tym grodzie i obszedłem grodzisko wokół z kilkadziesiąt razy, moczyłem tyłek w Huczwie. Przeczytałem wszystkie publikacje na temat grodu i grodziska. Rozmawiałem z archeologami, a nawet z detektorystami. Wiem, że niczego tam nie ma. Niczego nie widziałem i nie znalazłem.

– Powiedziałem, że wskazówka jest w Czerwieniu, a nie bałwany.

– Niby jaka? – zapytał szorstko mężczyzna.

Stwór łypnął to na mężczyznę, to na rewolwer w jego dłoni i rzekł.

– Cię padający w samo południe w dniu Szczodrych Godów, gdy się stoi po zachodniej stronie studni grodowej, wyznacza kierunek do miejsca, gdzie ukryto bałwany.

Mężczyzna z powątpiewaniem uniósł brew.

– Znowu opowiadasz mi dyrdymały. Gdyby tak było już dawno znaleźlibyście figurki. Albo przynajmniej znalazłybyście miejsce ich ukrycia.

– Nie możemy chodzić po Jawii w Szczodre Gody. Nie wspominając, że nie rzucamy cienia. Ale tego to chyba nie muszę mówić Widzącemu? – prychnął wąpierz.

– Nie mów mi, że to was powstrzymało – mężczyzna popatrzył na ponure oblicze stwora i zarechotał. – Naprawdę to was zatrzymało?

Sprytnie to Jaromir rozegrał – ani nie mogliście nikogo opętać w Szczodre, ani sami nie mogliście wyleźć z Nawii, a te stwory, które już są w Jawii w czasie zimy muszą zaszyć się w leżach. Bardzo cwanie... I może mogłoby tak być, ale mimo wszystko uważam, że ta historyjka jest mocno naciągana i po prostu łiesz. Szczególnie, że jak Rusini napadali gród, w którym przebywał Jaromir, to z pewnością nie miał czasu na kombinowanie z cieniami koło studni w Czerwieniu.

– Mówię prawdę! Klnę się na Bogów! Mówię prawdę!

– No dobrze, przyjmijmy na chwilę, że ci wierzę. To oświeć mnie, skąd to wszystko wiesz?

– Jaromir stracił zmysły nie przez rany od Rusinów.

Mężczyzna popatrzył na stwora mrużąc oczy.

– Dopadliście go jak był osłabiony, tak? I co wam powiedział?

– Upiór, który go wykończył wydusił z niego tylko tyle i to podstępem. Inaczej nie powiedziałaby nic. Twardy był... Ale gdy z nim skończyli srał pod siebie i się ślinił jak niemowlę – wąpierz zaśmiał się chrapliwie. – A niby taki potężny żerca z niego był.

– No coż... Masz mi coś jeszcze do powiedzenia?

– To wszystko. Puść mnie teraz.

– No, nie przesadzajmy – mężczyzna wyszczerzył się złowieszczo do wąpierza i wycelował w jego głowę.

– Miałeś mnie nie odsyłać! – wrzasnął stwór.

– Nie odsyłam, unicestwiam. Słyszałeś żebym wypowiadał inkantację? Poza tym mówiłem już, że to ołów.

– Pod Welesem przysięg...

Huk wystrzału raptownie urwał potępieńcze wycie.

– Kłamałem – mruknął człowiek i odwrócił się do leżącej wciąż na ziemi dziewczyny, która zamarła na chodniku przerażona rozgrywającą się przed jej oczami niezrozumiałą sceną w wykonaniu dziwnego trzydziestoparolatka.

– Nic pani nie będzie – rzekł łagodnie mężczyzna. – Zdążyłem zanim zdołał panią ukąsić. Proszę wstać, pomogę pani – nieznajomy wyciągnął do niej rękę.

– Ukąsić? – jęknęła kobieta wpatrując się w wyciągniętą dłoń.

– Ukąsić. To był wąpierz. Wampir.

– Wampir??? – kobieta wyglądała jakby dostała obuchem w głowę.

– Rozumiem, że nie wierzy pani w wążpierz, ale niestety one istnieją. I właśnie jeden o mało pani nie zabił. Zapewne go pani nie widziała, ale proszę mi wierzyć, że nie ucinam sobie pogawędek z chodnikami.

– Dziękuję... To znaczy nie... Ja wierzę w wążpierz, ale nie spodziewałam się...

Mężczyzna spojrzał przenikliwie na nieznajomą.

– Wierzy pani w wążpierz?

– No tak... – kobieta złapała go za rękę i wstała z grymasem bólu na twarzy. – To znaczy wierzę, że kiedyś istniały. Interesuję się trochę mitologią słowiańską.

– O cholera – mruknął pod nosem. – Coś mi tu nie tego...

– Nie rozumiem – kobieta pytająco uniosła brwi.

– Przepraszam panią, głośno myślę. Powinniśmy już iść i radzę jednak tej nocy zostać w domu.

– Ale ja jestem umówiona...

– Jak kocha, to poczeka. Szczerze radzę wrócić do domu i już nie wychodzić do jutra. Odprowadzę panią – to mówiąc nieznajomy ujął ją delikatnie, aczkolwiek stanowczo, za rękę i ruszył w kierunku wejścia do kamienicy.

Kobieta wpatrywała się w mężczyznę oczami okrągłymi jak pięćdziesiątówki i bezwolnie dała się zaholować pod drzwi wejściowe.

– Proszę iść do domu – powtórzył. – Święci się coś niedobrego i lepiej nie kusić licha, że tak powiem. A już z pewnością nie dzisiaj. Gdyby zauważyła pani w ciągu kilku dni coś niepokojącego lub nienaturalnego to bardzo proszę się ze mną skontaktować. Koniecznie – to mówiąc popatrzył jej głęboko w oczy. – Naprawdę koniecznie.

Po czym wręczył wizytówkę i delikatnie popchnął w kierunku schodów.

– Dobranoc – rzucił i szybko odszedł w noc.

– Dobranoc – odpowiedziała cicho kobieta i skierowała się do mieszkania. Gdy zamknęła za sobą drzwi i zapaliła światło, rzuciła wreszcie okiem na wręczoną jej przez dziwnego człowieka wizytówkę:

„Marek Lichocki – adwokat” – przeczytała półgłosem.

\* \* \*

Stwór siedział na dachu kamienicy i obserwował, jak człowiek na ulicy rozmawia z wążpierzem. Nagle usłyszał huk i po chwili po wążpierz pozostawała jedynie garść prochu.

– Połknąłeś haczyk przeklęty strzyboży pupilku, czy nie? – warknął pod nosem, gdy mężczyzna i kobieta zniknęli na klatce schodowej.

Człowiek jednak wyszedł za moment z budynku dość pośpiesznie i ruszył w kierunku kupki popiołu pozostałej po wąpierz. Nagle zatrzymał się i spojrzał w kierunku przyczajonego za kominem stwora. Po chwili przeniósł wzrok na dachy kolejnych budynków.

– Dostrzegłeś mnie, Widzący? – mruknął stwór i ukrył się w cieniu komina.

\* \* \*

Marek odszedł kilkadziesiąt metrów od kamienicy gdzie mieszkała atrakcyjna brunetka. Odwrócił się znienacka i rzucił okiem na dach budynku. A jednak! Coś tam się ewidentnie czaiło. Z całą pewnością to był chechło, bo do uszu docierał cichutki dźwięk szeleszczących liści i łamanych gałązek. Stwór obserwował z jakiegoś powodu całe zajście i było pewne, że nie znalazł się tam przypadkowo. Nie ma takich przypadków.

Do tego dziewczyna interesująca się słowiańskimi wierzeniami. Być może uśpiona jeszcze wiedźmaczka. I jeszcze ten trochę nazbyt chętny do zwierzeń wąpierz, który ni z tego ni z owego wyłazi z leża po kilku latach letargu i pcha się kilkanaście kilometrów na polowanie do miasta. To śmierdziało więcej niż na te kilkanaście kilometrów. Poza tym wiedział o każdym, pochodzącym nie z tego świata, mieszkańcu Lublina. Te stwory były tu nowe i coś kombinowały. W przypadku Marek nie wierzył.

– Miła – wyszeptał kładąc dłoń na sercu. – Bądź proszę pod moim domem za kwadrans, jeśli możesz. Stało się coś dziwnego.

\* \* \*

Była już noc, nie było korków i podróż z centrum Lublina pod dom na Sławinku zajęła Markowi pięć minut. Wysiadł z samochodu zaczerpnąć czerwcowego, nadzwyczaj ciepłego o tej porze roku, powierza i spojrzał na dom. W jednym z okien widać było delikatne światło nocnej lampki. Pewnie Aśka usypiała jeszcze Milenkę. Było cicho i przyjemnie, a na ulicy pusto.

Tak zapewne patrzyłby na dom Lichockich każdy przeciętny przechodzień. Marek widział jednak coś jeszcze. Na dachu, przy każdym



rogu domu po kilka, unosiły się jak wielkie koniki morskie, dwumetrowej wysokości węzowate kształty jarzące się delikatną złotą poświatą. Gdyby przypatrzeć się z bliska można było zauważyć, że byli to zakuci w lśniące, złote łuski wojownicy, których dolną część stanowił węzowy ogon.

Żmijowie. Właściwie można powiedzieć, że zbrojna elita Prawii. Stwory, które w czasie burzy dzielnie wojują ze smokami, których jedyną żądzą jest utopić Jawię w hektolitrach wody. Teraz, na rozkaz Strzyboga, nie odstępowali rodziny Marka na krok. Tacy ochroniarze gwarantowali pełen spokój o bezpieczeństwo jego kobiet.

Oczywiście ani Aśka, ani tym bardziej ich kilkumiesięczna córeczka nie miały pojęcia ani o istnieniu tych ochroniarzy, ani o groźącym im niebezpieczeństwie. Marek robił wszystko, żeby Aśka nie domyśliła się, co jej mąż wyprawia wieczorami.

Zwariowany to był rok. Teraz właściwie zaczął liczyć mijający czas od Kupały, do Kupały. Trochę ponad rok temu stał się Widzącym, potem zmarł Jan, w tym samym czasie kompletnie nieprawdopodobna podróż przez Nawię i właściwie dopiero wtedy się zaczęło. Przez ostatni rok żył życiem wystarczającym na scenariusze kilku horrorów – tępił stwory, zawierał z nimi układy, studiował najdawniejsze dzieje polskich ziem, ułożył sobie relacje ze wszystkimi demonami zamieszkującymi Lublin... „Ułożył sobie relacje” – jak to brzmiało... A jeszcze dwa lata temu był po prostu adwokatem. Chyba zaczynało się odzywać zmęczenie materiału.

Nagle usłyszał za sobą cichuteńkie puknięcie, które doskonale znał.

– Cześć Miłka. Przepraszam, że tak nagle.

– Cześć Mareczku, też się właśnie do ciebie wybierałam – ubożęcie stanęło obok Marka wpatzonego w swój dom. – Co się stało? Kontemplujesz?

– Trochę... Cały czas do mnie dociera, jak wariackie życie prowadzę i że chyba trochę jestem tym zmęczony.

Miła skrzywiła się, jakby wypła szklanekę cytryny.

– O czym ty mówisz?

– O tym, że mam trochę dosyć.

– Nie odpuszczaj, proszę...

– Nie odpuszczam – westchnął i popatrzył na przyjaciółkę. – Oj, wiesz dobrze, że chwilę pomarudzę i zaraz się zepnę. Nie martw się.

– Zawsze się o ciebie martwię. Już taka dola twojego ubożenia.

– Dobra z ciebie demonica – uśmiechnął się. – Miła, ale do rzeczy. Dziwna rzecz mi się właśnie przytrafiła.

Marek opowiedział demonicy o zdarzeniu sprzed kilkudziesięciu minut.

– Faktycznie podejrzana historia – mruknęła Miła. – Albo jakaś wyjątkowo nieudolna zgraja się trafiła, albo to jakiś podstęp. Wąpierz wszystko ci wyśpiewał bez większych oporów, ale strasznie mu zależało, żebyś go nie odsyłał. Atakuje przy tym kobietę, która być może jest wiedźmaczką, co z pewnością wyczuł wcześniej. A wszystko to obserwuje chechło, które albo jest za tępe, żeby się porządnie schować albo... chciało żebyś go zobaczył. Na robotę Biezdara, a tym bardziej Welesa to mi nie wygląda. To zbyt pokręcone. Chociaż, kto ich tam wie? Chyba, że... – urwała i przegryzając wargę spojrzała na Marka. – Słuchaj... jest coś jeszcze – powiedziała z wyraźną niechęcią.

– Wał Miła – westchnął adwokat. – Już zdążyłem się przyzwyczaić, że ta mina zazwyczaj nie wróży nic dobrego.

– Właściwie przybyłam przede wszystkim po to, żeby ci to powiedzieć. Niech to czarci chwycą...

– Miła, co jest? – Marek zaniepokojony spojrzał ubożęciu w oczy. – Nigdy się tak nie zachowywałaś.

Demonica westchnęła ciężko.

– Zdaje się, że Trojan uciekł z Pustki – rzekła ponuro.

Marek oniemiał.

– Jak to – „zdaje się”?

– No, dobrze – spuściła wzrok z rezygnacją. – Uciekł.

– Błagam cię... – Marek stęknął i wybałuszył na nią oczy. – Jak, do kurwy nędzy, uciekł???

– Podobno Nyja zasnął na po raz pierwszy od tysiącleci.

Marek oniemiał do granic możliwości.

Trojan. Zapomniany bóg. Przed wiekami, gdy Bogowie chodzili po Jawii Trojan zwiastował wyłącznie zło. Jego nadejściu zawsze towarzyszyły przerażające kataklizmy, zniszczenie, koszarne choroby, rzezie i chaos. Trojan nienawidził dzieła, które stworzyli Świątowit – ojciec Bogów i jego dwaj młodsi bracia – Swaróg, boski kowal i Rod, bóg losu, a potem również i inni Bogowie. W początkach wszechrzeczy stworzyli oni Prawię – siedzibę Bogów, Nawię – siedzibę dusz umarłych i demonów oraz Jawię – domenę ludzi. Potem z serca chaosu wyłonił się Trojan.

Trojan dążył do zniszczenia tego dzieła, aż w końcu między Bogami doszło starcia. Świątowit i jego trzech synowie Perun, Strzybóg i Weles pokonali Trojana, pozbawili mocy i wtrącili do Pustki – bezbrzeżnej czeluści znajdującej się na krańcach wszechświata. Na straży jego wiecznego więzienia stanął Nyja – bóg śmierci, który nigdy nie zasypia. Miał on baczyć, aby bóg zła i chaosu na zawsze pozostał w Pustce.

– Miła, przecież Nyja nigdy nie śpi!

– Zasnął. Po raz pierwszy zasnął. Najgorsze, że prawdopodobnie... ktoś go uśpił – wydusiła z siebie demonica.

– Kto na wszystkich Bogów???

– Nie wiadomo.

– O żesz kurwa... – Marek złapał się za głowę. – O żesz kurwa! Jeszcze tego brakowało.

– Marek... – Miła zawahała się. – Jest jeszcze coś. Trojan...

– Wiem, co chcesz powiedzieć. Nie stworzył własnego bałwana – dokończył Marek. – Był wtedy w Pustce. Co oznacza, że może wejść do Jawii. I z pewnością wejdzie, jeżeli tylko się dowie o figurkach.

Miła kiwnęła z rezygnacją głową.

– Zajebicie – sapnął.

– Bogowie odebrali mu moc i... – Miła zaczęła szukać jasnych stron dramatu.

– Miła – przerwał jej adwokat – Nie zmienia to faktu, że to bóg.

– W Nawii może odzyskać siły, ale w Jawii, jeżeli pojawi się w Jawii, nie będzie miał mocy większej od ciebie. Może nawet będzie słabszy.

– Marna pociecha, ale o sobie się nie martwię, tylko o nie – Marek spojrzał w kierunku rozświetlonego słabą poświatą okna.

– Ochronimy je.

– Jak? Przecież nie zamknę ich w domu!

– Ochronimy je – powtórzyła Miła z naciskiem. – A ty zrób wszystko żeby odnaleźć bałwany. Teraz nie ma innego wyjścia. Bo jeżeli on je odnajdzie, to... – Miłą urwała z grobową miną. – Ale może się jeszcze o nich nie dowiedział? Poza tym trochę potrwa, zanim dojdzie do sił. Perun, Weles i Strzybóg zmasakrowali go przed wepchnięciem w Pustkę. I odebrali mu twarze.

– Co zrobili?

– Trojan miał trzy twarze. Dwie mu odebrali, a jedną zostawili na wieczne cierpienie.

– I co w związku z tym?

– To, że bez dwóch twarzy, Trojan jest zaledwie cieniem dawnej swej potęgi. I nie może wejrzeć ani w przeszłość, ani w przyszłość.

– Aha, czyli mamy teraz boga zła, mordy i zniszczenia pałającego żądzą zemsty. Oczywiście oprócz pałania żądzą mordy i zniszczenia.

– Na to wygląda, ale niewiele wskóra bez swoich twarzy. Najpierw będzie chciał je odzyskać.

– To znaczy, że te twarze jeszcze istnieją?

– Tak.

– Pięknie! Po prostu pięknie. Dlaczego ich, na wszystkich Bogów, nikt nie zniszczył?

– Bogom nie wolno ich zniszczyć, bo są boskimi artefaktami. To tak jakby bóg, zabijał boga. Nie można nawet unicestwić jego części. Zachwiałyby się wówczas porządek wszechrzeczy. Zachwiałyby równowaga we wszystkich trzech krainach. Dlatego Bogowie złożyli je w Grodzie Świętowita.

– Tyle dobrego, że w Grodzie.

– Byłoby może tyle dobrego, gdyby nie to, że bez względu na cokolwiek, każdy bóg może wejść do Grodu nie niepokojony, jeżeli tylko znajdzie się w świętym gaju – rzuciła Miła z przekąsem.

Marek wybałuszył oczy na Miłą.

– Czyli zaraz sobie wparuje do Grodu, zabierze twarze i zabierze się do niszczenia wszystkich krain, od Prawii, zapewne, poczynając, a reszta Bogów będzie się temu przyglądać? Bo ja nie rozumiem chyba czegoś.

– Poza ostatnim stwierdzeniem, to reszta się... no cóż... zgadza – Miła westchnęła i zrobiła zrezygnowaną minę. – Trzeba go powstrzymać zanim pojawi się pod Grodem i zażąda wejścia do niego.

– Ale?

– Ale na razie, to nie wiemy gdzie on jest. Skrył się gdzieś w Nawii i nabiera sił. A wiesz, że to monstrualna kraina i znaleźć go będzie bardzo trudno.

Marek popatrzył wymownie na ubożęcie.

– Miła, powiesz mi dzisiaj coś pocieszającego?

– Trochę potrwa, zanim odzyska dawną potęgę – demonica spojrzała spode łba na swojego podopiecznego. – Nawet po odzyskaniu twarzy.

– No, to się od ciebie dowiedziałem – westchnął mecenas.

– Jeżeli wejdzie do Grodu, to będzie bardzo, bardzo źle. I bez trudu odzyska wtedy twarz.

– A co potem, kiedy je odzyska?

– Potem całkowicie rozpęta Wróżdę.

Słowa Miłej zabrzmiały jak tona skały spadającej na głowę.

– Wspaniale – Marek znowu złapał się za głowę. – Kurwa mać, wspaniale! Czyli krótko mówiąc nadchodzi koniec świata?

– Jeżeli go nie powstrzymamy...

– No to zróbcie to! Dorwijcie drania i zapakujcie znowu do Pustki.

– Zrobimy, chyba, że...

– ...wejdzie do Jawii – wszedł jej w słowo Marek. – A tu będę tylko ja i trochę dobrych stworów. I do tego będziemy na wyścigi szukać bałwanów. Chyba, że on zacznie szukać mnie. To mamy jasność.

– My zrobimy wszystko, co się da tam. Ty musisz zrobić tu. Przede wszystkim odszukaj te przekłete bałwany. Masz jeszcze czas, ale właśnie sporo się skrócił.

– Miła, ale ja nadal nie mam nic. Sprawdzam wszystkie wątki, pogłoski, informacje w starych zapiskach i nic. Przez cały rok – nic!

– Powinieneś sprawdzić to, co powiedział ci wąpierz.

– Zrobię to z przyjemnością, choć uważam, że bzdur mi naopowiadał, żeby zamydlić oczy. Problem w tym, że do Szczodrych jeszcze ponad pół roku! Za chwilę mamy dopiero Kupałę. Przecież nie ma już na to czasu!

– Mówiłam ci, że Trojan musi nabrać sił. To musi potrwać.

– A jak nie potrwa? Skąd wiesz, że zaraz nie dojdzie do siebie i nie rozpęta chaosu?

– Nie wiem, ale wykorzystajmy ten czas dopóki możemy. My może odnajdziemy go w Nawii, a ty możesz zacząć działać już teraz. Zawęziło ci się pole poszukiwań, to może rozejrzyj się trochę w terenie – ton głosu Miłej nie brzmiał zbyt przekonująco.

– Szukam ich od ponad roku, Miła. Rozglądam się po terenie codziennie i kręcę się w kółko, jak idiota.

– Ale nie możesz się poddawać! Szczególnie teraz!

– Przecież się nie poddam! Wiesz dobrze, że robię wszystko co mogę! Jestem po prostu sfrustrowany, że nie posuwam się ani odrobiny. Poza tym już w ogóle nie pracuję tylko ganiam za stworami, pałętam się po cmentarzach i miejscach zapomnianych przez Bogów i ludzi, oglądam rzeczy, od których każdy normalny człowiek by zwariował, morduję

demony. Ale srał to pies. Przede wszystkim boję się o Aśkę i Milenkę. I, przepraszam cię bardzo, ale coraz bardziej mnie to wszystko wkurwia.

– Wiem – Miła położyła mu rękę na ramieniu. – Wiem Mareczku. Mogę ci powiedzieć jedno: klnę się na wszystkich Bogów, że nie dam im zrobić krzywdy. Jeszcze bardziej wzmocnimy ochronę.

– Ufam ci, ale wiesz, że łatwiej powiedzieć niż zrobić.

– Marek, to w tobie jedyna nasza nadzieja. Tylko ty możesz odnaleźć bałwany. Jesteś jedynym łącznikiem między naszymi światami. Jesteś dla nas wszystkich bezcenny. Dlatego tutaj, w Jawii zrobimy wszystko, żebyś nie musiał się martwić o nic. Tylko działaj kochany.

– Na co mi to było – westchnął Marek i spojrzał na Miłą, która stała obok niego jak uczeń przed tablicą. – Dobra, pomarudziłem sobie trochę, a teraz planuję wziąć dupę w troki. Będę działał. Wybacz, że musiałaś wysłuchiwać jak mi się ulewa.

– Od tego również jestem – uśmiechnęła się demonica. – Gorzej ci się ulewało, jak cię obserwowałam, gdy jeszcze nie byłam dla ciebie widzialna.

– Ale nie obserwowałaś jak, wiesz, tego tam? – Marek puścił oko do Miłej.

– Świntuch!

Marek roześmiał się, ale spoważniał po chwili.

– Leć już, pewnie macie tam teraz szaleństwo.

– Jeszcze nie, ale pewnie zaraz się zacznie – Miła popatrzyła Markowi w oczy. – Bierzemy się w garść, czy tak?

– Tak – skinął głową.

– Moja krew! Bywaj Mareczku!

Marek pocałował demonicę w policzek, a ta rozplynęła się po chwili w powietrzu. Znowu został sam na ciemnej ulicy wpatrując się w delikatnie rozświetlone okno domu. I znów myśli zaczęły mu się kłębić.

Wróżda... Majowie mieli swój kalendarz, który kończył się w 2012 roku i świat miał się skończyć. Na szczęście do niczego takiego nie doszło. Bogowie skandynawscy nadal szykowali się na Ragnarok, a Słowiańszczyzna za chwilę może mieć swój koniec świata, a on był jedynym świadomym tego człowiekiem na Ziemi.

Z głębokich rozmyślań wyrwał go nadjeżdżający sąsiad, który najwyraźniej poczuł lato. Pora była późna, ale z wnętrza starej Toyoty głośno dobiegały przesłodka dźwięki Bal Sagoth „The Scourge of the

Fourth Celestial Host” traktujące o tym, jak to Exitar Niszczyciel Światów i Czyściciel Galaktyk weźmie się zaraz do roboty. Różnica była taka, że w przeciwieństwie do Exitara, Trojan był zagrożeniem najzupełniej realnym.

– Bogowie kochani, nie róbcie sobie ze mnie jaj w takiej chwili – mruknął pod nosem i pomachał sąsiadowi ręką. – No, ale temu to na pewno bogowie z uniwersum Marvela takich atrakcji nie fundują.

Westchnął głęboko i ruszył do domu. Przebrał się i poszedł do pokoju dziecięcego. Obrazek jaki tam zastał, mimo, że sielski, wprowadziłby każdego w osłupienie. Aśka siedziała na fotelu i drzemała z książką w dłoni, a w łóżeczku mały brzdąc gaworzył do kudłatego kształtu siedzącego na ramie łóżeczka.

– Cześć Witku – powiedział cicho Marek do kosmatej postaci.

– Ciii, właśnie zasypia – szepnął domowik i zeskoczył bezgłośnie na podłogę.

– Na razie to udało ci się uśpić Asię.

– Cześć kotek, nie śpię. Tak tylko zamknęłam oczy na moment. Witek miał usypiać Milenkę – mruknęła nieco zaspiana Aśka pod nosem.

Domowik od pewnego czasu stał się absolutnie pełnoprawnym członkiem rodziny. Wprawdzie Aśka nadal nie mogła go zobaczyć, ale przynajmniej zaakceptowała swym na wskroś racjonalistycznym rozumem istnienie stwora, który opiekował się ich domem.

Swego czasu, przez cały tydzień Marek z Witkiem starali się udowodnić Aśce istnienie domowika. Przyjmowanie przez nią tego faktu do wiadomości zaczęło się od pukania w głowę, potem było wyśmiewanie, następnie całodniowy foch, aż w końcu zdesperowany Marek nałożył Witkowi czerwony beret Aśki. Latający po domu czerwony beret był dowodem, którego Aśka nie mogła zignorować.

Od tego czasu Aśka zaczęła przyzwyczajać się do myśli o tym, że domowik faktycznie istnieje. Szczególnie, że czerwony beret, z którym od tej chwili Witek się nie rozstawał, szykował śniadania, rozpakowywał zmywarę, robił pranie i wiele innych pożytecznych rzeczy. Szczególne wrażenie robiły na Aśce talerze, które „same” wyskakiwały ze zmywarki i w towarzystwie czerwonego beretu płynęły w powietrzu do odpowiednich szafek.

Jednak najcudowniejszą funkcją niewidzialnego przyjaciela domu była funkcja niańki. Odkąd w domu Lichockich pojawiła się ich córka Milenka,

czerwony beret zawsze unosił się w okolicy jej łóżeczka. Dziecko było wtedy spokojne i szczęśliwe. Nawet kupa nie stanowiła powodu do płaczu ponieważ pielucha zmieniała się „sama” w chwilę po jej zafajdaniu. Do rodziców należało tylko odpowiednie zastosowanie dziecięcych kosmetyków. I oczywiście kąpiele Milenki, które Aśka kategorycznie zastrzegła dla siebie i Marka.

Aśka nie mogła jednocześnie wyjść z podziwu jak to się dzieje, że czerwony beret przez cały dzień krąży wokół dziecka, a tu jednocześnie kurze były pościerane, pranie zrobione, ubrania w garderobie poukładane, a od czasu do czasu natykała się w domu na „samodzielnie” operujący odkurzacz.

Marek postanowił, że nie będzie wyznawał żonie całej prawdy. Wystarczyło, że dopuściła do świadomości możliwość istnienia Witka. Otóż dom Lichockich miał teraz trochę więcej mieszkańców. Witek faktycznie nie odstępował małej na krok, dlatego wszystkie prace domowe wykonywały trzy korgorusze i pokuć.

Korgorusze były małymi kotopodobnymi, uskrzydłonymi stworami, które fruwały nieustannie po całym domu i błyskawicznie wykonywały każde polecenie domowika, zaś pokuć przypominał bajkowego krasnala w czerwonej czapce i rządził w kuchni. Wychodziło na to, że państwo Lichoccy mieli służbę. Tyle, że niewidzialną dla pani domu.

O wyznawaniu prawdy o stworach zdecydowanie mniej przyjaznych niż mieszkańcy ich domu oczywiście w ogóle nie mogło być mowy.

Aśka z Markiem wyszli z pokoju dziecięcego zostawiając śpiącą córkę i czerwony beret ponownie unoszący się nad łóżeczkiem. Usiedli w salonie gdzie czekała już na nich gorąca herbata, kanapki i włączony telewizor.

– Marek, pamiętasz, że idziemy w piątek do Kamili i Marcina? – zagadnęła męża Aśka.

– No jasne że pamiętam – mruknął adwokat zapatrzony bezmyślnie w bliżej nieokreślony program.

– A do Renaty dzwoniłeś?

Sekretarka Marka, Renata, sprawdzała się świetnie także jako babysitter.

– Asia... A może z Witkiem? – zaczął Marek, ale urwał widząc uniesioną brew żony.

– Zduśniałeś? Mam dziecko zostawić samo z... duchem?



– Aśka, nie z duchem tylko ze stworem. Nie mów w ten sposób, bo będzie mu przykro.

– Marek, nie zostawię dziecka ze... stworem. Kurczę, nie wierzę, że to mówię... Kotku, bardzo się cieszę, że Witek u nas mieszka, ale jednak wolę żeby żywy człowiek pilnował naszej córki.

Aśka oczywiście dopięła swego, więc w piątek wieczorem, przysłała Renata, czerwony beret schował się pod zlew kuchenny, a państwo Lichoccy wyszli na kolację do przyjaciół.

Kiedy Aśka zapakowała się do taksówki Marek mruknął szybko do unoszących się już nad dachem samochodu zmijów, którzy chwilę wcześniej z gracją spłynęli z dachu posesji.

– Zostańcie, pilnujcie domu. Poradzimy sobie.

Czterej strażnicy bez słowa poszybowali z powrotem na dach i zajęli swoje miejsca wśród swoich pobratymców.

\* \* \*

Kamila i Marcin mieszkali z babcią Kamili, w domu po drugiej stronie miasta. Rodzice pani domu zginęli w wypadku kiedy była jeszcze dzieckiem, więc od małego wychowywała ją babcia. Teraz babcia opiekowała się ich kilkuletnim synem, swoim prawnukiem.

Wieczór upływał, jak zawsze, w bardzo sympatycznej atmosferze, przy suto zastawionym stole. Tym razem była uczta śródziemnomorska. Marek od dziecka mógłby się dać pokroić za owoce morza. Na szczęście tę miłość podzielała także Aśka, dzięki czemu na wyścigi serwowali sobie wszystko, co wpadło im w ręce, byleby miało muszlę, skorupę albo macki. Do tego obficie lała się dwuletnia pigwóweczka.

Starsza pani i junior od dłuższego czasu spali już w innej części domu, więc impreza mogła i zrobiła się dosyć głośna. W pewnej chwili Kamila podniosła się z miejsca i z uśmiechem oznajmiła.

– To ja teraz przyniosę wam coś zajebistego.

– No dawaj, dawaj – odezwało się rozbawione towarzystwo.

Kamila zaczęła odchodzić od stołu, gdy w drzwiach salonu stanęła babcia. Nienaturalnie wyprostowana, jakby połknęła kij od szczotki..

– Babciu, co ty tu robisz? Obudziliśmy cię?

Kobieta podeszła do staruszki, gdy ta nagle machnęła na odlew ręką prosto w jej twarz. Kamila, jak szmaciana lalka, zatoczyła się na ścianę i osunęła na podłogę.

– Babciu, co ty! – krzyknął przerażony Marcin i ruszył w stronę żony.

Starsza pani błyskawicznie rzuciła się w stronę Marcina i jednym ciosem pięści zwała go z nóg, po czym z potwornym grymasem na twarzy odwróciła się w stronę osłupiałych Lichockich.

Markowi wystarczył tylko rzut oka. W mig znalazł się między Aśką i nacierającą starszą panią, wyciągającą do nich nienaturalnie zaczerwienione ręce. Szybko wyciągnął Kresa spod marynarki.

Babcia, nie zważając na wyciągnięte ostrze, w mgnieniu oka dopadła do adwokata i wyprowadziła cios prosto w jego twarz. Ale pięść odbiła się tylko od głowy Marka nie czyniąc mu najmniejszej krzywdy. Kobieta zatoczyła się i stanęła oszołomiona wbijając dziwnie nieprzytomny wzrok w adwokata.

– Zdziwiony? – warknął Marek i przyskoczył do napastniczki.

Odrzucił trzymany w prawej ręce sztylet, a lewą ręką błyskawicznie złapał starszą panią za szyję. Po chwili przyłożył jej prawą dłoń do czoła.

– Wyłaź – warknął z wysiłkiem przez zęby zaciskając palce na szyi kobiety. – Wychodź na Świętowita! Wiesz, że cię stamtąd wywlokę!

Po chwili od starszej pani zaczął się oddzielać ciemny kształt, który Marek wyciągał siłą z jej wnętrza. Wreszcie staruszka runęła bezwładnie na podłogę.

– Zabierz ją!!! – wrzasnął do gramolącej się na kolana, oszołomionej Kamili. – Aśka, Marcin, pomóżcie jej!!! Odciągnijcie babcię i odsuńcie się!!! Natychmiast!!!

Wszyscy patrzyli z przerażeniem w oczach jak Marek wyczynia rękami w powietrzu jakieś zadziwiające ruchy, jakby próbował utrzymać wijącego się, niewidzialnego węża i wrzeszczy jak oszalały. Co najgorsze, to coś niewidzialnego także darło się jak opętane, a adwokat starał się przekrzyczeć kakofonię upiornych ryków, charczeń i złorzeczeń.

Marek w tym czasie trzymał w żelaznym uścisku szyję ryczącego przeraźliwie, szarpiącego się i kłapiącego szczęką upiora.

– Ty skurwysynu! – ryknął mecenas. – Skąd się tu wzięłeś? Kto cię nasłał?

– Puuszczaaaj! Ty Strzyboży kuuundluuu!

Stwór wył, charczał, ryczał tak koszmarnie, że szyby w oknach zaczęły drzeć, a przerażeni przyjaciele Marka kulili się przerażeni na podłodze.

– Kto cię nasłał, bydlaku?! – wrzasnął jeszcze głośniej i wyrznął pięścią w obrzydliwy pyk upiora.

Stwór poleciał jak pocisk przez pół salonu i gruchnął o ścianę, ale szybko otrząsnął się i łypnął na drzwi.

– O nie, koleżko! – Marek złapał leżący nieopodal sztylet i dopadł upiora, który ruszał już w kierunku wyjścia.

– Gadaj! – ryknął przyciskając stwora do ściany i przystawiając mu Kresa do oczodołu. – Gadaj przeklęty gadzie, bo zanim cię ubiję, to urządzę cię tak, że będziesz płonął przez pół nocy!

– Ty głupcze – wycharczał koszmarnym głosem demon. – I tak twój koniec bliski. Na nic twoja potęga.

Marek zaczął powoli zagłębiać sztylet w oczodole stwora.

– Gadaj skurwielu – syknął. – Mogę tak bardzo długo i będę bardzo uważał, żeby cię zbyt szybko nie unicestwić.

Upiór wył, trząsał się, szarpał, ale adwokat trzymał go w stalowym uścisku. Oko stwora powoli zamieniało się w popiół. Wreszcie wśród nieartykułowanego ryku i rżenia stwór wycharczał.

– Nadchodzi Trojaaan!!!

Marek pchnął gwałtownie ostrze. Stwór zadygotał, po czym jego łeb eksplodował szarym pyłem jak wielka purchawka.

Adwokat puścił tułów demona, który opadł bezwładnie i zaczął powoli spopielać się na podłodze.

Złapał tchu i spojrzał na pozostałych.

Aśka patrzyła na męża przerażona, Kamila trzymała na kolanach głowę nieprzytomnej babci kiwając się bezwiednie w tył i przód, a Marcin toczył pustym wzrokiem po zrujnowanym pokoju. Wreszcie zatrzymał spojrzenie na Marku stojącym pośpiesznie ze sztyletem w ręku.

– Ja pierdołę, stary! Co to kurwa było? – wydusił w końcu z siebie zaszokowany gospodarz.

– Za chwilę. Co z panią Basią? – Marek podszedł do leżącej staruszki i krótko jej się przyjrzał. – Kama, macie miód pitny albo przynajmniej piwo? I chrzan?

– Jest i miód, i chrzan – odpowiedziała kobieta drżącym głosem.

– Przynies mi pół szklanki miodu z łyżką chrzanu. Migiem. Marcin, pomóż mi. Przeniesiemy babcię na fotel. Asia, weź jakiś ręcznik z łazienki, namocz i przynieś mi.

Kobiety odeszły bez słowa, po chwili wróciły ze wszystkim, co potrzeba. Marek z Marcinem ułożyli nieprzytomną staruszkę na fotelu. Adwokat

wlał kobiecie do gardła miodu z chrzanem i owinął jej głowę mokrym ręcznikiem.

– Dobra – westchnął ciężko. – Nic jej nie będzie. Obudzi się z bólem głowy.

– Marek, co to było do cholery? – głosem nadal drżącym z przejęcia zapytała Kamila.

Marek zagryzł wargę i potoczył wzrokiem po przerażonych twarzach.

– To był upiór.

Cisza jaka zapadła w pokoju była równa osłupieniu malującemu się na obliczach przyjaciół Marka. Kamila zaśmiała się nerwowo, Marcin wyglądał jakby nie usłyszał albo nie chciał usłyszeć, a Asia patrzyła ponuro na swojego mężczyznę.

– Niestety, to co widzieliście to był atak demona. Upiora. Na szczęście niezbyt silnego upiora, czyli zapewne to był zwykły martwiec. Chyba go nawet słyszeliście.

– Stary co ty... – zaczął nerwowo Marcin, ale umilkł widząc śmiertelnie poważną twarz adwokata.

– Maruś, ale skąd się to wzięło? Jak? I dlaczego babcia? I w ogóle... poczekaj... – oczy Kamili rozszerzyły się i jakby zaczął się w nich błysk zrozumienia. – Ty z tym walczyłeś... Wyciągnąłeś to z babci... W końcu chyba to coś zabiłeś... Wiedziałeś co robić... Skąd? Skąd wiedziałeś, co robić?

Marek westchnął.

– Posłuchajcie. Wiecie, że jesteście moimi najlepszymi przyjaciółmi, ale nie wiecie o mnie wszystkiego. Nawet ty kochanie nie wiesz – Marek popatrzył na Aśkę. – Więc... ja mogę kontaktować się ze stworami. To znaczy z demonami i... z moimi Bogami.

Zapewne w innych okolicznościach, po takiej deklaracji Marek usłyszałby salwy gromkiego śmiechu, ale przed chwilą na oczach wszystkich wyciągnął coś niewidzialnego ze starszej pani, a potem walczył z tym czymś niewidzialnym, co wydawało odgłosy niczym z najmroczniejszego koszmaru. Nikomu nie było do śmiechu. Kamila i Marcin patrzyli ze zgrozą na Marka.

– Pewnie nie możecie w to uwierzyć, ale Marek mówi wam prawdę – odezwała się z niespodziewaną odsieczą dotąd milcząca Aśka. – Mamy w domu dobrego ducha, to znaczy demona. Sama w to nie mogłam długo uwierzyć, ale teraz wierzę. Tylko myślałam, że ten świat, to coś

wyjatkowego i dobrego, a teraz widzę, że... – urwała i wbiła w Marka ponury wzrok.

– Słuchajcie, duchy nie istnieją – zaśmiał się nerwowo Marcin.

– Nie duchy, tylko demony. Stwory właściwie – odparł Marek. – I owszem, istnieją. Także te złe. Szkodliwe. Właśnie jednego zabiłem w twoim domu, a przedtem on wytarł tobą ścianę. I taki pierdolnik to chyba też my nie zrobiliśmy, prawda?

Marcin bez słowa rozejrzał się powoli po królującym w salonie pobjowisku.

– Ale skąd on się wziął u nas? – zapytała Kamila.

Marek szybko spojrział na Aśkę. Teraz nie było odwrotu. Musiał powiedzieć prawdę. Przynajmniej część prawdy.

– Nie spodziewałem się tego. Serio, nie wiedziałem, że tak będzie, ale on zapewne przyszedł za mną. Przepraszam, że was naraziłem na to. Naprawdę się tego nie spodziewałem.

– Ale dlaczego za tobą? – drążyła Kamila.

– Z powodu tego, kim jestem.

– Jesteś jakimś egzorcystą, czy co? – zapytał Marcin.

– Nie, to co innego. Jestem... Wiem, że dziwnie zabrzmiał – Marek podrapał się w głowę z zakłopotaniem – Jestem kimś w rodzaju wybrańca albo może lepiej powiedzieć, że jestem takim łącznikiem, między światem Bogów i ludzi. Jestem Widzącym. Nic wam to nie powie, ale najkrócej mówiąc, to mogę wchodzić do świata Bogów i stworów, mogę ich widzieć. Dlatego te szkodliwe demony trochę na mnie polują.

– Trochę polują? – spytała cicho Aśka.

Adwokat spojrział na żonę.

– Widziałaś, że potrafisz sobie dać z tym radę.

– Babcia nawet cię nie drasnęła – powiedziała Kamila bezwiednie sięgając do policzka stłuczonego przez opętaną staruszkę.

– Sam się nawet trochę zdziwiłem, ale w sumie mam pewną, nazwijmy to, nadnaturalną moc, która zresztą cały czas we mnie rośnie. Słabsze stwory nie są w stanie zrobić mi krzywdy, ale upiór... Z upiorem powinienem mieć problem. Ja pierdzielę... Jak to wszystko idiotycznie brzmi, jak się o tym mówi... Ale chyba sami widzieliście..

– Ja pierdołę, Marek – Marcin pokręcił głową. – Jakbym cię nie znał. I jakbym nie widział tego, co przed chwilą widziałem, to bym powiedział, że po prostu ci porządnie odpakowało.

– Niestety to wszystko prawda.  
– Wiedźmin normalnie – sapnął Marcin.  
– Bardzo śmieszne. Wiedźmin to akurat fikcja literacka, która nie robi ci jesieni średniowiecza w salonie.

– To anioł – odezwał się nagle słaby głos. Starsza pani wyciągała drżącą dłoń do Marka – Dzieci, to anioł. Anioł mnie uratował.

Marek przyskoczył do staruszki.

– Dobrze się pani czuje?

– Dobrze – uśmiechnęła się łagodnie do adwokata. – Dobrze. Anioł święty mnie ocalił i Najświętsza Panienka. Dzieci, to anioł. Diabła przepędził ze mnie – starsza pani wpatrywała się z przejęciem w swojego wybawcę.

– Nie pani Basiu – odparł Marek łagodnie. – Nie jestem żadnym aniołem. Po prostu moi Bogowie obdarowali mnie pewną mocą i dzięki temu wyciągnąłem z pani demona. I nie był to żaden diabeł. Proszę teraz odpoczywać.

Starsza pani uśmiechnęła się słabo do Marka i natychmiast na powrót usnęła. Adwokat odwrócił się do pozostałych.

– Chyba powinniśmy już iść – rzucił.

– Chyba powinniście zostać i się z nami choć trochę nawalić – odparł kategorycznie Marcin. – Niezbyt często nam się zdarza mieć w domu demona. I wiedźmina.

– To jest argument – zaśmiał się Marek. – Ale musimy wracać do Milenki, a Renata nas zabije. Kiedy indziej.

Lichoccy nie odzywając się do siebie wyszli z domu przyjaciół, bez słowa wsiedli do taksówki i bez słowa z niej wysiedli po dotarciu pod dom. W końcu przed drzwiami wejściowymi Aśka wydusiła.

– Co teraz będzie? Grozi ci coś prawda?

– Asia, nic nie będzie i nic mi nie grozi. Widziałaś, że potrafię sobie dać radę.

– A co z nami? Co z Milenką?

Marek popatrzył żonie głęboko w oczy.

– Przysięgam ci, że nikt i nic was nie skrzywdzi. Ja poradzę sobie z każdym demonem, a tam – Marek wskazał na dach ich domu – siedzi dzień i noc kilkunastu żmijów – potężnych stworów, które pilnują was na każdym kroku, gdziekolwiek jesteście. W domu jest domowik. To

najpotężniejszy możliwy obrońca domostwa. Nic niepożądanego się tu nie wśliznie i żadna siła wam nie zagrozi.

– To jakiś koszmar – szepnęła Lichocka.

– Spokojnie. Uwierz mi, jesteście absolutnie bezpieczne.

– A ty?

– Ja też. Potrafię się obronić przed wszystkim i stwory to wiedzą. Nie atakują mnie – dodał na końcu, choć wiedział, że to akurat nie była prawda.

– To za dużo dla mnie na dziś – westchnęła Aśka. – Chodź do domu i idziemy spać.

– Idź, zaraz przyjdę. Zobaczą tylko czy wszystko OK.

Marek został przed domem sam. Rozejrzył się uważnie po ulicy, potem obszedł posesję dookoła, rzucił okiem na grupę kiwających się lekko na dachu żmijów i wrócił do wejścia.

– Muszę do lasu, bo zwariuję – mruknął do siebie. – Jak Bogów kocham, zwariuję.

– Przysięgam ci, że nikt i nic was nie skrzywdzi. Ja poradzę sobie z każdym demonem, a tam – Marek wskazał na dach ich domu – siedzi dzień i noc kilkunastu żmijów – potężnych stworów, które pilnują was na każdym kroku, gdziekolwiek jesteście. W domu jest domowik. To najpotężniejszy możliwy obrońca domostwa. Nic niepożądanego się tu nie wśliznie i żadna siła wam nie zagrozi.

– To jakiś koszmar – szepnęła Lichocka.

– Spokojnie. Uwierz mi, jesteście absolutnie bezpieczne.

– A ty?

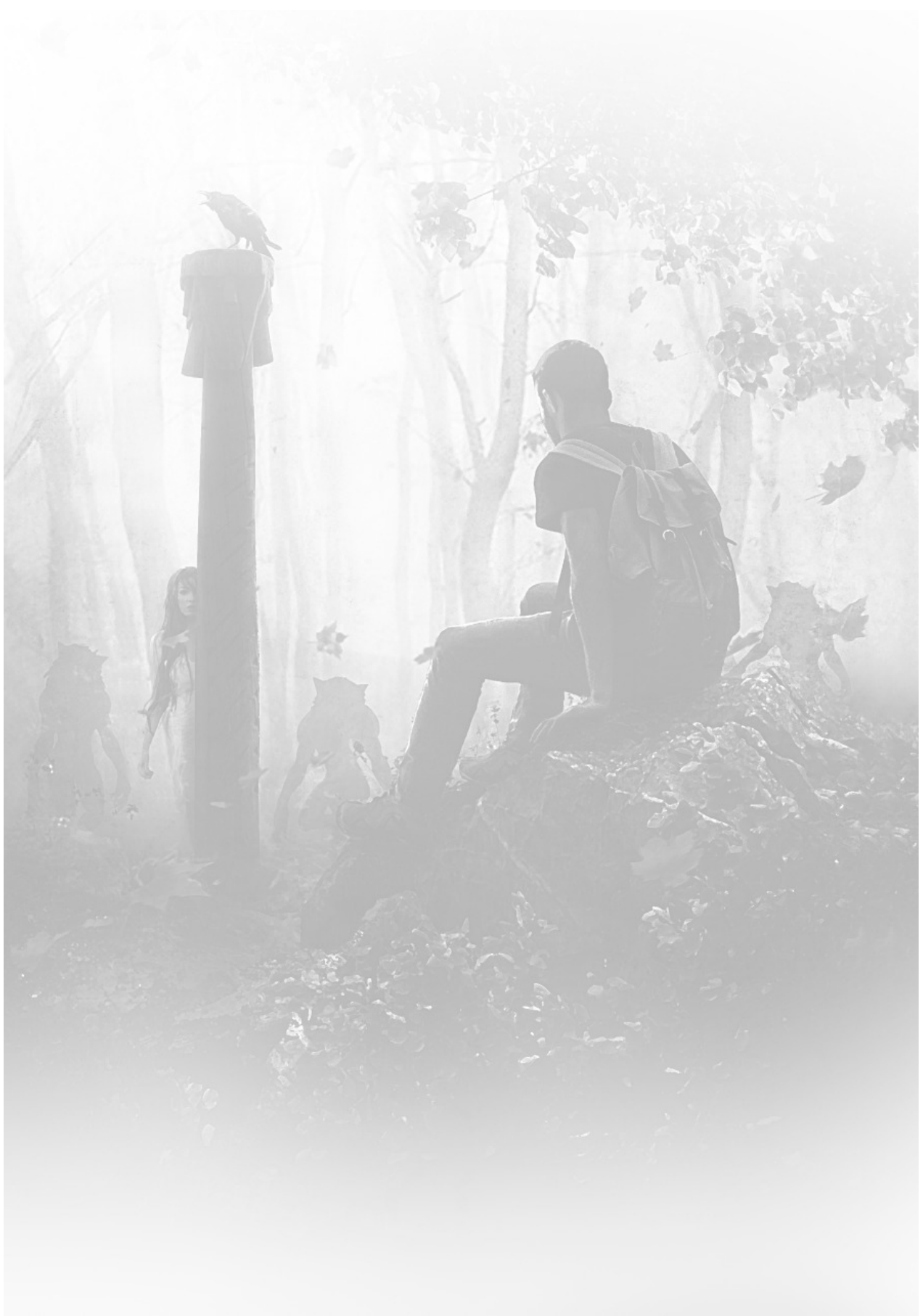
– Ja też. Potrafię się obronić przed wszystkim i stwory to wiedzą. Nie atakują mnie – dodał na końcu, choć wiedział, że to akurat nie była prawda.

– To za dużo dla mnie na dziś – westchnęła Aśka. – Chodź do domu i idziemy spać.

– Idź, zaraz przyjdę. Zobaczą tylko czy wszystko OK.

Marek został przed domem sam. Rozejrzył się uważnie po ulicy, potem obszedł posesję dookoła, rzucił okiem na grupę kiwających się lekko na dachu żmijów i wrócił do wejścia.

– Muszę do lasu, bo zwariuję – mruknął do siebie. – Jak Bogów kocham, zwariuję.





## Rozdział II

(...) Czucie i wiara silniej mówi do mnie  
Niż mędrca szkiełko i oko.  
Martwe znasz prawdy, nieznanne dla ludu,  
Widzisz świat w proszku, w każdej gwiazd iskierce.  
Nie znasz prawd żywych, nie obaczysz cudu!  
Miej serce i patrzaj w serce!  
Adam Mickiewicz – Romantyczność

Następnego dnia Aśka zachowywała się tak, jakby nic się nie stało. W ogóle nie było tematu zajścia z poprzedniego wieczoru. Siedziała, jak gdyby nigdy nic przy Milence i dłużyła coś w laptopie. Marek znał ją jednak na tyle, żeby wiedzieć, że się gryzie. Kilka razy podejrzwał jak patrzyła zamyślona na czerwony beret nad łóżeczkiem córki, wzdychała i spoglądała z niepokojem na Marka, który przeglądał kolejną stertę dokumentów po Rokickim.

Frustracja Marka narastała z każdym westchnieniem Aśki i z każdym przeczytanym papierem, kiedy okazywało się, że nie ma tam żadnej wskazówki, co do miejsca ukrycia bałwanów.

I jeszcze ten Czerwień mu chodził po głowie przez tego przekłętego wapiersza. Był tam trzy razy, obszedł gród wzdłuż, wszcz, wokoło, brodził nawet w przepływającej obok rzece Huczwie i nic. Niczego nie dojrzał, niczego nie skojarzył, nic nie przyszło do głowy.

W akcie desperacji pojechał nawet do leżącego również przy rzece Huczwie grodu Wołyń. Tego samego, pod którym kiedyś wojska Bolesława Chrobrego rozbiły w perzynę armię Jarosława Mądrego. Nadal nic. Piękne widoki z potężnych, kilkunastometrowych wałów, czaple białe, bobry i to wszystkie odkrycia, których Marek wtedy dokonał.

Podobnie w innych Grodach Czerwieńskich, które postanowił odwiedzić. Skoro Witomir pochodził z terenów Grodów, to Marek postanowił przyjrzeć się dokładniej tym ziemiom. I co? I nic. Sutijsk,

Busówno, ukraińskie Bełz i Peremył, nie mówiąc już o Chełmie, czy Przemyślu, to interesujące wycieczki krajoznawcze i jednocześnie pasmo nieustających rozczarowań, jeżeli chodzi o najważniejszy cel jego podróży.

Zastanawiał się poważnie, czy Grody Czerwieńskie to nie był fałszywy trop, a wąpierz tylko próbował go w tym błędzie utrzymać. Z drugiej jednak strony to właściwie czego oczekiwał po tysiącu latach? Przecież to wszystko wygląda teraz zupełnie inaczej. Tysiąc lat historii i wszelkich zawieruch zatarło wszystkie możliwe znaki do ostatniego pyłku. Przecież bałwany nie wyjdą mu same na spotkanie.

Snuł się więc po domu pogrążony w ponurym rozmyślaniu, aż w końcu wypalił.

– Kochanie, muszę wyskoczyć gdzieś na trochę. Zresetować się.

– Widzę – odparła smutno Aśka. – Widzę, że nie jesteś sobą. Jesteś przemęczony, nieobecny, siedzisz albo w pracy albo w tych papierach.

– Pojadę do lasu, do Lasów Kozłowieckich, położę, zbiorę myśli. Przenocuję w tej agroturystyce, co byliśmy kiedyś, dobrze?

– Dobrze, tylko... – Aśka urwała i popatrzyła na niego szczególnym wzrokiem. – Dasz sobie radę?

– Nic mi nie grozi kobieto. Zrozum. Nie ma takiego stwora na ziemi, który mógłby mi coś zrobić. I wy też jesteście bezpieczne. Całkowicie bezpieczne. Nie martw się.

Aśka pokiwała głową i uśmiechnęła się lekko.

– Wierzę kochanie. Odpocznij porządnie i wróć do nas jak nowonarodzony – powiedziała z uśmiechem. – W niedzielę zaproszę do nas dziewczyny, to nie musisz się spieszyć. Wyciśnij ile się da z tego swojego relaksu.

– Jesteś aniołem kochanie. Pogańskim oczywiście.

– Wiem – odparła. – Też cię kocham. Uważaj na siebie, błagam.

– Będę uważał. Nie martw się. Chciałem ci jeszcze powiedzieć, że to była cudowna niespodzianka imieninowa w tamtą sobotę.

– Ojej, cieszę się – rozpromieniła się Aśka. – Naprawdę aż tak ci się podobało?

– Było fantastycznie. Wiesz, poczułem się dzięki tobie i Milence taki... spełniony. A jeszcze wtedy... jakoś, takie dziwne uczucie mnie ogarnęło. Takiej... kompletności. Po prostu niczego już mi w życiu nie potrzeba. No może trochę spokoju. Ale jestem najszczęśliwszym facetem na ziemi.

– Już mi to mówiłeś – Aśka objęła go za szyję i pocałowała. – Ja też. Przy tobie, przy was, jestem kompletna. I bardzo was kocham. Jedź już. I przywieź mi z powrotem wypoczętego męża.

\* \* \*

Godzinę później Marek usiadł na mostku nad Stawem Strózek w Lasach Kozłowieckich i zaczął bezmyślnie rzucać bułkę łabędom. Wsłuchał się w szum wody, wpatrzył w zieleń lasu i powoli opuszczała go gonitwa myśli. Przymknął oczy i wystawił twarz do słońca. Nie wiadomo skąd wpadł mu nagle do głowy mały fragment Balladyny Słowackiego:

Znów polecę po rozłogach,  
Polecę łąką i borem;  
Kwiatki postawię na nogach,  
Rozczeszę żyto na grzędzie,  
Zatrzymam się nad jeziorem,  
Zawołam: „Labu, labusie!”  
I dwa Goplany łabędzie  
Po wód błękitnym obrusie  
Przypłyną do mnie z ajeru;  
Garsteczką złotego żeru  
Śnieżne ptaszęta przysypię;  
I znów lecę pod leszczyne,  
Gdzie łania Goplany szczypie  
Błyszczącą deszczem krzewinę;  
I tęczę nad nią zawieszę,  
I różę nad nią rozwinę;  
I znowu dalej pospieszę  
Na skrzydłach babki konika.

– Rzucę to wszystko w diabły i wyjadę w Bieszczady – powiedział do łabędzi, które bez większego zapału, ale jednak skrupulatnie przyjmowały rzucone przez Marka pieczywo. – Albo może na Mazury lepiej? Czy nad Gopło? Co państwo na to, szanowne „labu, labusie”? Ale Skierką z Balladyny, to raczej nie zostanę. Hmm, gadam do łabędzi... – westchnął.

– Dzień dobry, panocku – usłyszał nagle za plecami. – Dzisiaj chyba nie na grzybki? Z łabądkami pogadać tym razem?

Marek zerwał się na równe nogi.

– Wiedźmak! – wyrwało mu się na głos. – Przepraszam. Szukałem pana kawał czasu. Kilka razy tu byłem. Już straciłem nadzieję.

– Wim – zachichotał dziadek. – Wim, panocku, ale przeca mówiłem, że za rok. W swoim czasie.

– Minęło trochę więcej niż rok – uśmiechnął się adwokat.

Wiedźmak popatrzył uważnie na Marka. Szczerbaty uśmiech na jego twarzy przygasł, w oczach pojawił się dziwny błysk.

– Boś, panocku, nie był gotów. Wtedy to musiałem cię, panocku, obejrzeć, ale teraz to musim pogwarzyć – powiedział poważnie. – Dużo pogwarzyć. Teraz, to tyś, panocku, ktoś. Zaczny ktoś.

Wiedźmak pomachał łabędziom, które jakby z radością pokiwały łebkami i rozłożyły skrzydła, a następnie skinął na Marka.

– Chodź pan.

– Ale jak – „chodź pan”? – zapytał zbity z pantałyku Marek, ale wiedźmak jakby nie słyszał, tylko ruszył szutrówką w stronę wioski.

Całą drogę do domostwa przebyli w milczeniu. Wiedźmak jedynie uśmiechał się dobrotliwie na wszelkie próby zagajenia rozmowy przez Marka.

Domek wiedźmaka, położony w malowniczej Dąbrówce w środku Lasów Kozłowieckich, był najzwyczajniejszy w świecie. Parterowy klocek, skromny, ale schludny, położony był na uboczu, na niewielkiej, zadbanej działce. Usiedli w końcu na ławeczce przed chałupą i siedzieli kilka chwil w milczeniu. Aż wreszcie dziadek zapytał.

– Podoba się taki żywot w spokojności, prawda? W Bieszczady chciałbyś, panocku, pojechać, prawda?

– Prawda – westchnął adwokat. – Chętnie bym trochę takiej spokojności w życiu sobie zafundował. Tyle, że nie ma jak.

– Wim to, panocku, że wiera smutków masz i spraw wiera. Ale i rozumu masz za kilku, a i tu potrzebnyś. Nie w nijakich Bieszczadach.

– Skąd może pan to wiedzieć?

– Patrę. Toć już wtedy mówiłem, że patrę. I widzę, żeś pan wiera się nauczył. Dużo mądrości nabył... I dużo widział.

Spojrzał na Marka przeciągle.

– Bardzo dużo. Wincyj niż człowiek zdolny jest obaczyć. Wincyj niż ktokolwiek obaczy.

– Sporo się przez ten rok wydarzyło – odparł ostrożnie Marek nieco zaskoczony przenikliwością wiedźmaka.

– Wisz, panocku, wincyj niż ja, stary. To dobrze. To i czas już. Wisz panocku tyła, że łącniej ci będzie i moją naukę pojąć. Bo ja, panocku, chciałem tobie ino trochę inszej nauki dać.

– Nauki? – Marek był coraz bardziej zaintrygowany.

– A tak! Krótkiej, a ważnej – wiedźmak pokiwał głową. – A tak. Boć obacz – wiesz, panocku wincyj, ale czy czujesz? Patrzysz, ale czy widzisz? Pewnikiem nie. A możesz, boć dla ciebie, panocku, to teraz żadna sztuka.

– Nie za bardzo rozumiem...

– Wy mundre, miastowe, szkiełkiem i okiem tylko. I rozumem. A sercem? A duchem? – dziadek spojrział Markowi głęboko w oczy. – Uczyciel pański dużo nakładł ci, panocku, do głowy, aż uczeń mistrza przerósł. Ale sercem i duchem patrzeć nie nauczył. A bez tego nigdy zamierzeń swoich, panocku, nie ziścisz.

– Co ma pan na myśli? – adwokat siedział jak na rozżarzonych węglach.

– Każde stworzenie na tym świecie – ciągnął wiedźmak – ma moc, energię, ducha. Kiedyś zwano to tchem, stąd dech. Stąd i oddychanie się wzięło. Kiedy ulatuje z ciebie żywot, to oddajesz dech, ostatnie tchnienie i ono wędruje do Nawii, jako dusza. Jeśli spojrzysz, panocku, sercem, nie tylko rozumem, dojrzysz tchnienie. Dojrzysz i moc, którą cała Jawia jest wypełniona. Poczujesz tę moc. Ta moc wszystko otacza z zewnątrz i wewnątrz. Ma swoją barwę i siłę. Najlepiej u żywego zoczyć, a im bardziej żywe z naturą związane, tym łącniej zoczyć. A jak już u żywego będziesz dostrzegał, to i nieożywione dostrzeżesz. Poczujesz. Pewnikiem poczujesz.

Marek patrzył w skupieniu na wiedźmaka, który urwał i wpatrywał się w niego, jakby znowu chciał wyczytać coś z twarzy adwokata.

– I wtedy, panocku, znajdziesz to, czego tak szukasz. Poczujesz, panocku, moc w nich zakłęta. Ta moc jak te mrówki po karku łązić ci będzie, jak te motyle w brzuchu będzie cię gilać, włos ci na głowie jeżyć będzie. Będziesz wiedział tedy. To poszukiwania ułatwi.

– Skąd pan wie...

– Toć mówiłem – przerwał mu staruszek i zachichotał – czytam z wody, ze słonka, z lic ludzkich. Z twych lic, panocku, wiele wyczytać można, ale ino temu kto umi. A niewielu umi. Nauczę, pokażę, bo będzie ci, panocku, potrzeba wiedzieć jak sercem, a nie tylko rozumem spojrzeć. Jak leśnych stworzeń słuchać.

– Chciałbym, ale...

– Ale boisz się, panocku, że to podstęp jakowyś – wiedźmak wszedł w słowo Markowi. – Że stary szutki sobie robi i krotochwile. Nie bójcie się, panocku. Nie urzeknę – wiedźmak roześmiał się zgrzytliwie prezentując wybrakowaną klawiaturę.

– Od pewnego czasu mam się na baczności.

– Bardzo dobrze, panocku, bardzo dobrze. Złe może czyhać wszędzie. Trza się na baczności mieć. Ale najważniejsze, że Kupała idzie, panocku. Toć to czas święty i magii pełen. To najlepsza chwila na takie nauke, co ja tobie pokazać chcę.

– Fakt, niedługo już. W Kupałę tylko samo dobre może przyjść, a złe trzyma się z dala kupalnych ogni.

– No, to ty chodź, panocku, ze mną. To też dobre będzie. Ja i to widzę teraz, że nauka migusiem pójdzie. Ja pokażę. Uwierz mi, panocku, i chodź. To nie będzie długa nauka, bo i wszystko już wiesz. Ja ino powim ci, panocku, czego słuchać i jak patrzeć. A jak już usłyszysz i popatrzysz, to powim, co zobaczyć. Wim, że szybko obaczysz. Zdolnyś, panocku, umny, to obaczysz. Chodź panocku, nie bójcież się. Co ja, stary, mogę zrobić takiemu młodemu? – wiedźmak przestał wreszcie trajkotać i znowu posłał Markowi szczerbaty uśmiech.

– No dobra – westchnął mecenas. – Niech pan prowadzi.

I poszli. Staruszek kroczył zdecydowanie bardziej żwawo, niż gdy zmierzali w kierunku jego domu. Nawet jeszcze żwawiej, niż w ogóle powinien kroczyć jakikolwiek staruszek. Marek lekko tym zaskoczony starał się dotrzymać mu kroku.

Po kilku minutach szybkiego marszu dotarli do rzeczki Mininy i zaczęli iść z jej nurtem. Właściwie to można by było powiedzieć, że przedzierali się przez chaszczę rosnące wzdłuż brzegu rzeczki, gdyby nie to, że wiedźmak parł jak czołg, a chwasty jakby ustępowały mu z drogi. Zamiast się więc przedzierać, ciągle maszerowali żwawo.

Po kolejnych kilkunastu minutach dotarli na skraj sporej leśnej polany. Staruszek, zupełnie niezaspany, w przeciwieństwie do zaskoczonego i zdyszanego Marka, zatrzymał się raptownie i wskazał na stadko dzików po drugiej stronie polany.

– O, dobrze się nam trafiło. Przypatrz się, panocku, na te dziczki. Wyrzuć z głowy myśli, posłuchaj lasu, posłuchaj szumu wody i cały czas patrz.

Marek uspokoił oddech i posłusznie wykonywał instrukcje, których wiedźmak spokojnym, cichym głosem udzielał mu zza pleców.

– Teraz zamknij oczy i weź głęboki oddech. Usłysz delikatny dźwięk. Jak pisk małej myszki, jak brzęczenie małej muszki.

Posłuchał. Nagle ogarnęło go to samo uczucie, którego kiedyś doznał na łące, gdy stał z Rokickim chłonąc dźwięki natury. Znowu wtopił się w otaczający go świat. Wsłuchał się w szum drzew, szmer rzeczki, w brzęczącą symfonię wygrywaną przez niezliczoną armię koników polnych, znów poczuł delikatny zapach wilgoci.

– Dobrze, bardzo dobrze – odezwał się cichy, jakby zmieniony głos za jego plecami. – Słyszysz?

– Chyba słyszę – szepnął Marek. – Jakby na granicy słyszenia.

– Tak, właśnie. Gdy będziesz gotowy otwórz oczy, ale nie całkiem. Zmruż oczy i patrz cały czas na dziki.

Adwokat posłusznie wykonał polecenie. Zwierzęta żwawo zbliżały się w ich stronę, jakby nieco podekscytowane, ale ewidentnie bez agresywnych zamiarów. Patrzył na nie, ale strachu nie czuł. Wręcz przeciwnie, radosną ekscytację.

Nagle zdało się Markowi, jakby zobaczył delikatną, ulotną brązową mgiełkę otaczającą każdego zwierza. Mgiełki zdawały się wychodzić z wnętrza zwierząt i otulać je szczelnie.

– Tak, tak – zaszeptał głos z tyłu.

Marek nawet nie zwrócił uwagi na to, że wiedźmak przestał od pewnego czasu mazurzyć i mu „panockować”.

– Pojętny z ciebie uczeń. Powiernik wybrał najlepiej, jak mógł.

Marek zaskoczony uwagą o Rokickim drgnął chcąc się odwrócić, ale wiedźmak syknął tylko.

– Nie odrywaj od nich wzroku! Zepsujesz wszystko!

Adwokat przemógł się. Zmrużył na powrót oczy. Mgiełka spowijająca dziki stała się jeszcze bardziej widoczna. Drżała i falowała otaczając wokół zwierzęta. Widział ją coraz wyraźniej.

– Czujesz?

– Tak – szepnął Marek, a po jego karku i plecach wędrowały coraz intensywniejsze ciarki.

– Mówiłem, że nauka nie będzie długa – szepnął z tyłu wiedźmak. – Brawo. Ale komu ja to mówię...

Stadko było już tylko kilka metrów od adwokata. Poczł ich zapach. One zaś zbliżyły się do wpatzonego w nie Marka, po czym... minęły go bez większego zainteresowania.

Marek zdumiony podążył za nimi wzrokiem, odwrócił się i zamarł. Dziki delikatnie ocierały łbami o sękatę ręcę brodatego, nagiego do pasa, postawnego mężczyzny. Włosy miał długie do ramion, potargane, pełne liści, gałązek i zasuszonych kwiatków. Głaskał zwierzęta po kosmatych głowach, delikatnie się uśmiechając, a one łasiły się do niego, jak kanapowe pieski.

– Leszy – sapnął na wpół oszołomiony, a na wpół uradowany Marek. – Nie wiedźmak, tylko leszy! Ale wywiodłeś mnie w pole! Nie poznałem cię w tej postaci, strażniku.

– Mówiłem – wyszczerzył się żywiołak – Patrzyłeś rozumem, a nie sercem. Patrzyłeś, ale nie widziałeś. Wtedy, rok temu z okładem, pomóc ci, ani nauczyć czegokolwiek, nie mogłem. Byłeś jak te ślepe kocię, ale uczyłeś się pilnie. Teraz dopiero jesteś gotów. Teraz jesteś kimś... znacznym. I dopiero teraz mogłeś mnie zobaczyć w prawdziwej postaci.

Marek uśmiechnął się pod nosem. Już dawno nauczył się, że wszystko musi nadejść w swoim czasie.

– Bardzo się cieszę, że mogę cię poznać, leśny strażniku.

– Z wzajemnością Widzący.

– Dlaczego właściwie mi pomagasz? Myślałem, że leszy nie interesują się światem zewnętrznym, a wyłącznie swoimi lasami.

– Pomagam, bo jeśli zawiedziesz skończy się świat, jaki znamy – odparł leszy grobowym głosem. – A wtedy przypadnie także mój las.

Marek popatrzył na leszego wymownie.

– Nie dziw się. Nie jestem stworem, tylko żywiołakiem, ale wiem co się dzieje na świecie. Żyję tyle, ile ten las. Znam każde drzewo i każdy orzeszek. I wszystko do mnie mówi i śpiewa. Każde ptak przynosi mi nowiny z dalekich stron. Każde tchnienie leśnych stworzeń opowiada mi swoją historię. Wiem wiele, choć nigdy nie opuściłem tych drzew. Nigdy nie wyszedłem z tego lasu – leszy zatoczył wzrokiem po polanie. – A trzeba ci wiedzieć, że jestem starszy niż większość stworów i kilku Bogów. I będę trwał, dopóki trwać będzie ten las. Wiem kim byłeś i wiem kim się stałeś. Wiem, gdzie byłeś i skąd wróciłeś. I wiem, że Starzy sprawili, że stałeś się ostatnią nadzieją dla nas wszystkich. To ciężkie brzemię.



– Teraz mi nie pomagasz.

– Prawda cię tylko wzmocni. I musisz znać ciężar brzemienia, które dźwigasz.

– Znam. Nie chcę go już dźwigać – westchnął adwokat.

– Trojan też pewnie nie chce, żebyś je dźwigał, bo wtedy już nikt i nic go tutaj nie powstrzyma.

– Czyli to też już wiesz.

– Wiem.

– A ja chciałbym wiedzieć wszystko, co ty.

– Ty już wiesz prawie wszystko, co potrzeba. Do reszty musisz dojść sam. Rozum masz, teraz czas, abyś zaczął czuć. Nazywaj to jak chcesz. Czuciem, szóstym zmysłem, wrózeniem, intuicją... ważne, abyś korzystał z tej umiejętności. Ja pokazałem ci jak, ty teraz rozwijaj to w sobie. Ćwicz. Codziennie. Będzie ci potrzebne.

– Na pewno będę. I będę przychodził do ciebie po nauki.

Leszego nagle zasłoniła zielona mgła. Mgnienie oka później przed Markiem stał znajomy staruszek.

– Przychodźcie panocku – zachichotał. – Wicie gdzie moja chałupa. A gdy przyjdzie czas, choć może i nie przyjdzie niech Bogi dadzą, wezwijcie mnie, panocku. Przybędę.

Leszy podszedł do Marka i wcisnął mu w dłoń małego, zasuszonego borowika.

– Pilnuj tego, panocku, to się przyda. Będiesz wiedział, kiedy go użyć. A teraz – bywajcie, panocku!

Pomachał stojącemu jak słup soli Markowi, po czym dziarsko pomaszerował w gęstwinę.

Adwokat popatrzył jeszcze chwilę na ścianę lasu, potem na dziki, które wracały już powoli na środek polany i westchnął.

– Czy to twoja robota Strzyboże?

W koronach drzew zaszemrał lekki wietrzyk.

– Może... – mruknął Marek sam do siebie.

Dziki wróciły na polanę i zupełnie nie interesowały się stojącym samotnie człowiekiem. Marek postął jeszcze chwilę w zadumie, po czym ruszył z powrotem do domu wiedźmaka. A właściwie leszego. Tak szybko urwała się rozmowa, a on miał jeszcze tyle pytań.

Ale dom był zamknięty na głucho. Powędrował więc na kwaterę, ale tam z kolei nie mógł usiedzieć. Postanowił powłóczyć się jeszcze po lesie,

może usiąść nad stawem, poćwiczyć nową umiejętność. Liczył też, że może uda się napatoczyć na lepszego?

Zarzucił na ramię koc i wrócił nad Stróżek. Tym razem znalazł sobie łagodne zejście nad wodę od strony lasu i zaległ na kocu starając się wyczyścić umysł z kłębiących się ciągle myśli. Zrobił to na tyle skutecznie, że po pewnym czasie usnął.

\* \* \*

– Marek! Marek!

– Jan? Jak dobrze cię widzieć!

– Witaj mój chłopcze! Choć teraz powinienem mówić tobie mistrzu – Rokicki, jak to on, uśmiechnął się dobrotliwie.

– Przestań – zachnął się Marek. – Jestem tu, gdzie jestem i tym, kim jestem dzięki tobie. Apropoz, teraz to właściwie gdzie jesteście? – adwokat rozejrzał się wokół zaciekawiony.

Właściwie trudno było stwierdzić, gdzie tak naprawdę się znajdują. Przez chwilę byli w gabinecie Rokickiego w Celejowie, po chwili na żalniku w Nawii, gdzie widzieli się pierwszy raz po śmierci Rokickiego, za chwilę siedzieli przy stoliku w restauracji Stół i Wół na lubelskim Starym Mieście.

– W Jaźni – odparł Jan. – To jednocześnie twoja senna podświadomość, jak i miejsce, które na chwilę otwiera się w Nawii.

– Czyli to sen?

– I tak, i nie. Śniesz, ale nasza rozmowa jest najzupełniej prawdziwa.

– Jak to możliwe?

– Czasami nieświadomi niczego, śniący ludzie otwierają przypadkiem takie połączenie z Nawią, a potem opowiadają, że śniły się im koszmary. A to albo duchy miały im coś do przekazania, albo szkodliwe stwory próbowały dobrać się do takiego delikwenta. Otoczenie kreuje twoja podświadomość, dlatego możemy znajdować się w dowolnym miejscu, które się tobie przyśni, ale to, że rozmawiamy, nie jest snem. To jedyne miejsce, gdzie mogę do ciebie przyjść poza Dziadami, ale niestety nie mogę tutaj bywać zbyt często i tylko w czasie przesilen. A i długo nie mogę tutaj zabawić, bo to połączenie jest bardzo słabe. Jeżeli nie wrócę na czas będę błąkał się między światami, aż ktoś mnie nie sprowadzi z powrotem do Nawii. Dlatego nie odwiedzałem cię tutaj jeszcze. Ale tym

razem bardzo chciałem się z tobą spotkać, choć na chwilę. O, jesteśmy w Stole i Wole, zawsze lubiłem tutaj steki.

– Pamiętam – Marek uśmiechnął się do swoich wspomnień. – Janie, cieszę się ogromnie, że cię widzę, ale podejrzewam, że twoja wizyta ma związek z tym co się dzieje w Prawii?

– Nie inaczej. Chciałem ci Marku dać jedną radę, o ile zechcesz wysłuchać starego przyjaciela.

– Od ciebie zawsze, mistrzu.

– Wiesz, że nadchodzi czas próby. Dla Bogów, stworów, duchów i ludzi. Dla Prawii, Nawii i Jawii. Ale również dla ciebie i tylko dla ciebie. Będziesz musiał podjąć wiele decyzji, które zaważą na losach i twoich, i wszystkich światów. Wiem dobrze, kim się stałeś, jestem niesamowicie szczęśliwy, że Bogowie spleli nasze ścieżki, ale proszę cię, pozostań zawsze Markiem. Bądź zawsze sobą i słuchaj własnego głosu, własnej intuicji. Nie Bogów, nie stworów, duchów, czy ludzi. Zaufaj samemu sobie.

– Czuję brzemień tego, co nadchodzi – westchnął adwokat. – Ale kiedy od ciebie to wszystko usłyszałem, jakoś mi lżej. Brakuje mi ciebie, mistrzu.

– Jestem i będę zawsze przy tobie, mimo, że nie zawsze możemy się spotkać. Zapewne będziesz musiał wejść do Nawii, prędzej czy później. Jeżeli zdołasz, przywołaj mnie, porozmawiamy. Muszę już odejść. Pamiętaj proszę. Co by się nie działo, zaufaj własnej intuicji! Bywaj!

– Do zobaczenia Janie! – zawołał Marek do rozplywającego się w powietrzu ducha.

Marek został sam, tym razem w kącinie ukrytej w sadzie w Celejowie. Po chwili siedział już w szkolnej ławce podczas lekcji matematyki i grał z Lukiem Skywalkerem w statki.

\* \* \*

Gdy się ocknął było już całkiem ciemno, cicho i ciepło. Jeszcze chwilę rozpamiętywał oniryczną rozmowę z Janem. Z całą pewnością wizyta Jana w jego śnie była jak najbardziej prawdziwa. Tak samo prawdziwa, jak nieprawdziwa była matematyka w towarzystwie bohatera Gwiezdných Wojen. „Zaufaj intuicji” – cokolwiek to znaczyło, Marek postanowił posłuchać tej rady.

Księżyc powoli wychodził zza ściany lasu. Adwokat wsparł się na łokciach i popatrzył na jego odbicie na tafli stawu. Na wodzie unosiły się

wciąż te same trzy łabędzie, które raczył bułką kilka godzin temu. Ptaki właściwie nie unosiły się, tylko energicznie płynęły w stronę Marka. Adwokat leżał w bezruchu skryty w cieniu i obserwował jak dobijają i niezdarnie człapią na brzeg.

Nagle łabędzie zatrzęśły się jak psiak po wyjściu z kąpieli, pióra opadły, a na ich miejscu pojawiły się trzy zjawiskowo piękne dziewczyny. Marek leżał w bezruchu, aby nie spłoszyć przybyłych, ale one same go zauważyły.

– Och, zobaczcie – szepnęła jedna z nich. – Jakiś młodzieniec tam leży.

– Ojej, czy on nas widzi?

– Chyba widzi!

Dziewczyny zupełnie nie były speszzone, mimo, że stały jak je Bogowie stworzyli. Raczej zaciekawione.

– Hej nieznajomy – uśmiechnęły się do Marka. – Ty nas widzisz?

– Widzę – uśmiechnął się adwokat. – Witajcie brzeginki.

– Ojej – zaśmiały się i klasnęły w ręce – i wie kim jesteśmy! Zatańczysz z nami?

– Nie mogę dziewczęta, skoro was widzę, takimi jakie naprawdę jesteście, to chyba domyślacie się kim jestem.

– Och – demonice ewidentnie posmutniały. – Czyżby Widzący?

– Ale to bardzo ciekawe! Nigdy nie widziałyśmy Widzącego – powiedziała najbliższej stojąca brzeginia i podeszła jeszcze bliżej.

– Nie dziwię się – odparł adwokat. – Ostatnim razem Widzący chodził po Jawii ponad tysiąc lat temu.

– Chyba dużo wiesz o Jawii, prawda? – zapytała ta najbardziej śmiała sadowiąc się na kocu obok Marka. – Opowiesz nam? My nigdy nie mogłyśmy opuścić tego lasu.

Pozostałe również zaczęły ostrożnie siadać wokół Marka.

– Uważajcie – ostrzegł je Marek. – Oparzycie się, jak mnie dotkniecie.

– To nawet nie możemy cię popieścić? – trzy piękności wykrzywiły idealne usta w podkówki.

– A wy, figlarki – zaśmiał się Marek. – No, niestety, taka wada Widzącego. Za gorąca krew dla stworów. Poza tym skończyło się wciąganie nieostrożnych gołowąsów w tany, a potem topienie ich w jeziorze. Nie te czasy.

– Ale my nigdy! – obruszyły się. – Co też!

– Dobrze, dobrze, wierzę – adwokat roześmiał się i uniósł ręce w poddańczym geście. – Żartowałem! Zmieniamy temat. Co chcecie wiedzieć? O czym wam opowiedzieć?

– O wszystkim! – westchnęły chórem.

– Opowiedz nam o wielkim świecie – poprosiła najśmielsza z brzeginek – Coraz więcej ludzi widzimy w naszym lesie, coraz więcej dziwnych domów na kołach, które okropnie cuchną, ale nikt z nami nie rozmawia. Nikt nas nie widzi. To znaczy widzi, ale tylko w naszym łabędzim wcieleniu. Rzucają nam tylko chleb.

I Marek opowiadał. O Asi i Milence, o świecie ludzi, o obcych krajach, o Bogach, o stworach, o Nawii, którą rok wcześniej przemierzał. Opowiadał, aż zapomniał o całym świecie po raz pierwszy od czasu, gdy dostąpił Przejścia. Odkąd pierwszy raz zobaczył Miłą, jak siedziała na balustradzie mostka nad Bystrą. Od czasu gdy Bogów i stwory znał tylko z książek i opowiadań Rokickiego. Wtedy, gdy wszystko było prostsze. Zanim „wziął czerwoną pigułkę”.

Była piękna, wyjątkowo ciepła czerwcową noc, a Marek perorował, z lubością patrząc na fantastyczne kształty wodnych demonów. I tylko spóźniony rowerzysta w bezgranicznym zdumieniu obserwował przez chwilę, jak jakiś stuknięty trzydziestoparolatek mruczy coś do trzech łabędzi siedzących z nim na kocu.

Nagle jedna z dziewcząt zerwała się spłoszona.

– Bogowie! Siostrzyczki już północ!

– Ale zleciało – westchnął adwokat. – Uciekajcie.

– A przyjdiesz jeszcze kiedyś do nas?

– Przyjdę. Przecież często tutaj bywam.

– Wiemy! Tylko już nam suchej bułki nie przynoś – zaśmiała się jedna z brzeginek. – Bywaj dziwny człowieku. Wspaniale było cię poznać.

– Ale „labu, labusie” to ładne było – odezwała się inna.

– Dobrze, będę tak was wołał, jak przyjadę. Bywajcie dziewczęta – Marek uniósł dłoń, ale pomachał już trzem łabędziom, które jeszcze skinęły mu łebkami i poczępały do wody.

Marek jeszcze chwilę obserwował ptaki, które otaczała niemalże niewidoczna, seledynowa mgiełka.

– Co za dzień. I noc... A to jeszcze nawet nie Kupała. – uśmiechnął się do siebie i ruszył na kwaterę w świetle księżycowej pełni.

– Ależ tu jest pięknie – westchnęła.  
– I niesamowicie trochę, nie?  
– Klimacik. I jeszcze łysy na niebie. Idealna pełnia.  
– Ale świeci...  
– Zajebicie, że tu jesteśmy, co?  
– No – zabrzmiał chór głosów wokół ogniska. – Zajebicie. Sztos normalnie.  
– Ej, to co? Zrobimy próbę w plenerze? W świetle księżyca?  
– Weź Wojtek kuźwa, w nocy? To będzie creepy.  
– Jakie creepy? Właśnie mega klimat jest.  
– No właśnie.  
– Julka weź nie świruj. Jest zajebicie.  
– To co? Działamy?  
– Pewnie!  
– Działamy!  
– Kuźwa, zesram się ze strachu przez was.  
– Ala, ty też? Co wy dziewczyny? Działamy. Nie wymiękajcie.  
– Ja nie wymiękam! Weźcie laski, nie możemy się tak dawać facetom.  
– A co ty się, Kacha, taka odważna zrobiłaś?  
– Oj Alka, będzie fajnie. Poza tym przecież musimy to przećwiczyć, bo się zbłąźnimy.  
– Właśnie! Przecież obiecaliśmy sobie, że zagramy to na koniec pobytu.  
– Dobra towarzystwo! Koniec gadania! Jedziemy!  
– Niech wam będzie, wariaci.  
– Super! Gotowi? To od początku.  
Ciemno wszędzie, głucho wszędzie,  
Co to będzie, co to będzie?  
Rozległo się kilka głosów chórem. Po czym zabrzmiał stanowczy męski głos.  
Zamknijcie drzwi od kaplicy!  
I stańcie dokoła truny;  
Żadnej lampy, żadnej świcy,  
W oknach zawieście całuny.  
Niech księżyc jasność błada  
szczelinami tu nie wpada.  
Tylko zwawo, tylko śmiało!  
Jak kazałeś, tak się stało.

Ognisko strzeliło nagle jasnym, mocnym płomieniem i dało się słyszeć pisk mokrego, płonącego drewna.

Młodzi ludzie zgromadzeni wokół ogniska przerwali próbę nieco zdezorientowani.

– Ja jebię, mówiłam, że to będzie creepy.

– A co wy tu, młodzieży? – odezwał się głos zza krzaków.

– Dobry wieczór panie Staszku. Dobry wieczór – odpowiedział chór wesołych głosów. – Zostanie pan z nami? Prosimy!

– Próbujecie, jak słyszałem.

– Próbujemy, ale przydałby się nam reżyser.

– Kochani, dzisiaj nie dam rady. Padam z nóg. Chciałem wam tylko życzyć dobrej nocy i poprosić, żebyście dali dziś pospać staremu człowiekowi.

– Będziemy cicho panie Staszku. Robimy próbę, tylko Ala nie chce, bo się boi – młody mężczyzna pokazał dziewczynie język.

– Weź Wojtas! – obruszyła się kobieta. – Panie Staszku, pan go nie słucha. Wcale się nie boję.

Starszy pan roześmiał się.

– Dobra kochani, odchodzę w objęcia Morfeusza, a wam radzę długo nie biesiadować, bo jutro oddaję was w okrutne ręce Melpomeny i Polihymni.

– Dobrze, panie Staszku. Obiecujemy. Dobrej nocy – odezwały się radosne głosy.

– To co? Kontynuujemy?

– Ale wy faceci jesteście w gorącej wodzie kąpani.

– Dobra, gdzie stanęliśmy?

– Może byśmy zaczęli od:

Już straszna północ przybywa!

Zamykajcie drzwi na kłódki.

Weźcie smolny pęk łuczywa,  
stawcie w środku kocioł wódki.

A gdy laską skinę z dala,  
niechaj się wódka zapala.

Tylko zwawo, tylko śmiało.

Jużem gotów.

Daję hasło.

Buchnęło, zawrzało. I zgasło.

Ciemno wszędzie, głucho wszędzie.

Co to będzie, co to będzie?

Dalej wy z najcięższym duchem,  
coście do tego padołu przykuci zbrodni łańcuchem  
z ciałem i duszą pospołu.

Choć zgon lepiankę rozkruszy,  
choć was anioł śmierci woła,  
żywot z cielesnej katuszy  
dotąd wydrzeć się nie zdoła.

Jeżeli karę tak srogą  
ludzie nieco zwolnić mogą  
i zbawić piekielnej jamy,  
której jesteście tak blisko:  
Was wzywamy, zaklinamy,  
przez żywioł wasz, przez ognisko!

Mówcie, komu czego braknie,  
kto z was pragnie, kto z was łaknie!

Ogień strzelił w górę jeszcze mocniej, a mokre drewno jęknęło  
przeciągle i potępieńczo. Zgromadzeni spojrzeli niepewnie po sobie.

– Ja jebię... – odezwał się drżący, kobiecy głos.

– Weźcie, zaraz się zesram ze strachu.

Nagle z ogniska wyskoczył ciemny kształt, za nim kolejny i jeszcze  
kilka. Rozległ się przeraźliwy pisk kobiet i rozdzierający wrzask  
mężczyzn. W kilka chwil piski i wrzaski przerodziły się w upiorne  
charczenie.

I wszystko nagle ucichło.

Kilka chwil później, ciemne postacie rozbiegły się we wszystkich  
możliwych kierunkach.

Wtem z ognia błysnęło na chwilę trupioblade, ostre światło,  
a następnie z płomieni wynurzył się jeszcze jeden kształt. Kształt przez  
moment formował się i po chwili koszmarne monstrum łypało jedynym  
okiem na pandemonium rozgrywające się na polanie wokół ogniska.  
W miejscu drugiego oka ziała czarna dziura.

Stwór podszedł do najbliższego ciała, położył jedną upiorną łapę na  
czole ofiary, drugą na jej brzuchu. Po chwili zaczął powoli odrywać  
dłonie wyciągając z ciała coś na kształt ulotnej mgiełki, cienia. Cień  
opierał się przez chwilę, wił, po czym cały owinał się wokół dłoni



i upiornych szponów stwora. Ten zaś wrócił do ogniska i cisnął cień prosto w ogień. I tak po kolei ze wszystkimi dziewięcioma nieszczęśnikami. Kiedy skończył swoje przerażające zajęcie ruszył przed siebie i zniknął w mroku.

Ogień zgasł.

\* \* \*

Pan Stanisław ocknął się nagle. Usiadł zaspany na łóżku i nadstawił ucha. Usłyszał coś, jakby pisk. Po chwili dało się słyszeć wrzask, który urwał się gwałtownie.

– Co te dzieciaki... – mruknął pod nosem.

Nasłuchiwał jeszcze chwilę, ale zapadła głęboka cisza. Ucichł nawet słowik, który każdej wiosny umiłał panu Staszкови sen.

– Ech, ta młodzież – westchnął i opadł ciężko na poduszkę. – A jutro będą boleć głowy.

Dyrektor Stanisław Włodek przewrócił się na drugi bok i usnął snem sprawiedliwego.

\* \* \*

Marek pospał sobie trochę dłużej niż zazwyczaj, ale i tak już o godzinie 10.00 wsiadał do samochodu z zamiarem pokręcenia się jeszcze po okolicy. U wiedźmaka, czyli jak się dzień wcześniej okazało, u leszego, drzwi znowu były zamknięte na głucho. Spróbował jeszcze szczęścia nad Minią i nad Stawem Stróżek, ale leśny strażnik zapadł się pod ziemię.

– To może sobie smyrnę na Żmijowiska? – mruknął do siebie.

Żmijowiska od dawna były dla adwokata miejscem, gdzie ładował akumulatory. Albo współorganizował tam obrzędy albo po prostu jechał sam nabrać tchu. Tym razem chciał jeszcze rzucić okiem na miejsce obrzędu. Już za parę dni miała się tam odbyć Kupała. Skoro więc Aśka zapowiedziała babski dzień, to dlaczego nie?

Obrał zatem kurs na gminę Wilków. Nagle odezwał się telefon pierwszymi dźwiękami The Smoke zespołu Amorphis.

– Witam kochany urząd prokuratorski – rzucił adwokat wesoło. – Rozumiem, że znaleźliście wreszcie czas z Fryckiem, żeby do nas wpaść? Bo skoro dzwonicz w niedzielę, to chyba nie służbowo.

– Cześć Marucha – głos prokurator Agnieszki Lisickiej, serdecznej przyjaciółki Marka, jeszcze z czasów liceum, brzmiał jak opadająca płyta nagrobna.

– Aga, co jest? – rzucił zaniepokojony.

– Słuchaj... – teraz był to głos wahającej się opadającej płyty nagrobnej. – Pamiętasz tę hecę z profesorem Kobusem? I z tymi wypadkami na Starym Mieście?

– Aguniu, ja rozumiem, że swoim racjonalistycznym rozumem wypierasz takie fakty, ale to nie heca, ani wypadki, tylko działania słowiańskich demonów. Oczywiście, że pamiętam. W końcu to było ledwo miesiąc temu. Co się tym razem porobiło?

W głośniku zapadła na chwilę grobowa cisza, potem przeciągłe westchnięcie, zakończone cichym jękiem.

– Mam tu chujnię – głos Lisickiej drżał. – Marucha, tu jest dziewięć trupów młodych ludzi, studentów z wypalonymi jakimiś paluchami na czołach. Przyjedź błagam.

– O kurwa... – adwokat raptownie spoważniał. – Możecie niczego nie ruszać zanim nie przyjadę?

– Przetrzymam ich chwilę.

– Gdzie jesteś?

– W Gardzienicach. Tam gdzie teatr. W parku. Marucha, pośpiesz się błagam, bo zawału dostaję.

– Będę za dwadzieścia minut.

\* \* \*

Ciała leżały jak porozrzucone lalki na niewielkiej polanie, na środku której urządzono miejsce na ognisko. Marek ostrożnie rozejrzał się po terenie masakry i zwrócił się do Lisickiej, wyglądającej, jakby bolały ją wszystkie zęby, a trzewia pilnie chciały wydostać się na zewnątrz.

– Nie ma dwóch zdań, Aga. To robota upiora. I to nawet kilku.

– Weź Marucha... Kurwa, co ja mam zrobić? Wszczęć śledztwo przeciwko upiorowi? – jęknęła łapiąc się za głowę.

– Mówię ci tylko, żebyś szykowała się na umorzenie.

– Zajebicie... dziewięć nieboszczyków z wypalonymi ranami czoła i brzucha, a ja sobie nie wykryję sprawcy.

– Czekał, co ty powiedziałaś? Ranami brzucha?

– Tak, łapa na czole, łapa na brzuchu.

– Weź mi pokaż.

Prokurator poprowadziła adwokata do najbliższej leżącego ciała. Marek podciągnął na moment bluzę ślicznej dziewczynie i skrzywił się paskudnie. Dopiero teraz uświadomił sobie, że chwilę wcześniej zdawało mu się, jakby poczuł charakterystyczny smród. Odgonił jednak od siebie tę myśl wcześniej, a teraz miał już pewność. W okolicy splotu słonecznego dziewczyny czerwienił się paskudnie ślad w kształcie dużej, szponiastej dłoni. Poczuł, że robi mu się niedobrze.

– Zajebicie, kurwa. Zajebicie – pokręcił głową.

– No fajnie, że wreszcie oboje jesteście niezadowoleni z tej chujni – sarknęła Lisicka.

– Chujnię, kochanie, to dopiero będziecie mieli na całej Okopowej. Nie wiem jak to się stało, ale ci nieszczęśnicy sprowadzili tu wieszczego.

– Czego wiem? – zbaraniała Lisicka.

– Nie czego TY wiesz, tylko wieszczego. Tak się ten stwór nazywa. W skrócie najgorszy możliwy do wyobrażenia demon. Bydlak, który jak zacznie polowanie, to wam lodówek w prosektorjach zabraknie.

– Jezu, weź przestań – jęknęła prokurator.

– Niestety, Jezu tu nie pomoże.

– Ale skąd wiesz, że to właśnie to?

– Ślady na czole i na brzuchu o tym świadczą. Przede wszystkim na brzuchu. Tamtędy wyciągnął z tych biedaków dusze i zrobi z nich splugawione stwory. Złe demony – dodał widząc niezrozumienie malujące się na twarzy prokurator Lisickiej. – Poza tym, poczułem jego smród.

Rozmowę przerwało nagle pojawienie się policjanta z przerażonym mężczyzną.

– Dzień dobry panie Stanisławie – Lisicka uścisnęła dłoń dygoczącego człowieka. – Marku, pozwól pan dyrektor...

– Znamy się z panem mecenasem – Stanisław Włodek słabym głosem wszedł w słowo prokurator. – Co u ojca?

– Dziękuję, panie Staszku. W najlepszym porządku – odparł Marek ściskając drżącą rękę dyrektora teatru.

– Boże, te dzieci... – zaczął Włodek i ukrył twarz w dłoniach.

– Panie Staszku – zaczął powoli adwokat. – Muszę wiedzieć, co oni robili ostatniej nocy. Był pan z nimi?

– Nie byłem. Przyszedłem do nich tylko na chwilę przed północą. A co robili... – zaczął dyrektor. – Bawili się, jak to młodzi. Piwko, kiełbaski...

Ale to wspaniali ludzie są... byli... Zwyczajna młodzież to by się spała i pospała, a ja przychodzę do nich, a oni co robią? „Dziady” ćwiczą.

– Co robią? – zdziwiła się Lisicka, a Markowi ścierpła skóra.

– „Dziady” Mickiewicza. Chcieli zrobić etiudę na koniec pobytu.

– Druga część – Marek raczej stwierdził, niż zapytał.

– Druga – skinął głową dyrektor. – Skąd pan wie?

– Zgadłem – Marek uśmiechnął się do dyrektora na tyle serdecznie, na ile pozwalała mu buzująca pod skórą mieszanina wściekłości i bezradności.

Dalszej części rozmowy prowadzonej przez panią prokurator i dyrektora już nie słuchał. Przeprosił oboje na chwilę i zaczął niby przechadzać się po parku, jednocześnie czujnie rozglądając się.

W końcu poczuł ledwo wyczuwalny fetor. Poszedł za tym zapachem kilka kroków. Wieszczy ewidentnie kierował się na północny zachód. W kierunku Lublina.

Z ponurego zamyślenia wyrwała go Lisicka.

– Po minie widzę, że jest źle. Co mi jeszcze fatalnego powiesz? Chociaż chyba wolę nie wiedzieć.

– Nie mieli ci studenci co wystawić, tylko akurat drugą część „Dziadów”

– Marek pokręcił głową – I to, kurwa mać, na chwilę przed Kupałą!

– A to ma jakieś znaczenie, mam rozumieć?

– Agu, druga część „Dziadów” to najbardziej znany przepis na otwarcie przejścia między Jawią, a Nawią i niemalże zaproszenie dla stworów z Nawii. Na szczęście, a w tym przypadku na nieszczęście, znany jest tylko od strony literackiej, a niewiele osób wie, o tej drugiej funkcji „Dziadów”. Dodatkowo pojutrze mamy Kupałę. To czas niezwykle magiczny, co sprawia, że jest większa szansa na sprowadzenie czegoś naprawdę paskudnego i potężnego. Na przykład takiego stwora, jak wieszcy właśnie.

– Biedne studenciaki... – zaczęła Lisicka.

– Biedne studenciaki wszystko zrobili źle. Gorąca noc, ognisko, pełnia, inwokacje z „Dziadów” i masz pani prokurator placek. Ale w sumie skąd mieli wiedzieć... Do tego wszystkiego te wypalone łapska na ich ciałach świadczą o tym, że wieszcy wyciągnął z tych biedaków dusze. I zapewne zmieni ich w stwory. Nie wiem tylko jakie, ale z pewnością szkodliwe i wynaturzone. Biedaki...

Lisicka popatrzyła na przyjaciela, jak na kosmitę.

– Nie patrz tak na mnie, Agnieszka. Mamy problem. Wy będziecie mieć wkrótce takie zdarzenia codziennie, a ja na karku skurwiela, który morduje, co popadnie i zapewne będzie szukał... mnie. Chyba, że to ja go wcześniej znajdę i zatłukę.

Tym razem Lisicka popatrzyła na przyjaciela, jak na kosmitę z czułkami.

– A to niby dlaczego ciebie?

– Z powodu tego, kim jestem. A kim jestem to już chyba się zorientowałaś, choćby po tej „hecy z Kobusem”, jak to eufemistycznie ujęłaś.

– No, ksiądz biskup był tobą niemalże zachwycony – Lisicka wyszczerzyła się do adwokata.

– Porządne z niego chłopisko. Coś czuję, że się będę z nim spotykał od czasu do czasu i to z całą pewnością nie w sprawie dysput teologicznych.

– Czyli jesteś wiedźminem i ostatnią nadzieją białych – prychnęła po chwili prokurator.

– Można to tak określić. I racz wreszcie po tylu historiach, z tą na czele, uwierzyć przyjacielowi, z którym się znasz ponad połowę życia. I daj spokój z tym wiedźminem. Już mi Marcin tak wrzucił.

– Aha, to jeszcze Piękny Marcin wie, że zabijasz demony? Niedługo dla wszystkich to będzie normalne, jak widzę – Lisicka skrzywiła się.

– Może nie jest to normalne, ale jest. I nie ma co negować rzeczywistości.

– Czyli podsumujmy: szukamy ducha...

– ... stwora – wszedł jej w słowo Marek. – nie ducha, tylko stwora. Demona. Bardzo potężnego.

– ... demona, czy tam stwora, za którym teraz wydamy list gończy – ironizowała Lisicka. – W międzyczasie będziemy liczyć trupy, bo on będzie zabijał. Chyba, że ty go zabijesz, bo on dybie na twoje życie. Jezu! Marucha, jak to w ogóle brzmi? Co ja w ogóle przez ciebie bredzę? Szefer będzie w siódmym niebie – zaśmiała się histerycznie.

– Agu? Zawiodłem cię kiedyś? Kiedykolwiek? Poza tym sama wspomniałaś Kobusa i te wypadki na starówce. Poza tym przypominam, że to ty mnie tutaj wezwałaś.

Lisicka popatrzyła na Marka. Oczy jej błyszczały.

– Gdybym cię nie kochała, jak brata, to chyba bym cię walnęła normalnie – westchnęła. – Dobrze. Ja będę robić swoje, a ciebie proszę

zrób... – zawahała się – co możesz. Znajdź i zabij to... to coś.

– Wieszczego.

– Wieszczego... Co ja bredzę. Przecież ja nie wierzę w duchy. Jezu!

– W stwory, Agu. W stwory. W boga chrześcijan też nie wierzysz, a ciągle wyskakujesz z tym „Jezu”.

– Weź, bo naprawdę cię palnę – uśmiechnęła się, po raz pierwszy tego przedpołudnia.

W tym momencie rozległo się ciche piknięcie. Adwokat wyjął telefon i wyświetlił SMS – „Coś się dzieje. Proszę o kontakt. Paulina (od wampierza)”

– Zajebicie – westchnął. – Wracam Aga. Już nic tu po mnie. Informuj mnie na bieżąco.

– Masz to u mnie – Lisicka pocałowała Marka w policzek, a ten odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę samochodu.

Po drodze wybrał numer.

– Dzień dobry – odezwał się kobiecy głos w słuchawce – przepraszam, że w niedzielę, ale prosił pan o kontakt jakby się działo coś niepokojącego. Właśnie coś się dzieje.

– Bardzo dobrze pani zrobiła. Co się stało?

– Czy możemy się spotkać? Chciałabym z panem porozmawiać. Albo jestem przewrażliwiona albo naprawdę coś dziwnego się dzieje.

– Dobrze. Kiedy?

– Ja za chwilę wyjeżdżam na trzy dni. Może w środę wieczorem? Powiedzmy o siódmej, u mnie?

– Dobrze, będę. Miłego urlopu.

Masz babo placek. I jeszcze ta cała Paulina. Nowy kłopot na głowie. Zaklinał po cichu wszystkie demony, żeby okazało się, że kobieta coś sobie roi, a to, co od tygodnia się dzieje to najczystszy w świecie przypadek, nie mający najzupełniej nic wspólnego z wygnanym bogiem.

\* \* \*

Wreszcie nadszedł najdłuższy dzień w roku i najkrótsza, ale najbardziej magiczna noc – Noc Kupały. Marek prawie niczym innym nie żył przez dwa poprzedzające ją dni. Prawie, bo radosny nastrój oczekiwania na najpiękniejszą noc w roku i planowanie obrzędu mąciły mu myśli o tym przekętym wieszczym, czającym się gdzieś niedaleko i o tych zakichanych bałwanach, które musi jak najszybciej znaleźć.

Wprawdzie nie dostrzegają jeszcze niczego niepokojącego, a zachowanie żmijów na dachu domu nie wskazywało na jakiegokolwiek zagrożenie, ale wieszcy był tu, w Jawii. Może czekał gdzieś na odpowiedni moment? Może obserwował już jego dom? Jeżeli to Biezdar we własnej osobie, to wiedział przecież, gdzie Marek mieszka. Nie będzie musiał długo szukać. Jeżeli inny wieszcy, to prędzej, czy później go wytropi.

Obojętnie który z Siedmiu to był, z pewnością szykował się do ataku, ale z taką samą pewnością ten moment nie mógł nastąpić w Kupale. Święte, kupalne ogniska stanowiły zbyt potężną zaporę przed wszystkim, co złe. Wszystkie stwory – dobre, złe, neutralne, wychodzą w Kupalę do kupalnych ogni, jak ćmy do świateł, ale trzymają się z dala od blasku. Obserwują skryte w mroku.

Marek odganiał od siebie ponure myśli. Jego kobiety były bezpieczne na wyjeździe u koleżanki Aśki. Oczywiście w niewidzialnej obstawie żmijów. Dopiero następnego dnia po Kupale miał je przywieźć z powrotem do domu. Koniec końców był długi weekend, zapewniony przez chrześcijańskie święto Bożego Ciała, wypadające idealnie w dzień po Nocy Kupały.

Lubelscy rodzimowiercy postanowili świętować Kupalę na Grodzisku Żmijowiska, tak bliskim sercu Marka. Adwokat czuł, że to miejsce wręcz promieniuje szczególną mocą. W tym roku chciał, aby też i jego przyjaciele poczuli tę moc.

Bazę urządzili na gościnnym terenie Siedliska Żmijowiska, kilkaset metrów od grodziska. Zaczęli od wysłuchania interesującego wykładu o grodziskach w dolinie Chodelki i kuchni Słowian w wykonaniu dyrektora Grodziska Żmijowiska Leszka Pawelskiego, który zawsze był ogromnie życzliwym gospodarzem dla lubelskich rodzimowierców. Po czym, gdy słońce powoli zbliżało się do horyzontu, gdy nadszedł właściwy czas, wszyscy zgromadzeni przeszli radosnym korowodem na teren grodziska.

Mężczyźni ustawili i przygotowali obrzędowy stół, kobiety rozeszły się po łące i plotły kupalne wianki, część osób poddało się wyjątkowej magii miejsca. W końcu słońce zaczęło chować się za horyzont i wszyscy stanęli w kręgu. W środku zapłonął święty, kupalny ogień.

Marek, odkąd zabrakło Rokickiego, piastował w grupie funkcję żercy – kapłana sprawującego obrzędy. Pełnił tę godność wraz z pozostałym dwojgiem żerców – Hanką i Krzyśkiem.

Wszyscy zebrali się wokół świętego ognia.

– Zamykam krąg! – zakrzyknął Krzysiek obchodząc wokoło krąg zgromadzonych. – Zamykam krąg, alby nic złego nie miało do nas dostępu. Zamykam krąg, abyśmy godnie wypełnili powinności dla Bogów! Abyśmy oddali cześć Bogom, duchom, stworom, przodkom i ludziom.

Hanka i Marek postępowali za nim sypiąc sól, hałasując kołatkami i gwizdkami, aby odpędzić wszystko, co złe.

– Witaj nam gościu w czerwonym płaszczu – rozpoczął obrzęd Marek składając pokłon w kierunku świętego ognia. – Witaj ogniczku boży i nie daj nas nigdy zubożyć!

– Świętowicie! Panie niebios! Ojczyce Bogów i władco wszechrzeczy – Krzysztof zwrócił się do czterotwarzowego Boga. – Dla ciebie ten miód, dla ciebie kasza. Prosimy cię, obyś w opiece miał wszystko, co widzialne i niewidzialne we wszystkich trzech dziedzinach.

Potem, po kolei, żercy zwracali się do kolejnych Bogów składając im ofiary.

– Swarogu! Boski kowalu. Ty wykułeś dla nas słońce, które jest życiem, ty stworzyłeś dla nas gwiazdy, ty dałeś nam swego syna Swarozycyca, by jego płomień ogrzewał nasze ciała i dusze, żeby nas karmił i oświetlał nasze ścieżki. Swarogu! Swarozycu! Dla was ten chleb, który bez waszego ognia nigdy nie powstałby i nas nie pożywił. Sława Swarogowi! Sława Swarozycowi!

– Sława! – zakrzyknęli wszyscy zgromadzeni, a Marek złożył do ognia dorodny bochen chleba.

– Perunie! Ty wspierasz nasze ramiona, ty wspierasz nasze umysły i zamierzenia w codziennej walce z przeciwnościami losu, naszymi zmartwieniami i kłopotami. Wspieraj nas, a nie doświadczaj, służ radą, a nie bądź dla nas srogi i nie zostawiaj w potrzebie. Wspieraj nas w naszej walce – z codziennymi problemami i przeciwnościami. Ku twojej chwale ten róg pełen miodu. Sława Perunowi!

– Sława!

– Mocoszy! Mateczko! Jesteś teraz płodna. Plonuj nam, ródź nam, dbaj o nas, dbaj o wszystko, co żywe, nakarm nas, abyśmy w święto Plonów mogli radować się z pracy naszych rąk i z pracy naszych umysłów. Bądź dla nas łaskawa, Mateczko. Dla ciebie pożywne mleko.



– Sława Mokoszy! – zakrzyknął krąg, gdy Hanka wlewała w ziemię mleko z rogu.

– Welesie! – zaczął Krzysiek, a adwokat poczuł lekkie ukłucie z tyłu głowy – to nie twój czas, ale wiemy i pamiętamy, że baczysz na nas. Prosimy nie szczędź nam swoich łask, nie szczędź nam dobrobytu, a i pilnuj naszych postanowień, miej baczenie na słowa, które daliśmy i dane nam przez innych, a gdy już staniemy przed twoim obliczem nie sądz nas zbyt surowo. Dla ciebie ta kość. Welesowi sława!

– Sława!

– Strzybogu! – zakrzyknął Marek. – Ty zawsze jesteś nam łaskawy. Prosimy cię owiewaj ożywym tchnieniem nasze pola, schładzaj nasze rozgrzane umysły, podsycaj w nas żar, ale i gaś, gdy zbyt intensywnie płonie. Nie doświadczaj nas swym gniewem, a racz nadal nas wspierać. Przynoś nam wszystko co dobre. Sława Strzybogowi!

– Sława! – wykrzyczeli wszyscy, a Marek cisnął garść mąki w powietrze, a drugą garść w kupalne ognisko. Płomień wystrzelił jasno i gwałtownie pożerając mączne drobinki. Adwokat wiedział, że to znak. Nie tylko podsycony chwilowo żar.

– Dziękuję – szepnął i uśmiechnął się pod nosem.

Potem Marek oddał hołd Rodowi i Siemargłowi. Krzysiek zwrócił się do przodków, Hanka złożyła uszanowanie duchom nazwanym i nienazwanym oraz pozdrowiła ludzi.

Po tym nastąpiła zdawica. Wszyscy zebrani po kolei podchodzili do ognia i składali ofiarę mówiąc o swoich intencjach, bądź w ciszy. Marek bacznie obserwował zgromadzonych i święty ogień. Było dobrze. Widać było, że Bogowie przyjmowali ofiary chętnie, bo płomień strzelał wysoko z każdą złożoną doń trzebą.

Obrzęd przebiegał godnie i pięknie, a w międzyczasie nastąpiła noc. Adwokat spojrzął ukradkiem poza krąg i poza okrąg światła, które dawało obrzędowe ognisko. Róg krążył z rąk do rąk, a Marek obserwował. Tam na skraju blasku i mroku pojawiało się coraz więcej stworzeń, które zaciekawione obserwowały obrzęd. Lis, jeź, sarny, drobne gryzonie.

Byli też inni goście, których dostrze mógł już tylko Marek – rusałki, brzeginki i boginki, które powychodziły z pobliskiej rzeki Chodelki. Przyczajony nad brzegiem rzeki, łypał na święty ogień wodnik. I wiły! „Wiły się wiły w Noc Kupały” przypomniał się Markowi utwór zespołu

Żywiołak. Ciekawe, co by było, gdyby wszyscy zgromadzeni nagle zobaczyli tę swoją publiczność.

Nagle dostrzegł jeszcze coś. Czarne, duże kocisko świdrowało go wzrokiem. Zobaczył wokół zwierzęcia żółtozieloną, delikatną poświatę, znamionującą stwora, ale raczej neutralnego.

Zdrawica skończyła się i żercy ponownie okrążyli krąg okrzykami, klekotaniem kołatek i gwizdaniem przepędzając wszystko co złe. Uczestnicy powoli zaczęli rozchodzić się po grodzisku. Jedni porozsiadali się na ławkach, inni udali się zażyć pierwszej w roku kąpieli w rzece. Czmychnęły też zwierzęta i stwory. Zniknął również tajemniczy czarny kot.

W końcu żercy dali sygnał na biesiadę i wszyscy udali się z powrotem do Siedliska Żmijowiska.

Rozpalono ogień, rozstawiono kociołki z jedzeniem, zaczęły się śpiewy, tańce, goście z Warszawy grali na gitarze i bębnach, ktoś wyciągnął piszczałkę, ktoś dudy i zaczęła się całonocna biesiada.

Marek z jakiegoś powodu nie mógł sobie znaleźć miejsca. Krążył po Siedlisku, czując w sobie jakiś wewnętrzny niepokój. Właściwie nie można było powiedzieć, że to niepokój, a raczej lekko nieznośną... ekscytację. Odszedł w końcu od rozbawionego towarzystwa i spojrzał za płot, w kierunku pół muskanych srebrnym światłem księżycą.

Nagle znowu spostrzegł tego samego czarnego kota, którego widział podczas obrzędu. Zwierzak stał na polnej drodze wpatrując się bacznie w adwokata, po czym odwrócił się i zaczął maszerować powoli drogą. Po chwili przystanął, znowu się odwrócił i znów spojrzał na Marka.

– Mam za tobą iść zapewne? – rzucił w kierunku kota. – Kim jesteś zwierzaku? Bo na pewno nie kotem, ani nie welesowym pomiotem. Wyglądasz mi na kłobuka.

Kocisko miało krótko i ruszyło przed siebie. Adwokat zostawił biesiadujących i ruszył za kotem polną drogą, oświetloną blaskiem księżycowej pełni. Zwierzak prowadził go do lasu. Byli już niemalże na jego skraju, gdy nagle spośród drzew wynurzyła się powoli zgarbiona staruszka.

– Baba Jędza! Witajcie babko – Marek ukłonił się istocie z lasu. – Jestem zaszczycony, że mogę poznać. Czym mogę pani służyć?

– Witaj Widzący! Wolę Baba Jaga, jakoś przyjemniej dla ucha – głos staruszki skrzypiał jak nieoliwione zawiasy. Kot z lubością ocierał się o jej

nogi. – Pięknie świętujecie, wy młodzi. Od dawna was podpatruję.

– Dziękuję babko, przekazałbym pozostałym, ale sama wiesz...

Baba Jaga pokiwała siwą głową.

– Rada jestem cię wreszcie spotkać, młodzieńcze. Rada jestem, bo wiem, że żywe i nieżywe, nazwane i nienazwane chcą ci pomóc, bo nasz świat jest zagrożony. Chcę ci pomóc i ja, ale najspierw powiem tobie coś. Pamiętaj! Słuchaj siebie, ufaj sobie i wierz w swoje przecucia. One niech cię wiodą.

– Ostatnio często to słyszę.

– I pewnie jeszcze usłyszysz nie raz, młodzieńcze, bo wszystko będzie chciało ci pomóc. Również radą. A teraz, kiedy zbliża się trwoga, od ciebie będzie zależeć dużo. Jesteś kim jesteś, ale jesteś też dobrym i mądrym człowiekiem. Nie zapomnij tego nigdy – Baba Jaga spojrzała Markowi przeciągle w oczy. – Wyciągnij rękę.

Marek usłuchał, a staruszka położyła mu na dłoni niewielki, biały kwiatek w kształcie dzwonka.

– Co to?

– Nie domyślasz się młodzieńcze?

– Czyżby... kwiat paproci?

– W rzeczy samej. Schowaj go i pilnuj. Kiedyś może ci się przydać.

– Czytałem, że jak już znajdzie się w Noc Kupały kwiat paproci, to będzie się miało niewiarygodne szczęście.

– Ty już masz go sporo, prawda? – staruszka przekrzywiła głowę bacznie wpatrując się ciągle w oczy adwokata.

– Mam, ale to chyba bardziej pomoc Bogów i stworów, niż kwestia szczęścia.

– Widziałam, co może się wydarzyć, albo nie wydarzyć. Wiem, że w którejś krainie będą dziać się sprawy, które zmienią nasz los. Wszystkich nas. Stać się może i tak, że będzie się to dziać tutaj. W Jawii. Wtedy i ja tobie pomogę. Pomoże ci wszystko, co żywe, dobre i piękne.

– To chyba nie przypadek, że się dziś spotkaliśmy, prawda?

– Nie ma na tym świecie przypadków. Wszystko dzieje się po coś. Sam wiesz dobrze, że Jawia zamieszкана jest nie tylko przez ludzi, ale i przeróżne stworzenia, widzialne i niewidzialne. I wszystkie są teraz w trwodze – Baba Jędza zniżyła głos. – Będiesz teraz spotykał wiele stworów, żywiołków, boginek i boginów. Wszyscy będą chcieli cię poznać i wszyscy obiecują ci pomoc. Bo nadchodzi Trojan.

Ostatnie zdanie Jędzia wypowiedziała szeptem, który przyprawił Marka o zimne dreszcze.

– Zachowaj ten kwiat. Będiesz wiedział, kiedy go użyć.

Nagle znad lasu sfrunęła bezszelestnie niewielka chatka i przycupnęła nieopodal na wielkiej, kurzej nodze. Baba Jaga uśmiechnęła się bezzębnym uśmiechem do adwokata.

– Czas na mnie, a ty wracaj do swoich. Obyśmy następnym razem spotkali się w takim czasie, a nie dlatego, że ten, który przez wieki był uwięziony nawiedzi nasz świat.

– Bywaj szlachetna pani – Marek pomachał Babie Jędzy, która powoli zniknęła we wnętrzu chatki. Za nią wślizgnął się czarny kot.

Po chwili chatka bezszelestnie uniosła się i zniknęła za koronami drzew.

– Kocham Noc Kupały – Marek uśmiechnął się pod nosem i ruszył z powrotem na biesiadę.

Po drodze natknął się jeszcze na Janka i Goškę migdałących się pod płotem.

– Bogowie? – mruknął uśmiechając się pod nosem. – Nie za wesoło wam dzisiaj? Jeszcze mi Czerwonego Kapturka z wilkiem ześlijcie.

Zanim Marek dotarł na teren Siedliska Żmijowiska minął go jeszcze na skuterze jakiś chłopak w czerwonym kasku. Za skuterem biegł wielki, czarny pies.

\* \* \*

Następnego dnia Marek przywiózł do domu Aşkę z Milenką. Żona była w szampańskim niemalże nastroju. Parę dni w oderwaniu od codziennych spraw zdecydowanie dobrze jej zrobiło i wywiało z głowy pamięć o ponurych wypadkach.

Wykorzystując dobry humor Aški, Marek wymknął się z domu pod pretekstem biznesowej kolacji i pojechał na spotkanie z Pauliną.

Gdy otworzyła mu drzwi pozostało tylko jęknąć w duchu z wrażenia. Tej nocy gdy ratował ją z łap wąża nie było za bardzo możliwości przyjrzenia się zjawisku, które teraz stało w drzwiach i uśmiechało się do niego nieco speszone. Marek zawsze pałał platoniczną miłością do Nicole Scherzinger, a teraz spoglądał na nawet ciut ładniejszą, a z pewnością młodszą wersję piosenkarki.

– Dzień dobry – stęknął. – To znaczy dobry wieczór.

– Dzień wieczór. Jak się cieszę, że pan przyszedł. Proszę, niech pan wejdzie.

Wpuściła go do środka i spojrzała mu przeciągle w oczy, kiedy stał jak głupek w odurzającym zapachu jej perfum. Wziął się w garść.

– Mam nadzieję, że dobrze się pani czuje.

– Może przestańmy sobie panować, dobrze? Paulina.

– Marek.

Miała mocny uścisk dłoni jak na tak eteryczną istotę.

Marek był już w tym wieku, że potrafił wyczuć, że przez najbliższe chwile będzie zachowywał się jak pacan, mimo, że będzie starał się ze wszystkich sił w ten sposób nie zachowywać.

– Co się stało Paulino? – zapytał gdy usiedli w salonie.

– Wiesz... z początku myślałam, że jestem przewrażliwiona – zaczęła niepewnie. – Następnego dnia po... no, po naszej przygodzie, wracałam z pracy. Pracuję w magistracie więc mam do domu parę minut piechotą. Wyszłam jak zwykle o 15.30 i nie wiem co się stało i jak to się stało. Szłam prosto do domu i... dotarłam na 18.30. Nie wiem, co się działo przez trzy godziny.

Złapała Marka za rękę, a on poczuł, że się czerwieni jak licealista.

– Marek! Zgubiłam trzy godziny życia! – popatrzyła na niego, a w jej oczach zalśniły łzy. – Jak spojrzałam na zegarek byłam w szoku... Następnego dnia strasznie bolała mnie głowa, cały dzień. Wróciłam z pracy tym razem normalnie, położyłam się na chwilę i obudziłam w środku nocy przy otwartym na oścież oknie. A głowę dam, że go nie otwierałam. Kolejnego dnia znalazłam na parapecie z mumifikowanego szczura i postanowiłam się z tobą skontaktować.

– Bardzo dobrze zrobiłaś. Coś mi się wydaje...

– To nie wszystko – weszła mu w słowo Paulina. – Dzisiaj, jak wróciłam z wyjazdu, pojawiło się... Zresztą, chodź zobacz.

Kobieta podeszła do drzwi balkonowych, odsłoniła firankę i otworzyła drzwi balkonowe. Marek stanął w progu i wybałuszył oczy.

– O ja pier... – pohamował się w ostatniej chwili.

– No, ja też pier – westchnęła bezradnie.

Balkon dosłownie tonął w ptasich odchodach. Nie był zabrudzony, nie obesrany, po prostu wyglądał jakby był cały ulepiony z ptasich kup. Na balustradzie, tyłem do okna siedziało kilka zupełnie niewzruszonych gołębi.

– Nie spodoba ci się to, co powiem.

– Wiesz co? – mruknęła ponuro. – Po tym co mnie ostatnio spotyka, to nie spodziewam się, że mi się spodoba. I chyba jestem w stanie uwierzyć we wszystko.

– Z jakiegoś powodu zaczęły cię prześladować demony. I to niestety nie jeden. Na mój nos to robota chechła, błudona i zwodnika. A ten elegancki balkon wskazuje, że szykują się na dziś.

Paulina popatrzyła na adwokata przeciągle, jakby jej rozum mocował się z właśnie usłyszaną rewelacją.

– Co to znaczy – „na dziś”?

– To, że będą chcieli cię dopaść. Dziś w nocy.

– I co ja mam teraz zrobić? – w oczach dziewczyny znowu pojawiły się łzy.

– Błagam pomóż mi

– Pomogę, ale musisz zrobić wszystko co ci powiem.

– Co tylko trzeba.

– Wychodzimy z domu. Ty idziesz do sklepu po słoik chrzanu i ze trzy litry spirytusu. Nie wracaj do domu, aż po ciebie zadzwonię. I miej oczy dookoła głowy. Cały czas obserwuje cię chechło i mam nadzieję, że pójdzie za tobą. Ja odstawię samochód, że niby pojechałem. Jak uda się go wyprowadzić w pole, to wrócę i rozejrzę się, czy coś się jeszcze nie kręci po okolicy. Jeżeli będzie czysto to zadzwonię po ciebie. Będę czekał na klatce. Staraj się zachowywać jak najnaturalniej.

Rozeszli się każde w swoją stronę. Jak przewidywał Marek, chechło podążył za Pauliną przeskakując z dachu jednej kamienicy, na drugi. Poza tym, jak zbadał Marek, inne stwory najwyraźniej nie kręciły się w pobliżu. Chyłkiem wszedł zatem do budynku, czujnie się rozglądając.

Kobieta wróciła po pół godzinie.

– Włącz światło, pokrzątaj się trochę po mieszkaniu i udawaj, że idziesz spać – poinstruował Marek chowając się do ciemnego pokoju. – Siedź potem w sypialni i pod żadnym pozorem nie wychodź zanim sam po ciebie nie przyjdę. Nie wiem ile to wszystko potrwa. Możesz usłyszeć różne rzeczy, ale nie wolno ci wychodzić. Rozumiesz?

Paulina przestraszona pokiwała tylko głową.

– Spokojnie, będzie dobrze – uśmiechnął się żeby dodać jej otuchy. Odwzajemniła słabo uśmiech.

Kobieta wykonała dokładnie polecenia Marka i wkrótce całe mieszkanie pograżyło się w ciemnościach. Paulina zniknęła w sypialni. Marek wyszedł z ukrycia i otworzył zamek w drzwiach wejściowych. Następnie rozebrał się do bokserów, natarł ręce i klatkę piersiową chrzanem, zlał spirytus do rondla i usiadł w salonie, kładąc pod ręką odziedziczony po Rokickim miecz – Żmij.

Mieszkanie Pauliny rozłokowane było w amfiladzie i z miejsca, w którym siedział, Marek miał doskonały widok na drzwi wejściowe, będąc jednocześnie samemu niewidocznym. Cokolwiek by nie weszło przez drzwi musiało przejść obok zaczajonego Marka. Adwokat siedział w ciemności rozjaśnionej nieco docierającym blaskiem lamp ulicznych i czekał.

– Co za życie – pomyślał w pewnej chwili. – Siedzę na golasa w mieszkaniu zajebistej laski, która leży teraz w łóżku, a ja czekam z mieczem na demona. Obłąd.

Minuty mijały i nic. Marek powoli zaczął tracić nadzieję, gdy nagle klamka zaczęła powoli, bardzo, bardzo powoli opadać. Migiem porwał Żmija i rondel ze spirytusem i schował się za wielką szafą. W końcu po kilku minutach drzwi zaczęły się równie powoli otwierać. Adwokat obserwował, jak do mieszkania pomału wlewa się ciemny, przygarbiony kształt.

– Zmora... – szepnął do siebie.

Postać po cichu zamknęła drzwi i poczęła sunąć przez korytarz z wyciągniętymi łapskami. Powoli i bezgłośnie zmora zbliżała się do pokoju, gdzie spała Paulina. Wciąż nie wywąchała zaczajonego za szafą człowieka. Chrzan skutecznie zabijał jego zapach. Stwór dotarł na wysokość kryjówki adwokata.

Nagle w powietrzu świsnęło żelazo odcinając zmorze ramię. Odcięty kikut spadł na podłogę przy akompaniamencie potępieńczego wycia zmory i zaczął się spopielać. Adwokat błyskawicznie chlusnął na niego spirytusem. Spopielenie zatrzymało się.

Dopiero teraz zmora zobaczyła napastnika i ruszyła z impetem w jego stronę. Marek nawet nie próbował się bronić. Stwór błyskawicznie rzucił się Markowi na plecy i jeszcze szybciej zeskoczył z niego z ogłuszającym piskiem. Marek niewzruszony schylił się po leżący na podłodze kikut.

– Co? Parzy? – rzucił z drwiną adwokat.

Zmora łąpała to na Marka, to na jej odciętą łapę w jego dłoni. Stwór wiedział, że Widzący dzierżący cząstkę stwora miał nad nim pełną władzę.

– Czego! – wycharczała.

– To ja pytam – czego? – odparł Marek. – Czego chcecie od tej dziewczyny? I co kombinujecie z tym chechłem i tym, byłym już, wapierszem?

– To przynęta. My chcieć twoja – zabełkotała zmora.

Marek wiedział, że konwersacja ze zmorą może przypominać rozmowę wołu z prosięciem, bo zmory to akurat jeden z durniejszych rodzajów stworów, ale postanowił wydusić z niej ile się da.

– Domyślam się, że wy chcieć moja. Pytam kto?

– Siedmiu.

– To mi nowina – sarknął adwokat. – Jednak głupio pytam... Dobrze, to co teraz z tobą zrobić? A tak w ogóle, to masz świadomość, że jeden z Siedmiu pojawił się właśnie w Jawii?

Zmora łąpnęła spode łba na adwokata.

– Nu ni.

– To chyba marną macie komunikację, ale... czekaj. Wiem co z tobą zrobić. Zaprowadzisz mnie do tego wieszczego.

– Ni mogu – zabuczała zmora. – Ni wim.

– Nie wiesz? – Marek wyszczerzył się do stwora i pomachał mu przed nosem odciętym kikutem. – To ja sobie zachowam na trochę twoje łapsko, a ty masz czas do jutra do północy. I na pewno się dowiesz, bo ja wiem doskonale, co mogę z twoją kończyną zrobić. Nie będzie ci wesoło. Spotkamy się na cmentarzu przy grobie Bezmira. Na pewno też się dowiesz, co to za postać. W tym mieście nie ma stwora, który by nie znał Bezmira. Pojąłeś stworze?

Demon pokiwał tylko kudłatą głową.

– W takim razie żegnam. I radzę ci być jutro na cmentarzu.

Zmora okręciła się powoli w stronę drzwi i wycłapała z mieszkania.

W tym samym momencie, przez uchylony lufcik, wpełzł do sypialni Pauliny cień, który wąską stróżką wniknął do półprzymkniętych ust śpiącej kobiety. Ta ocknęła się nagle, wstała z łóżka i otworzyła drzwi od sypialni. Marek właśnie odstawiał rondel po spirytusie na stolik.

– Już po wszystkim? – mruknęła miękko głosem.



– Prosiłem, żebyś nie wychodziła – rzucił Marek odwracając się w jej stronę.

Stała całkiem naga i obłędnie piękna.

– Ale już po wszystkim?

– Po wszystkim... – wydukał.

Paulina podbiegła do Marka i przywarła do niego. Adwokat osłupiał, a rosnące podniecenie boleśnie dawało mu znać.

– Uratowałeś mnie – szepnęła mu do ucha i zaczęła delikatnie pieścić go po plecach. – Jesteś cudowny.

Marek odwzajemnił pieszczoty. Paulina chwyciła go za dłoń i zaczęła powoli ciągnąć adwokata w stronę sypialni. On pozwalał się prowadzić. Tracił głowę, a wszystko wokół przestawało mieć znaczenie.

Wylądowali w sypialni. Zaczął pieścić jej piękne, idealne piersi i wtedy go pocałowała. Odwzajemnił pocałunek, ale już tak miał, że nie zamykał oczu przy tej rozkosznej czynności. Paulina oderwała wargi od jego ust i wtedy ich spojrzenia skrzyżowały się na moment. Marek dostrzegł w jej oczach blady, ulotny cień.

Pocałował ją znowu, ale w głowie wybuchł granat. Skupił się na moment, nadal zajmując kobietę namiętym pocałunkiem. Lekcja leszego przyniosła zaskakująco szybką i błogosławioną korzyść: nad głową Pauliny dostrzegł bladziutką, żółtą, demoniczną aurę. Rozejrzał się po pokoju nadal całując obłędne wargi. Lufcik w oknie był uchylony.

– Tędy włącz – pomyślał i oderwał się od Pauliny z najwyższym trudem.

– Nie mogę. Mam żonę. Przepraszam – wybełkotał.

Wskoczył w spodnie, buty, naciągnął koszulkę, rzucił szybkie „do widzenia” i wypadł z mieszkania. Na klatce odetchnął.

– Ja pierdziele... Wy cwaniaczki – roześmiał się pod nosem. – Dobra, chcecie tak się bawić, to zagrajmy w tę grę.

Zawahał się. A może jednak wrócić i wyciągnąć z niej tego stwora? Prawdopodobnie to tylko zwodnik. Nic jej nie zrobi, a jeżeli to dobrze rozegra, to może przez nią, a właściwie przez siedzącego w niej stwora, dotrze do pomysłodawcy tej grubymi nićmi szytej intrygi.

– Ale najpierw odwiedzimy Bezmira – mruknął do siebie.

\* \* \*

Następnego dnia, tuż po zmroku Marek pojawił się przed cmentarzem przy ulicy Lipowej w Lublinie. Zacerpnął trochę czerwcowego powietrza.

Ciepłe, pachnące, ale w tym miejscu Marek zawsze wyczuwał coś jeszcze. I nie był to nieprzyjemny zapach. Raczej woń kojarząca się adwokatowi z nadzieją. Coś jak zapach świeżo skoszonej trawy.

Wszedł wreszcie na teren nekropolii, skierował się w lewo i szedł powoli, aż dotarł do cmentarnego muru. Usiadł na ławce i wyjął z siatki kawał nadpsutego mięsa.

Najpierw poczuł mdły, trupi odór. Po chwili spod muru wypełził pokraczny stwór, który bez słowa usiadł na grobowcu naprzeciwko Marka i zaczął łypać spode łba to na adwokata, to na mięso leżące obok.

– Dobry wieczór, królu złoty. A co ty dzisiaj taki markotny, Bezmirku? Zawsze próbujesz mnie straszyć, a dzisiaj wyglądasz jak obraz nędzy i rozpacz. Oczywiście, o ile strzygoń może w ogóle wyglądać gorzej, niż zazwyczaj wygląda.

– Ale dowcipny jesteś Widzący – zaskrzeczał strzygoń. – Już myślałem, że po ostatniej przygodzie z mściwcem dasz mi wreszcie spokój.

– Niestety, kolego sympatyczny. Jeszcze będziesz musiał mnie znosić. Jesteś zbyt cennym źródłem informacji.

– Zobaczysz, że w końcu inni się dowiedzą, że ci pomagam i twoje źródło skończy w najlepszym razie w lochach pod welesowym tronem. A teraz jeszcze do mnie przysyłasz tę kudłatą pokrakę. Ty chyba rzeczywiście chcesz mojej zguby.

– Daruj Bezmir, ale co mnie to interesuje? Ale żeby cię uspokoić – nie chcę twojej zguby. Wierz mi, że jesteś wyjątkowo cennym współpracownikiem.

– Jesteś okrutnym człowiekiem.

– Wiem Bezmir, mówisz mi to przy każdej okazji, ale żebyś kiedyś podziękował, że ci chronię dupsko i możesz bezkarnie panoszyć się na cmentarzu, to już nie. Siedzisz tu sobie, jak pączek w maśle i wiesz doskonale, że jeśli jakikolwiek stwór ci podskoczy, to będzie miał ze mną do czynienia. Więc nie marudź.

– No wiem – mruknął stwór niechętnie. – Dziękuję.

– Proszę – mruknął człowiek. – No, już się nie naburmuszaj. Wiem, jak ci osłodzić smutki.

Adwokat chwycił śmierdzący kawał mięsa i rzucił go w kierunku strzygonia. Ten złapał go w locie i natychmiast na jego pysku wykwitł upiorny, obleśny uśmiech.

– Będzie ci waliło padliną co najmniej przez tydzień.

– Może i jesteś okrutny, ale masz wielki dar przekonywania.

– Wiem Bezmirku, to też powtarzasz mi za każdym razem – Marek wyszczerzył się do strzygonia. – No dobrze. Cieszę się twoim szczęściem Bezmir, ale chcę wiedzieć gdzie on jest?

– Jeszcze nie wiem – zaskrzeczał stwór nie odrywając wzroku i pozostałości nosa od mięsa. – Ale tamten oferma powinien już wiedzieć.

Strzygoń wycelował paluchem w mroczny kąt cmentarza z którego powoli wyczłapała jednoręka zhora.

– No nie wierzę. Moi tajni współpracownicy w komplecie – roześmiał się Marek. – Słucham w takim razie. Który z Siedmiu pojawił się w Jawii?

Zhora stanęła przy Bezmirze i odezwała się dudniącym głosem.

– Biezdar.

– Aha, stary znajomy – Marek skrzywił się na myśl o potężnym stworze, przez którego mało nie utracił ukochanej. – Mogłem się spodziewać, ale to dziwne, że zostawił swoje sprawy w Nawii i postanowił sam się pofatygować. Aż tak chce mnie dopaść?

– Biezdar chcieć spotkać Widzący – zadudniła zhora. – Nie dopaść. Nie walczyć. Zrobić pokój.

Marek osłupiał.

– Co chcieć Biezdar? Spotkać się i zrobić pokój? Ze mną?

Zhora pokiwała kudłatym łbem.

– Tego w najśmielszych snach się nie spodziewałem. Ciekawa niespodzianka. Co w takim razie proponuje?

– Biezdar czekać na Widzący w miejscu pełnym łez. Tam chce gadać.

– W miejscu pełnym łez?

– Niedaleko stąd. Tam gdzie dużo krwi i krew krzyżeć najgłośniej.

– Ale gdzie? Znowu przy Domku Kata? Tam, gdzie pierwszy raz się spotkaliśmy?

Zhora kręciła zapamiętałe kudłatą głową.

– Dużo ludzi oddać ducha, krew wsiąkła w ziemię, dużo.

– Któryś cmentarz?

Znow kręcenie głową.

– A może Majdanek? Masz na myśli obóz na Majdanku? Tam gdzie zamordowano tysiące ludzi, tak?

– Nu tak.

– I najwyższy wiesz czy chce ze mną, marnym człeczyną, jak to mnie kiedyś określił, zrobić pokój. Kolejny podstęp?

Zmora znowu pokręciła głową i wymownie popatrzyła na adwokata. Marek zrozumiał po chwili i oblał go zimny pot.

– Trojan. Wszyscy boicie się Trojana, prawda? Jeżeli Trojan odzyska dawną moc, to...

Tym razem stwór wolno pokiwał głową.

Marek grzebnął w przewieszanej przez ramię torbie, wyciągnął pakunek i rzucił do zmory. Stwór odwinął z papieru odcięte ramię, przytknął do kikuta i kudłata ręka była z powrotem jak nowa i odpowiednio przymocowana do całego stwora.

– Dobrze się spisałeś stworze, choć nie spodziewałem się takiego obrotu sprawy. Wracaj, gdzie masz wracać. Trzymaj się z daleka od mojego miasta i lepiej nie wchodź mi więcej w drogę. Następnym razem mogę być mniej łaskawy. I jeszcze jedno.

Zmora odwróciła się na pięcie wolno odeszła w cień. Bezmir patrzył na Marka pytająco.

– A ty, mój drogi tajny współpracowniku numer jeden zadbaj o to, żeby Biezdar pojawił się na Majdanku w samo południe i pamiętał, że każda sztuczka z jego strony skończy się dla niego źle.

Stwór łypnął spode łba na adwokata.

– Zbyt potężny się zrobiłeś Widzący. I chyba trochę zbyt pewny siebie. Uważaj, z dobrego serca radzę.

– Bezmir, przyzwoite z ciebie potworzysko w gruncie rzeczy, ale nie martw się. Jeszcze nie wybieram się do Nawii. Przynajmniej nie w mojej duchowej postaci.

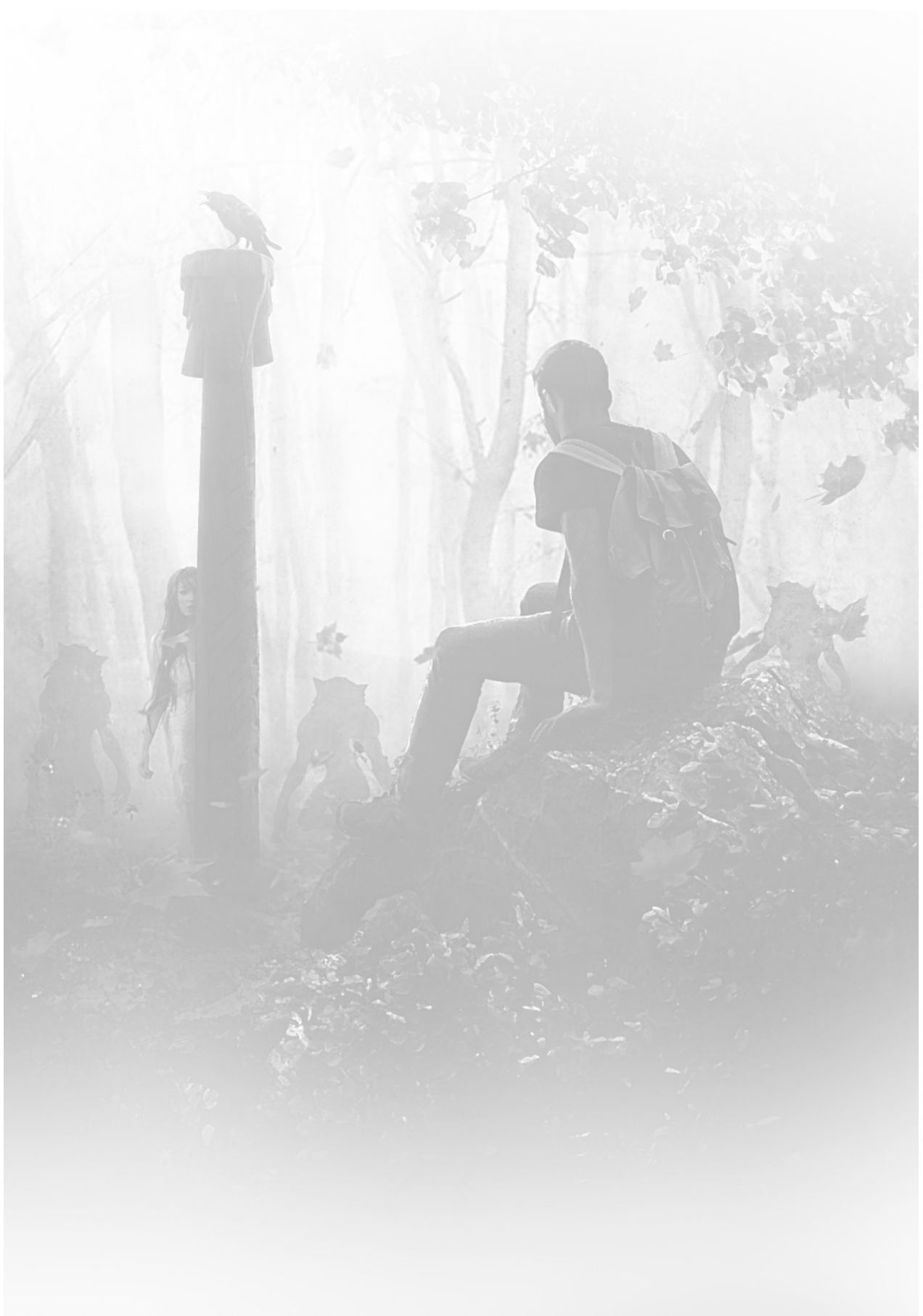
– To co teraz?

– Wracaj do siebie – rzucił Marek ponuro do strzygonia podnosząc się z ławki. – Do następnego razu.

– Wolałbym, żeby nie było następnego razu – skrzeknął stwór i po chwili zaczął sunąć w kierunku cmentarnego muru.

– Znowu się powtarzasz. Ale ja też bym wolał, choć wiem, że zapewne wkrótce obaj się rozczarujemy – rzucił za nim Marek i został sam ze swoimi myślami.

Fatalnie. Nawet zbuntowani wieszczcy i ich zastępy plugawców boją się nadejścia Trojana. Dopiero teraz naprawdę dotarło do niego, że wszystkie trzy światy znalazły się na skraju przepaści, a on siedzi na tym skraju i będzie musiał kijem powstrzymać lawinę.



## Rozdział III

W dawnych czasach, tak dawnych, że wiedza o nich zaginęła w mrokach dziejów, doszło do wielkiej bitwy. Bitwa to była okrutna, krwawa i tak przerażająca, że choć pamięć o tym wydarzeniu przetrwała w dawnych zapiskach, to miejsce, gdzie do niej doszło zostało na wieki przeklęte i zapomniane. Wiadomo tylko, że miejsce to zwane było Wogastisburgiem.

Starła się wtedy potęga cesarza Franków Dagoberta z sojuszem plemion słowiańskich pod wodzą Samona.

Cesarz przybył pod Wogastisburg z ogromną armią, której nie równała się żadna inna w całej Europie. Zadufany w swoją potęgę liczył, że jego hufce przetoczą się jak walec po wojskach Samona.

Pierwszego dnia bitwy Słowianie od rana do wieczora odpierali wściekłe ataki cesarskiej nawałnicy. Walki ustały dopiero po zapadnięciu zmroku. Cesarscy wycofali się z ogromnymi stratami.

Wtedy też zaczęły się dziać rzeczy przerażające. Ciemną nocą, gdy ciężkie chmury zasłoniły gwiazdy i księżyc, nad polem bitwy pojawiły się upiorne ogniki, a do uszu walczących jęły docierać przerażające odgłosy. Piski, wrzaski, upiorne śmiechy, obłe siorbnięcia i mlaski, krzyki z najgorszych koszmarów. Dzielni wojownicy po obu zwaśnionych stronach truchleli z przerażenia. Cesarscy wznosili modły do boga chrześcijan, a Słowianie do Peruna, boga wojowników. Na skraju mroku i blasku strażniczych ognisk widać było jakiś ruch, jakieś cienie, ale nikt nie ważył się sprawdzić, co to było.

Tej nocy ani obrońcy, ani atakujący nie zmrużyli oka. Nazajutrz wszystkim objawił się przerażający widok. Pole bitwy było rdzawe od krwi i zupełnie puste. Stosy ciał, które jeszcze wczoraj piętrzyły się pod wałami bronionymi przez Słowian zniknęły. Wielu dzielnych wojowników, tak obrońców, jak i atakujących upadło wtedy na duchu.

Nie czas było jednak roztrząsać przerażających wypadków które działy się w nocy, bo od samego rana wojownicy Dagoberta rozpoczęli szturm. Ale i ten, i wszystkie kolejne ataki cesarskich tego dnia załamywały się na bohatersko bronionych liniach Słowian. Cesarz zaczął rozumieć, że sama siła oręża, to za mało.

Było wśród obrońców wielu dzielnych wojowników. Byli też i tacy, którzy stawili się na wojnę tylko dla łupów, z rządu zysku lub, w najlepszym przypadku, z obawy przed gniewem swoich książąt. Jednym z bohaterów w słowiańskim obozie był Derwan – książę serbskich Połabian, który ściągnął z odsieczą dla Samona wraz z innymi książętami połabskimi. Byli to Kazimir, Manomir, Choroman, Niewsza, Ostrobod, Niemir i najpotężniejszy z nich – Biezdar.

Jednak książęta, widząc przeważające siły wroga i niesamowite wypadki, które działy się nocą, postanowili zdradzić swoich braci. Najważniejsze jednak dla nich były skrzynie pełne kosztowności, które pozbawiony honoru cesarz zaoferował skrycie połabskim książętom za zdradę swoich braci.

Drugiego dnia wieczorem, gdy ustały ataki wojowników Dagoberta książęta uciekli z obozu Słowian i przyłączyli się do wojsk cesarskich, licząc, że w końcu pójdzie za nimi znaczna siła słowiańskich wojów. Jedynym niezłomnym pozostał książę Derwan.

Drugiej nocy niebo nie poskąpiło światła księżycy i gwiazd. W bladym, upiornym blasku obrońcy i atakujący z przerażeniem obserwowali, jak najbardziej makabryczne kreatury uczują na ciałach poległych, jak ich martwi bracia i wrogowie zamieniają się w potwory z najczarniejszych koszmarów, a po polu bitwy hasają najpodlejsze pomioty Welesa.

Gdy na wschodzie dopiero zaczęły pełgać poranne zorze, a upiorna czereda opuściła już pole bitwy, Samon i Derwan wyszli do swoich wojów i poinformowali ich o zdradzie książąt. Słowianie będący wtedy na granicy znużenia i przerażenia, zagrzani do walki słowami dzielnego Derwana wpadli w amok. Zmienili się we wściekłe bestie i niesieni bitewnym szałem ruszyli z wałów na pozycje wroga.

Bitwa znowu trwała cały dzień. Wojska cesarskie nie zdołały oprzeć się ślepej furii atakujących i w końcu, pod wieczór, starcie zmieniło się w rzeź. Zginął kwiat frankijskiego wojska, zginęło też wielu słowiańskich wojowników, polegli marną śmiercią zdradzieccy książęta, których dusze jeszcze za życia były wypaczone żądzą władzy i kosztowności.

Gdy słońce chowało się za horyzont Dagobert zarządził odwrót i wraz z niedobitkami swej armii ledwo uciekł z pola bitwy.

Wyczerpani Słowianie nawet nie próbowali gonić uciekinierów i wrócili do obozu. Gdy tylko zwycięscy wojownicy zniknęli za wałami, na pole bitwy znów wypełzły przerażające kreatury i rozpoczęły makabryczną ucztę. Pole bitwy nawiedził też Weles, zwabiony żniwem śmierci.

Była to najbardziej przerażająca noc w życiu dzielnych słowiańskich wojów. Niejeden przypłacił ten czas pomieszaniem zmysłów. Gdy tylko nastał świt, słowiańscy wojownicy, zwycięscy, ale przerażeni do szpiku kości uciekli z Wogastisburga. Miejsce to skazano na wieczne zapomnienie, a żercy przeklęli je na wieki.

Tymczasem Weles przemierzał tej nocy pole bitwy, zmieniał dusze poległych w welesowe pomioty i wysyłał je do Nawii. W końcu natknął się na trupy siedmiu zdradzieckich książąt. Schwycił ich wypaczone, skorumpowane dusze i zaciągnął je do swego pałacu, w samym środku krainy umarłych. Tam przemienił dusze książąt w najpotworniejsze stwory, jakich jeszcze nie znał świat, po czym wypuścił ich do Jawii. Tak narodziło się siedmiu wieszczych.

Blisko czterysta kolejnych lat wieszczych wzbudzali przerażenie we wszystkich zakątkach Słowiańszczyzny, aż w końcu żercom udało się odesłać wszystkich wieszczych do Nawii. Ostatniego i najpotężniejszego z nich odesłał Powiernik Jaromir. Wtedy też Weles na polecenie Świętowita zakuł wszystkich wieszczych w łańcuchy i wtrącił w najgłębsze czeluście lochów pod swoim pałacem. Przez kolejne tysiąc lat wieszczych gryźli łańcuchy i jęczeli potępieńczo w welesowych piwnicach.

Aż pewnego dnia Weles uwolnił najpotężniejszego z nich, Biezdara i kazał mu sprowadzić do siebie dziwnego człowieka, który objawił się jako ten, który może wejść do świata Bogów i stworów. Wtedy właśnie w Jawii pojawił się Widzący. Ale wieszczych Biezdara miał inne plany. Własne...

\* \* \*

Miła spoglądała na Marka w milczeniu. W końcu pokręciła głową z dezaprobatą.

– Idę z tobą. Śmierdzi mi to wszystko. To może być pułapka.



– Nawet nie śmiem cię zniechęcać. Nie mówiąc o tym, że mi będzie różniej, więc nawet nie chcę. Pułapek się nie obawiam. To już nie te czasy.

– Nie zapominaj, że to jest wieszczy. Jeden z siedmiu najpotężniejszych welesowych pomiotów. Zrobiłeś się okropnie pewny siebie Mareczku.

– Walnie się do tego przyczyniłaś, starsza siostró – wyszczerzył się do demonicy. – Ale nie zapominam też, że tyłka pilnuje mi najpotężniejsza księżniczka w Prawii.

– Jak cię kocham mój drogi pupilu, tak kiedyś złoję ci tyłek pokrzywą, ale później do tego wrócimy. Kiedy mamy się spotkać z tym bydlakiem?

– Jutro w południe.

– Bardzo mądrze. Będą najślabsi gdy Swarogowa Tarcza będzie najwyżej, gdyby coś kombinował.

– Serio nie sądzę, żeby coś kombinował. Myślisz, że zaproponował by spotkanie na otwartym terenie, gdyby coś planował? W ogóle spotkania by nie proponował.

– Ale spotkanie ma być w miejscu, gdzie zginęło tysiące ludzi. Będzie z tego czerpał siłę.

– Sam bym tak zrobił. On pewnie chce się zabezpieczyć. Z naszej strony też ma się czego obawiać. Zawsze mogę mu wydłubać Kresem drugie oko.

– Nie lekceważ go. O mało nie zabił i Asi, i ciebie.

– Nie lekceważę. Znam swoje możliwości i wiem, że mi jeszcze dużo brakuje i dużo muszę się nauczyć. Chociaż... – Marek zawahał się. – Miła, nie wiem co się dzieje, ale mam wrażenie, że te moje możliwości ciągle rosną. Ostatnie dwa stwory, z którymi walczyłem nawet nie były w stanie mnie drasnąć. Ten martwiec, który mnie niedawno zaatakował i straszył Trojanem odbił się ode mnie, jak od ściany.

– Hmm, to faktycznie zastanawiające. Robisz się potężny Mareczku, ale nie mam pojęcia, jak to się dzieje. Dobrze, o tym też pomyślimy później. Teraz wypocznij, bo ostatnio chyba masz z tym kłopot.

\* \* \*

Niby oczywistym było dla Marka, gdzie może czekać na niego wieszczy. Rowy nieopodal krematorium na Majdanku widziały śmierć wielu tysięcy ludzi, więc to tam krew „krzyczała najgłośniej”. Ale wieszczy czekał w ustronnym miejscu, przy „Zameczku”, wybudowanym kiedyś przez

więźniów obozu, a teraz znajdującym się w mało uczęszczanej części muzeum.

Dzień znów był upalny, a wieszcy wraz z towarzyszącymi mu kilkoma upiorami stali dzielnie w pełnym słońcu wpatrując się w nadchodzących Miłą i Marka.

– Widzący, kniahini – wieszcy skinął przybyłym swym koszmarnym czerepem.

– Witaj Biezdar – odparł adwokat. – Jakbym był chrześcijaninem, to pewnie bym powiedział, że piekło zamarzło.

– Szykuje się coś zupełnie przeciwnego – warknął wieszcy. – Będzie bardzo gorąco.

– Twój wysłannik przekazał mi, że chcesz pokoju. Zamieniamy się w słuch.

– Chcę rozejmu – zaczął wieszcy – bo możemy sobie wspólnie pomóc, Widzący. Ale od początku. Gdy tu przybyliśmy dzięki tym żalonym dzieciakom, co to sobie ognisko urządzili, chciałem tylko cię dopaść, Widzący i albo zmienić w plugawca, albo zabić. Jednak sytuacja się zmieniła.

– Trojan – wszedł w słowo Marek. – Zaczynam się przyzwyczajać, że we wszystkich krainach o niczym innym się teraz nie mówi, a to imię zazwyczaj zmienia sytuację.

Wieszcy popatrzył na adwokata przeciągle.

– Trojan też. I raczej trudno się dziwić, że o niczym innym się nie mówi. Ale to nie to. Stało się coś jeszcze. Dowiedziałem się wielu rzeczy o tobie, Widzący. Okazało się, że nie możemy zamienić cię w plugawca, niektórzy nie mogą cię nawet drasnąć, jak ta kudłata oferma ostatnio. Twoja moc tutaj w Jawii stała się zbyt wielka. Nie znamy przyczyny twojej mocy. Stałeś się zbyt trudnym przeciwnikiem.

– Przyszedłeś prawić mi komplementy?

Stwór łypnął jedynym okiem na Marka.

– To też nie wszystko. Stało się coś jeszcze.

– Nie każ się prosić Biezdar – wycedził przez zęby adwokat.

– Odejdźcie – wieszcy warknął nagle w kierunku towarzyszących mu stworów.

Upiory posłusznie oddaliły się na kilkanaście metrów, ale nawet na chwilę nie oderwały oczu od Marka i Miłej.

– Wiem, gdzie są bałwany – zacharczał cicho wieszcy.

Marek osłupiał. Krew uderzyła mu do głowy, a w uszach zadudniło.

– Skąd to wiesz – sapnęła Miła. – Jeżeli to kolejny podstęp, to, na Bogów, odetnę ci ten wraży łeb. – Jej ręka powędrowała w kierunku piorunitowego miecza.

– Od niego wiem – stwór kiwnął koszmarnym czerepem na adwokata.

– Chyba cię pogięło – prychnął Marek. – Niby jak?

– A przypominasz sobie słodką wiedźmaczkę? Choć właściwie to tylko miłośniczka mitologii – stwór uśmiechnął się obleśnie. – Wąpierz, którego tak brzydko potraktowałeś chciał ci wmówić, że to wiedźmaczka, a chodziło żebyś tylko się nią bardziej zainteresował. Od wieków, wy ludzie mężczyźni, macie jedną słabość. Kobiety. I tak wpadłeś, Widzący, w nasze sidła, choć myślałeś, że to ty jesteś myśliwym. Nie chcieliśmy dotrzeć przez nią do ciebie. Wystarczyło nam, żeby to ona do ciebie dotarła.

– Mów jaśniej stworze – w Marku aż się gotowało.

– Wysłaliśmy z braćmi specjalną grupę stworów, żeby znaleźli ciebie i dziewczynę, która będzie dla ciebie atrakcyjna. Potem zaczęliśmy cię wabić. Myślałeś, że przez ten rok żyłeś sobie zapomniany przez nas i ubijałeś stwory? Co to, to nie – wieszczy uśmiechnął się potwornym grymasem. – Znaleźliśmy wreszcie piękną śmiertelniczkę, na którą celowo nasłałem wąpierza, który wcześniej dał ci się wytropić. Chodziło o to, żebyś ją uratował i poznał się z nią w takich dramatycznych okolicznościach. Później pojawił się chechło, który oprócz uprzykrzania jej życia, miał się niby ukrywać, ale tak, abyś go zobaczył. Na koniec miałeś ją uratować przed zmorą w jej własnym domu, gdzie miała cię uwieść. Wciągnęliśmy cię w tę grę, w której miałeś ratować biedną księżniczkę – wieszczy zaśmiał się pod nosem. – Kiedy byłeś zajęty odgrywaniem rycerza na białym koniu i skupiłeś się na polowaniu na zmorę, do pokoju tej niby wiedźmaczki wślizgnęła się kuka.

– To nie był zwodnik, tylko kuka – szepnął Marek. – Nasłaliście na mnie pijawkę myśli. Ładną intrygę zaplanowałeś. Widzę, że chwila słabości może mnie trochę kosztować. Nie doceniłem cię Biezdar.

– Tak, tak przyjacielu – wieszczy wyszczerzył koszarne zębiska w stronę osłupiałego Marka i przerażonej Miłej. – Ale nie martw się, sam bym nie odróżnił kuki, od zwodnika. Przynajmniej na pierwszy rzut oka.

– Dostaliście mi się do umysłu...

– Kiedy pocałowałeś ślicznotkę, siedząca w niej kuka dowiedziała się o tobie wszystkiego. Bardzo interesująca wiedza. Ta wiedza była nam potrzebna, żeby znaleźć twój słaby punkt i cię wreszcie dopaść, ale to właśnie wtedy sprawy zmieniły swój bieg. Po pierwsze okazało się, że twoja moc jest zbyt wielka, a i tak wciąż rośnie. Jak mówiłem, nie wiemy dlaczego. To powoduje, że tu, w Jawii, jesteśmy wobec ciebie bezsilni.

– Co proponujesz, Biezdar? – Marek przerwał wieszczemu.

– Nie bądź taki w Bylicy kąpany. Nie usłyszałeś najważniejszego. Najważniejsze jest to, że udało się nam wyciągnąć ci z głowy miejsce ukrycia bałwanów.

Miła w napięciu spojrzała na Marka, który zbaraniał.

– Kłamco cholerny – syknął po chwili Marek. – Jak mogliście mi cokolwiek z głowy wyciągnąć, skoro ja nie mam pojęcia, gdzie są te pieprzone bałwany!

– Zawsze wiedziałeś, choć, zgoda, na pewno nie miałeś o tym pojęcia – wieszczy roześmiał się drwiąco. – Po prostu nie potrafiłeś dostrzec pewnych znaków. Ale zaraz i do tego dojdziemy i, jeżeli się dogadamy, to powiem ci, gdzie są ukryte.

Marek spojrzał na wieszczego badawczo. Stwór odpowiedział zaskakująco szczerym spojrzeniem jednego oka.

– Miałem to w głowie i nie wiedziałem? Mówisz, że czegoś nie zauważyłem?

– Tak właśnie.

– Powiedzmy, że ci wierzę, ale pytanie, dlaczego mnie to powiesz? Jaki masz w tym interes?

– Tylko Bogowie albo Widzący mogą dotknąć bałwany, pamiętasz? My, welesowe pomioty, nawet nie jesteśmy w stanie zbliżyć się do miejsca, gdzie bałwany są ukryte. Moc bałwanów czyni je dla nas niemalże niewidzialnymi, ale i powoduje, że bezwiednie to miejsce omijamy. Nawet gdyby jakikolwiek welesowy pomiot stąpnął na miejsce ich ukrycia, co i tak jest niemożliwe, to nie wyczułby zupełnie nic. Poza tym moc zaklęta w bałwanach jest w stanie nas, stwory, unicestwić i dlatego nie możemy ich dotknąć. Bogowie tutaj się nie pojawiają, właśnie przez bałwany. Pozostałeś więc ty, Widzący. To po pierwsze. Po drugie – jeżeli bałwany wpadną w ręce Trojana, a tylko on ze wszystkich Bogów może wejść do Jawii w rzeczywistej postaci, to Bogowie pójdą w łańcuchy, a z

trzech krain zostaną zgłiszcza. A ja nie zamierzam rządzić zgłiszczami Nawii.

– Że co robić, Biezdar? Rządzić? W Nawii? – przerwał mu adwokat w akompaniamencie perlistego śmiechu Miłej. – Widzę, że masz fantazję, A uzgadniałeś może swoje imperialne plany z Welesem?

– Chyba ci Bogowie rozum odebrali do reszty – prychnęła Miła.

– Tak, rządzić – odparł niewzruszony wieszcz. – I tutaj dochodzimy do najważniejszej kwestii. Powiem wam gdzie są ukryte, ale chcę coś w zamian. Nie interesują mnie bałwany. I tak nic mi teraz po nich, skoro ty jesteś w Jawii. Nie chcę też żeby dostały się w łapy Trojana. Zrobisz z nimi co zechcesz, ale ja chcę dostać jeden z nich. Chcę dostać bałwana Welesa.

Markowi zrobiło się ciemno przed oczami.

– Chcesz bałwana Welesa??? – krzyknął. – Ty szcurze! Chcesz go zniewolić i samemu rządzić w Nawii! Jeżeli będziesz miał figurkę Welesa, to nikt nie zagrozi twojemu władztwu.

– Bystry z ciebie śmiertelnik.

– Sprytnie, Biezdar, bardzo sprytnie. A co zatem zamierzasz począć z Welesem?

– On trzymał w łańcuchach mnie i moich braci przez wieki. Bardzo długie wieki – wycedził przez zęby wieszcz. – Teraz my go trochę potrzymamy.

– Chyba tego nie zrobisz? – przerażona Miła spojrzała na Marka.

– Chwileczkę Biezdar. Sam mówiłeś, że stwory nie mogą nawet dotknąć bałwana, to jak niby sobie to wyobrażasz? Wręczę ci figurkę i żegnamy się na zawsze, z tym, że ty żegnasz się też ze swoim istnieniem. Masz na to rozwiązanie?

– Pomyślałem o tym. Złożysz mi ofiarę.

Marek w osłupieniu popatrzył na szczerzącą się, koszmarną postać Biezdara, następnie na posągowo piękną Miłą, która aż usta otworzyła ze zdziwienia.

– Co ty bredzisz, Biezdar? – zapytał powoli Marek.

– Złożysz mi tego bałwana w ofierze – stwór nie mrugnął nawet okiem

– Odwieczne prawo ofiary i podarku. Ofiara musi być przyjęta lub odrzucona, ale nie może nigdy czynić krzywdy obdarowanemu. Złożysz mi więc bałwana w darze, w ofierze, a ja przyjmę ofiarę. Wtedy ten dar wypełni moje przeznaczenie.

– Może i brzmi sensownie, choć jakoś nie czuję się przekonany, ale chyba w ogóle nie rozumiem, o jakim twoim przeznaczeniu mówisz – Marek pokręcił głową.

– Jakie jest moje imię?

– Biezdara... Czeka! „Biez – dar”, czyli „Przez dar”. Twierdzisz, że złożenie tobie bałwana w ofierze, w darze, to twoje przeznaczenie? I to cię uchroni przed unicestwieniem, gdy dotkniesz bałwana Welesa?

– Tak – rzucił tylko wieszczy tonem znamionującym niezachwianą pewnością. – Moim przeznaczeniem jest rządzić Nawią. A stanie się tak przez ten właśnie dar. Od ciebie, wybrańcu Bogów.

– To jakiś obłąd – Miła złapała się za głowę.

– No obłąd – westchnął Marek. – Ale nie można mu odmówić odwagi. Jeżeli się myli, to po wręczeniu mu figurki, pozostanie jedynie wspomnieniem.

– Nie mów, że będziesz tęsknił, Widzący. Ale nie łudźcie się, będzie tak, jak powiedziałem.

– Musi być inny sposób – syknęła Miła przez zęby.

– Inny sposób, kniahini? – rzucił drwiąco wieszczy. – To może sama poszukasz bałwanów? A może weźmiesz sobie Trojana do towarzystwa? A ty, śmiertelniku, nie bierz mnie pod włos, tylko decyduj. I nie wyciągniecie już ode mnie nic więcej, dopóki nie złożysz słowa życia, Widzący.

– Marek, nie... – Miła w napięciu wpatrywała się w adwokata. – Weles to przecież bóg. To będzie zdrada. A jeżeli złożysz słowo życia temu bydlakowi – spojrzała z obrzydzeniem na Biezdara – i nie dotrzymasz, to...

– Umrę – dokończył adwokat. – Wiem. A masz lepszy sposób?

– Nie wiem, skup się, pomyśl! Skoro on mówi, że zawsze to wiedziałeś to może wpadniesz na to i bez tego.

– Szkoda czasu księżniczko – przerwał im Biezdara. – Jutro Trojan dowie się o bałwanach. A jak się dowie, to wejdzie do Jawii. Potem wróci do Prawii, odzyska twarz i żadna kraina nie będzie już taka sama.

– Dlaczego niby ma się jutro dowiedzieć?

– Bo kuka, z całą swoją wiedzą o naszym Widzącym, jest już w Nawii. Jeżeli nie dam im znaku albo nie wrócę, to jutro moi bracia wyślą ją do Trojana. Nie wiadomo na pewno gdzie on jest, ale co najmniej ćwierć ze wszystkich stworów w Nawii jest już na jego usługi i ciągle ich przybywa.

Prędzej czy później moi bracia trafią na sługusów Trojana i oddadzą mu kukę. Może dzięki temu wkupimy się w łaski nowego pana. Zabezpieczyłem się również w ten sposób, żeby wam głupie pomysły nie przychodziły do głowy.

– Mówiłeś, że nie chcesz, żeby Trojan dostał bałwany.

– Oczywiście, że nie chcę, ale jeżeli się nie dogadamy, to nie będę miał wyjścia. Jeżeli nie ty, to on je znajdzie prędzej, czy później. Wolimy być wtedy po tej zwycięskiej stronie, nawet, jak już nic nie zostanie po jego nadejściu.

Marek bezradnie spojrzał na Miłą.

– Znajdziemy inny sposób – powiedziała kręcąc głową. – Nie możemy zdradzić Welesa.

– W tej chwili nie ma innego sposobu, Miła – odparł ponuro adwokat. – Sama wiesz, że jeżeli nie powstrzymamy Trojana, to skończy się świat, jaki znamy. Ale pod Welesem przysięgam, że znajdę rozwiązanie.

Wieszczy roześmiał się chrapliwie.

– Gdy już będę miał welesowego bałwana, to szukaj sobie, ile dusza zapragnie – rzucił stwór.

Miła wpatrywała się w Marka w napięciu.

– Zgadza się – powiedział adwokat powoli. – Daję ci słowo życia. Pod Welesem przysięgam. Oddam ci bałwana Welesa. Teraz mów gdzie one są.

– Przyjmuję twoje słowo, a teraz skup się Widzący – wieszczy spojrzał adwokatowi w oczy. – Pomyśl. Czy nigdy nie czułeś czegoś szczególnego w jakimś miejscu? Czegoś niesamowitego? Czegoś, od czego dostawałeś gęziej skórki?

– Często mi się to ostatnio zdarza, Biezdar. Zapewne wiesz, że od dwóch lat nie żyję życiem zwykłego śmiertelnika.

– Pomyśl – kusił stwór. – Zapomnij na chwilę o swojej nienawiści do mnie i zastanów się. Kiedy ostatnio czułeś się naprawdę szczególnie?

Marek zagryzł wargi. Opanował emocje. Kiedy, do cholery, kiedy... Nic nie przychodziło do głowy.

– Na wszystkich Bogów Biezdar! – wybuchnął wreszcie. – Skończ z tymi zagadkami. Cały czas czuję się szczególnie! Ostatnie dwa lata to same szczególne odczucia! Na ostatnie Jare Gody, wcześniej na święto Wiosennego Strzyboga, Welesowe Święto, na Szczodre Gody. Ostatnim razem w czasie Dziadów to myślałem, że aż z siebie wyskoczę, bo...

Marek urwał widząc jak na upiornym obliczu wieszczego znowu wykwita koszmarny, drwiący uśmiech.

– Dziady... Ostatnio, jak zrobiliśmy święto Dziadów na cmentarzysku w Chodliku, wśród kurhanów, to aż cierpła mi skóra – Marek zrobił oczy jak spodki. – Ale, że co? W Chodliku na cmentarzysku? Niemożliwe! Przecież tam cały czas są archeolodzy, musieliby już coś znaleźć.

– Ale najwyraźniej nie znaleźli – odparł triumfalnie wieszczy. – Co nie jest dziwne, biorąc pod uwagę, że w końcu mówimy o figurkach stworzonych przez Bogów. Nie da się ich znaleźć przez przypadek.

– Nie wierzę – adwokat pokręcił głową i spojrzał na oszołomioną Miłą. – To nie może być prawda. Przecież znam szefa misji archeologicznej na Chodliku Michała Łukaszewicza. Wiem, że oni tam ostro działają. Michał nawet oprowadzał mnie niedawno po cmentarzysku! Pokazywał, co ostatnio odnaleźli. Chodziliśmy...

Marek zamilkł nagle.

– Bartosiowa Górka – wyszeptał. – Bogowie... Michał oprowadzał mnie po cmentarzysku, podeszliśmy na takie wzniesienie nieopodal, które nazywają Bartosiową Górką. Oni tam akurat odkryli grób. Odszedłem trochę od wykopu rozejrzeć się, zdjęcia porobić i nagle poczułem takie ciarki, aż się nogi pode mną ugięły.

– Odkąd poznałeś to miejsce, ta prawda zawsze siedziała w twojej głowie, ale nie potrafiłeś tego zauważyć – odezwał się wieszczy. – Nie wiązałeś dziwnego uczucia z działaniem bałwanów. Najciemniej pod latarnią Powierniku.

Marek spojrzał badawczo w jedyne oko stwora. Właśnie tak czuł się ostatnio na Dziadach. Bardzo silne i jednocześnie bardzo przyjemne mrowienie na karku i plecach. Coś jak wzmożony efekt ASMR, który często wywoływał u siebie oglądając dla relaksu filmiki ASMR na youtube.

A teraz dopiero przypomniał sobie ten dziwny stan, gdy na początku maja szef archeologów oprowadzał go po pradawnej nekropolii.

– Jesteś pewien?

– Sam sobie odpowiedz.

– Chyba już sobie odpowiedziałem... – powiedział Marek powoli. – To się trzyma kupy. Witomir zamieszkał w Chodliku, jak uciekł przed zabójcami od Włodzimierza. Nieopodal grodu było już wtedy stare i ogromne cmentarzysko. Jaromir też mógł bywać w Chodliku, a jeśli



bywał, to musiał cmentarzysko znać. Poza tym nie jest wykluczone, że to Rusini Jarosława Mądrego zniszczyli ostatecznie Chodlik. Nawet Michał mi o tym wspominał, że jest taka hipoteza. To też by się zgadzało, bo przecież Jaromir uciekał z grodu, który napadli Rusini, a mógł wtedy przebywać właśnie tam. Podczas ataku mógł uciec na żalnik i tam zakopać bałwany żeby nie dostały się w ręce Rusinów. A na żalniku łatwo o stwory, więc z kolei mogły go też wtedy dopaść, o czym wspominał mi wąpierz. Bogowie... to ma sens.

– To nie sens, tylko prawda. Cieszę się, że akceptujesz rzeczywistość – zadrwił Biezdar.

– Dobrze – odparł Marek. – Powiedzmy, że znajdę tam bałwany. I co dalej? Co twoim zdaniem mam z nimi później zrobić?

– To już twoja sprawa. Ja chcę tylko figurkę Welesa – odparł Biezdar. – Ale skoro już pytasz, to ja, na twoim miejscu, bym je zniszczył...

– Ja również – weszła mu w słowo Miła.

– ... albo zatrzymał dla siebie – Biezdar łypnął na ubożęcie. – Trzymanie w szachu Bogów. Byłbyś równy niemalże Świętowitowi. Kuszące, prawda? – szepnął na koniec stwór.

– Nie, Biezdar, nie kuszące – odparł Marek. – Ja chcę wreszcie świętego spokoju. Zniszczę je.

– Ale wiesz, że tylko w Kuźni Swaroga można je zniszczyć? – Miła popatrzyła znacząco na Marka.

– Zatem pójde do Kuźni Swaroga.

– Zatem musisz wrócić do świata Bogów – uśmiech znów wykwitł na pysku Biezdara. – Zapraszamy.

Ciszę, która zapadła można by było kroić nożem. Umilkł nawet skowronek na niebie.

– Aha, czyli jednak chcesz mnie tam zwabić? Uparty jesteś.

– Po co mam cię tam zwabiać? Nie będziesz już mi do niczego potrzebny, Widzący. Bogowie zajmą się Trojanem i zostaną w Prawii, ty uratujesz świat ludzi, a mnie wystarczy Nawia. Nie jestem zachłanny – zaśmiał się chrapliwie. – I wszyscy będą zadowoleni.

– Oprócz Welesa. I zapewne jeszcze niektórych.

– Przecież Weles i tak za tobą nie przepada, delikatnie mówiąc – stwór popatrzył przenikliwie na Marka. – Dalej mi nie wierzysz, ale nie masz wyjścia. Jednak ja nie zamierzam ci szkodzić, a nawet zamierzam ci

pomóc. Jesteś moją drogą do zemsty nad moim boskim stwórcą, który setki lat trzymał mnie i moich braci w łańcuchach.

Paskudną twarz wieszczego wykrzywił przerażający grymas wściekłości.

– Nie wiesz jak to jest, Widzący – zasyczał przez zęby stwór. – Zaznać potęgi, wzbudzać strach stworów i ludzi, pławić się w rozkosznym morzu ludzkiej krwi, a potem być strąconym w otchłań i wyć przez setki lat, gryząc łańcuchy wykute przez Swaroga i mając w perspektywie wieczność w niewoli.

– Jakoś nadal ci nie wierzę, Biezdar. Wystarczy, że pojawię się w Nawii, to możesz na mnie nasłać armię stworów i zagarnąć wszystkie figurki. Nie tylko Welesa. A potem znajdziesz sposób, żeby je wykorzystać po swojemu.

Wieszczy obdarzył Marka szczególnym spojrzeniem. Nagle złapał prawą dłoń za swój lewy przegub, trzasnęło i po chwili u stóp zaskoczonego adwokata wylądowała lewa dłoń stwora.

– A teraz mi wierzysz? Przez siedem dni, dokąd moja dłoń nie sześcinnie, masz nade mną władzę. A skoro tak, to i nad moimi braćmi i wszystkimi stworami, który które są mi posłuszne i które są na naszych usługach. Możesz więc teraz wejść do Nawii nie niepokojony i dotrzesz do Prawii, do Kuźni Swaroga. Będziemy też cię chronić przed sługusami Trojana.

– Znów mnie zadziwiasz, ale coś za bardzo ci zależy, Biezdar. Tracisz trochę grunt pod nogami? Tam, w Nawii?

– Nie mam wyjścia. Tylko ty możesz mi dać Nawię na talerzu. Jesteś nie tylko moją drogą do zemsty, ale i moją drogą do władzy – wieszczy wyszczerzył się do Marka i Miłej. – Bogowie zawsze traktować mnie będą jak wściekłego psa, a Trojan... – wieszczy urwał. – Ale kiedy będę miał bałwana Welesa, wszystko się zmieni. Żegnaj Widzący, kłaniam się kniahini. Zobaczymy się w Nawii, w Czarnym Lesie. Będę czekał tam na swojego bałwana. I lepiej się pospieszcie.

Wieszczy skinął nagle na towarzyszące mu upiory, a te błyskawicznie rzuciły się na niego i rozszarpały na kawałki recytując pradawną inkantację.

– Ogień, kamień, krew, żelazo...

Mgnienie oka później, po kolei rozszarpały się nawzajem. Ostatni warknął tylko w stronę osłupiałych Miłej i Marka i puścił się cwałem

w kierunku cmentarza na Majdanku. Po chwili, po wszystkich stworach nie został żaden ślad.

Marek nieco skołowany popatrzył na Miłą.

– Nie patrz tak na mnie Mareczku – jęknęła Miła. – Nie wiem co teraz, ale pamiętaj, że zawsze byłam, jestem i będę przy tobie.

– Dziękuję kochana. To dla mnie najważniejsze.

– Jedno, co mogę powiedzieć – ciągnęła demonica – to oczywiste dla mnie jest, że twoimi rękami chce sięgnąć po władzę. Jeżeli dostanie bałwana Welesa, to będzie rządził Nawią, pozostali Bogowie będą musieli się z tym pogodzić w obliczu zagrożenia ze strony Trojana. Musimy sobie wszyscy poradzić z Trojanem i nie możemy sobie teraz pozwolić na wojnę i chaos w Nawii. Zanim jednak poradzimy sobie z Trojanem, to Biezdar wyśle wszystkie hordy stworów do Jawii. I nawet ty nie powstrzymasz makabry, bo nie możesz być wszędzie. – Miła zwiesiła głowę. – Wygląda na to, że co byśmy się zrobili, Biezdar wygra.

– Nie kracz. Znajdziemy sposób. W końcu jestem adwokatem. I to dobrym. Poradzimy sobie i z Trojanem, i z Biezdarem – Marek zaśmiał się, choć w głębi duszy zupełnie nie było mu do śmiechu. Zupełnie nie wiedział, jak mieliby sobie z tym wszystkim poradzić. – Jedźmy jak najszybciej na cmentarzysko do Chodlika, zanim dotrze do nas, że to co się dzieje, to całkowite wariactwo.

\* \* \*

Tym razem Marek był przygotowany. Rok temu wkraczał do Nawii jak kompletny idiota, uzbrojony tylko w sztylet, miecz i niezachwianą, aczkolwiek naiwną wiarę, że uratuje Asię przed śmiercią od jadu wieszczego. Gdyby nie Miła i Perepłut...

Teraz jednak wiedział czego się spodziewać i co zabrać do Nawii. Zaplanowali z Miłą inne wejście, niż to, które rok temu wybrał Marek. Takie, które miało poprowadzić ich do Nawii w miejscu, gdzie będą mieli najbliżej do Kuźni Swaroga. Znowu musieli przejść kawał krainy umarłych, przepłynąć kawałek Bylicą i obejść Drzewo Życia. Po drugiej stronie Drzewa, w jego korzeniach, miał kuźnię boski kowal – Swaróg.

Postanowili, że zniszczą bałwany w Kuźni, o ile nie stanie się coś, co pokrzyżuje im plany. Przede wszystkim, o ile w ogóle strzyboże figurki będą tam, gdzie wskazał wieszczy. I oczywiście pod warunkiem, że Swaróg się na to zgodzi. To jednak wzięła na siebie Miła. Trzeba było

namówić Strzyboga, Siemargła i Mokosz, aby to oni wpłynęli na Swaroga. A Bóg–Kowal miał ognisty temperament.

Żeby nie tracić czasu, jeszcze będąc na Majdanku, Marek zadzwonił do wszystkich Godnych i zwołał ich do Świątyni Słońca nieopodal Horyńca. Błogosławiona technika zastąpiła tym razem niebieskie kulki. Czasami i tradycja wymaga unowocześnień.

Czasu było dużo. Zdecydowanie zbyt dużo, ale zanim pomorski Godny dotrze te kilkaset kilometrów dzielących Gdańsk od Podkarpacia, musiało trochę czasu minąć. Nawet jeżeli Godny podróżował LOTem z Gdańska – Rębiechowa przez Okęcie, do Portu Lotniczego Lublin. A potem jeszcze 120 km samochodem do Horyńca.

Pozostało jeszcze jakoś powiedzieć Asi, że wybiera się na wyprawę... no właśnie – dokąd? I na jak długo? Bo właściwie trzeba było wymyślić coś, co nie wzbudzi u niej podejrzeń, podczas gdy jej mąż będzie próbował ratować świat w krainie Bogów i stworów.

\* \* \*

Marek wrócił do domu i zastał Aśkę siedzącą na kanapie wpatrzoną w nieokreślony punkt na ścianie.

– Cześć zmijo! Co porabiasz? – zagaił wesoło czyniąc podkład pod wymyśloną w międzyczasie historię o koniecznym wyjeździe służbowym na Ukrainę, gdzie oczywiście nie było kompletnie żadnego zasięgu.

– Czy ty mnie zdradzasz? – zduszonym głosem wyrzuciła z siebie Aśka, a w jej oczach stanęły łzy.

Marek zbaraniał.

– Że co, proszę? Niunia, pogięło cię?

– Proste pytanie – głos Aśki balansował na granicy płaczu. – Zdradzasz mnie?

– Co ci przyszło do głowy, kochanie? – Marek przysiadł ciężko na kanapie obok żony.

– Jak, co mi przyszło? Znikasz ciągle z domu, a jak już jesteś, to jesteś myślami nieobecny. Mówisz, że idziesz do kancelarii, a Wojtek mi dziś powiedział, że właściwie rzadko tam bywasz. Wychodzisz wieczorami, nawet nie wiem gdzie. Przedwczoraj poszedłeś niby na biznesową kolację, a wróciłeś śmierdzący jakimś chrzanem i damskimi perfumami. To co ja mam myśleć? I jeszcze te cholerne duchy, stwory i inne cholerstwo! – wrzasnęła na koniec i rozplakała się.

Marek skurczył się w sobie. Po raz pierwszy widział, żeby Aśka płakała. Chyba, że ze szczęścia.

– Asia...

– Nie Asiuj mi tu! Obiecywaliśmy sobie szczerłość, więc teraz słucham. Chcę wiedzieć.

Zapadła pełna napięcia cisza przerywana jedynie delikatnym pociąganiem nosem przez Aśkę.

– Dobrze. Powiem ci prawdę – zaczął powoli Marek, a mówiąc to zauważył, że jego żona dosłownie skamieniała. – Ale to jest zupełnie co innego. Nie zdradziłem cię nigdy i nigdy nie zdradzę, bo jesteś miłością mojego życia i matką mojej wymarzonej córeczki. Przysięgnij mi jednak, że spokojnie mnie wysłuchasz i uwierzysz w to co powiem.

Marek popatrzył na żonę wyczekująco.

– Asiu?

– Postaram się – mruknęła.

Marek westchnął głęboko.

– Na pewno pamiętasz, jak trafiłaś do szpitala po tym dziwnym omdleniu. Byłaś jakiś czas w śpiączce. Wtedy też umarł Jan. Lekarze nie wiedzieli, co ci było, a ja tobie wmówiłem, że to wstrząs po ugrzyzieniu.

Asia pokiwała jedynie głową.

– To nie był wstrząs i to nie była śpiączka. Zaatakował cię wtedy wieszcy. Stwór. Bardzo potężny. Ukąsił cię, a jego jad spowodował, że znalazłaś się na granicy między życiem, a śmiercią. Omal cię nie zabił, ale w ostatniej chwili go przegnałem. Gdyby Witek nie zatrzymał wieszczego, to nie chcę myśleć...

Markowi głos uwiązł na chwilę w gardle.

– Ty trafiłaś do szpitala, a ja wszedłem do Nawii, żeby odnaleźć dla ciebie żywą wodę – kontynuował po chwili. – Tylko ona mogła cię uratować. Pomagała mi Miła, której nie znasz, ale teraz będziesz musiała poznać. Miła jest ubożeniem, moim stworem opiekuńczym i jednym z najpotężniejszych istniejących demonów. Przyłączył się do nas też Pereplut, inny potężny stwór. Znaleźliśmy w końcu żywą wodę, wróciłem do naszego świata, do Jawii i uleczyłem cię nią.

Aśka z kamienną twarzą patrzyła na męża i tylko jej coraz okrągłejsze oczy zdradzały, że w środku walczy z szokiem.

– Nie powiedziałem ci też – ciągnął opowieść Marek – że kiedy byłaś z nami podczas tego rytuału wtedy w kącinie, z Halinką, Janem

i Antonim, doznałem Przejścia i stałem się Widzącym. Przejście to rytuał, dzięki któremu otworzyły się przede mną wszystkie niewidzialne dotąd światy Prawia i Nawia. Od tego czasu mogę widzieć i rozmawiać z Bogami i stworami, mogę wchodzić do Nawii i Prawii. No i... unicastwami stworzy. To już widziałas u Kamili i Marcina. Kiedy wychodzę wieczorami, to najczęściej po to, żeby dopaść stwora. Moje wyjazdy też są związane z tym, kim się stałem. Poszukuję pewnych zaginionych figurek. To bardzo ważne. W każdym razie, głupio to zabrzmie, ale... jestem czymś w rodzaju wybrańca. Albo anomalii. Jak zwał, tak zwał. Jestem Widzącym, to też wiesz, bo mówiłem o tym u Kamy i Marcina. A w kancelarii, rzeczywiście nie bywam. Właściwie zawiesiłem wykonywanie zawodu. To, co zostawił nam Jan, wystarczy do końca naszego życia i zostanie jeszcze dla przyszłych pokoleń, dla kolejnego Powiernika. Teraz robię to, co muszę.

Marek jeszcze przez kilkanaście minut uświadamiał żonie kim jest i co robi. Opowiedział o porońcu, wypadkach na Starym Mieście, niesamowitych zdarzeniach przy narodzinach Milenki, o których Aśka nie miała pojęcia, o ostatnich przygodach w Lasach Kozłowieckich i w Gardzienicach, aż w końcu zapadła cisza.

Aśka przez dłuższą chwilę mocowała się z tym, co właśnie naopowiadał jej mąż. W końcu odezwała się zmienionym, ale pewnym już głosem.

– Po tym co usłyszałam, to chyba faktycznie mnie nie zdradzasz – zaśmiała się nerwowo. – Ale już sama nie wiem co lepsze...

– O czym ty znowu mówisz, kochanie?

– O tym, że właśnie się dowiedziałam od ciebie, że jesteś skrzyżowaniem egzorcyisty, wiedźmina, zabójcy, supermena i nie wiem kogo tam jeszcze. I że poluje na ciebie zgraja demonów, a na nasz dom napadł jeden z nich. Ale to nic. Najgorsze jest to, że przez ponad rok o niczym mi nie powiedziałeś i cały czas ukrywałeś to przede mną, a ja wyobrażałam sobie nie wiadomo co.

– Asia! Robiłem to, żeby cię chronić! Żeby was chronić! Poza tym, nie spodziewałem się, że możesz mi uwierzyć. Przecież zanim spotkałem Jana, to, co ci właśnie opowiedziałem traktowałbym jako kompletne wariactwo. W najlepszym razie jako opowieści z mitologii.

– I właśnie to jest dla mnie najgorsze!

– Co jest najgorsze? – Marek wybałuszył oczy na żonę.

– To, że nie potrafiłeś mi zaufać na tyle, żeby mi to powiedzieć.

– Ale jak miałem ci powiedzieć? Ot, tak? Kochana Asiu, jestem słowiańskim wykidajką i gadam ze stworami?

– Tak właśnie! Wystarczyło usiąść i wszystko mi opowiedzieć. Jestem twoją żoną, miłością twojego życia, jak twierdzisz, więc jak mogłeś pomyśleć, że nie uwierzę? Skoro uwierzyłem w latający beret i w to, że pod tym beretem jest stwór, to dlaczego miałabym nie uwierzyć w inne rzeczy, skoro mówi mi to człowiek, któremu oddałem serce, duszę i ciało?

– Bo przez tydzień próbowałem ci uświadomić, że w naszym domu jest domowik.

– I jakoś przez tydzień potrafiłeś się nie poddawać i mnie wreszcie przekonać. I nie tydzień, tylko kilka dni. Ty wiesz, czego ja się właśnie dowiedziałam? Że żyję z tobą nie mając zielonego pojęcia, kim, tak naprawdę, jesteś!

Marek znowu zbaraniał, ale był już na tyle dużym chłopcem, żeby wiedzieć, że kobiet zrozumieć się nie da.

– Jestem cały czas tym samym Markiem. Twoim facetem. Twoim mężem.

– To wystarczyło mi powiedzieć o tym wszystkim, co robisz. Przecież bym ci uwierzyła prędzej, czy później.

– W takie rzeczy?

– Tak, również w takie rzeczy!

– To wierzysz mi?

– Wierzę, debilu, bo jestem twoją kobietą! Bo ci zaufałam, jak się z tobą związałam i jak wyszłam za ciebie za męża. Bo jesteś moją miłością i życiem. Bo owoc naszej miłości śpi na górze, a pilnuje ten owoc czerwony beret. Poza tym widzę, że beret lata, a ostatnio słyszałem to koszarne coś u Kamili i Marcina, jak darło ryja, aż szyby dzwoniły, a ty wyczyniałeś jakieś potworne wygibasy. To jak mam nie wierzyć?

– Jesteś niesamowita... – rozdziawił dziób Marek.

– Wiem – lekki uśmiech zaczął się błąkać w kąciку jej ust. Jednak po chwili zgasł. – Ale nie myśl, że to załatwia sprawę.

– Wyobrażam sobie.

– Pomyślę nad karą, ale... – zawahała się. – Co teraz? Co z nami? Co z Milenką? Tylko teraz bądź ze mną szczerą. W ogóle zawsze już bądź ze mną szczerą i nigdy, przenigdy więcej mnie nie okłamuj, ani nie próbuj w tak kretyński sposób chronić. A teraz mi powiedz: czy grozi nam wszystkim niebezpieczeństwo?

– Nie – powiedział stanowczo. – Nie grozi. Cały nasz dom zamieszkują dobre, potężne stwory. Jest domowik Witek, korgorusze, pokuć, na dachu cały czas wartę trzymają zmijowie. Gdziekolwiek się ruszysz są przy tobie stwory, które nie pozwolą, żeby włos z głowy spadł tobie albo Milence. Macie prywatną armię, tylko niewidzialną.

– Ależ ja mam z tobą atrakcje. I jeszcze ja, stara baba, nowoczesna, pewna siebie prawniczka będę wierzyć w demony, a mój jedyny, wybrany spośród tysięcy, wzięty adwokat okaże się jakimś... wiedźminem.

– Co wyście się wszyscy z tym wiedźminem zmówili? Poza tym nie jesteście jeszcze taka stara, masz trzy dychy dopiero.

– Małpiszonie... – uśmiechnęła się, ale urwała i cień niepokoju zmarszczył jej czoło. – A tobie? Tobie może spaść włos z głowy?

– Nie martw się. Widziałaś, co potrafię zrobić. Poza tym, mam potężnych sprzymierzeńców.

– Dajesz mi słowo? Jak wy to mówicie? Aha, już pamiętam: przysięgasz pod Welesem, że nic nam wszystkim nie grozi?

– Przysięgam. Nie grozi i nigdy nie pozwolę na to, żeby zagroziło.

Aśka popatrzyła badawczo na Marka.

– Pod Welesem?

– Pod Welesem.

Po dłuższej chwili Aśka pokiwała głową.

– Dobrze. A teraz zabierz mnie do sypialni i przeleć tak, żebyśmy zapomnieli o tym wszystkim choć na chwilę. Tylko teraz będę miała w głowie, że mamy kibiców.

– Za chwilę to zrobię – Marek uśmiechnął się do ukochanej. – Nie mamy kibiców. Umówiłem się z naszymi stworami, że nie będą podglądać.

– Stwory nie będą nas podglądać – mruknęła Aśka trochę z przekąsem, a trochę z rozbawieniem. – Ja padnę normalnie.

– Ale jest jeszcze coś.

Aśka popatrzyła na męża spojrzeniem ciężkim jak ołów.

– Jest coś gorszego? – jęknęła.

– Muszę wrócić do Nawii. Jutro. Muszę zrobić coś, co sprawi, że będziemy żyć normalnie. Opowiem ci wszystko, jak wrócę, ale teraz zaufaj mi jeszcze raz. Muszę... kurwa wiem, że to zabrzmii idiotycznie: Muszę uratować świat.



Aśka ukryła twarz w dłoniach. Marek w napięciu obserwował żonę. W końcu odkryła twarz. Oczy miała czerwone, ale okrasiała twarz pewnym uśmiechem.

– Obiecuj mi coś – powiedziała stanowczo.

– Co kochanie?

– Obiecuj mi, że do nas wrócisz.

– Obiecuję. Na wszystkich Bogów, obiecuję. Zajmie mi to wszystko najwyżej kilka dni. Zrobię co trzeba i wrócę.

– Więc zapamiętaj to. Bo jeżeli coś ci się stanie, to sama wejdę do Nawii i cię stamtąd wywlokę. Pójdę do tego waszego ojca bogów Świątowida...

– Świątowita, kochanie.

– ...Świątowita. Spojrzę mu we wszystkie cztery twarze i sprowadzę cię do nas z powrotem.

– Jesteś najlepszym, co mnie w życiu spotkało, ale nie będzie potrzeby aż do Świątowita, Asiula – Marek objął żonę. – Nie trzeba do Świątowita. Ani nie trzeba będzie mu spoglądać w twarze. Do Świątowita... W twarze.. Tak. Tak właśnie! Do Świątowita! Kochanie, jesteś genialna!

– Cieszę się, choć kompletnie nie rozumiem o co ci chodzi teraz. Ale dajmy temu spokój – Asia pokiwała głową i zapadła cisza.

Marek umilkł i wpatrywał się w żonę starając się odczytać z jej twarzy, co też jej chodzi po głowie. Jednocześnie w głowie rodził mu się plan. Tak szalony, że aż możliwy. Aśka odwzajemniała spojrzenie męża marszcząc czoło. Aż w końcu Marek usłyszał:

– To zabierzesz mnie wreszcie do tej sypialni, czy nie? Dziecko się zaraz obudzi, jak się będziesz tak zbierał.

\* \* \*

Jeszcze tego samego dnia wieczorem Marek stanął na skrzyżowaniu duktów, w lesie nieopodal Chodlika. Wsparł się o łopatę i popatrzył w gęstwinię, gdzie ukryte były kurhany. Przeszedł go dreszcz. Przyjemny dreszcz. Dotąd myślał, że to niesamowitość tego miejsca wzbudza w nim takie emocje, ale teraz czuł, że to jednak coś zupełnie innego.

Wieszczy z pewnością nie kłamał. Czuł to teraz doskonale. Powiernik Jaromir na pewno ukrył bałwany na tym cmentarzysku.

W sumie całkiem rozsądna kryjówka. Ludzie zawsze otaczali cmentarzyska zabobonna bojaźnią. Nikt tutaj nie chadzał bez potrzeby, nie zakłócał spokoju duchom przodków, a potem to miejsce ukryło się

w mrokach dziejów. Dziwne jednak, że archeologowie nie natknęli się na bałwany. Albo rabusie grobów, okoliczna ludność, detektoryści, nikt ich nie wykopał, nawet przypadkiem. Tyle setek lat leżały spokojnie w ziemi. Przeczekały wojny, zawieruchy dziejowe, czujne oczy badaczy.

– Bardzo dziwne – mruknął do siebie.

Usłyszał za plecami puknięcie.

– Dziwne, ale przecież nie niemożliwe – powiedziała Miła. – W końcu to boskie artefakty. Jeżeli zechcą pozostać nieodkryte dla zwykłych ludzi, to pozostaną nieodkryte. Idziemy?

– Ahoj przygodo – odparł z przekąsem Marek.

– Znowu zaczynasz marudzić?

– Skądże – Marek puścił oko do demonicy

Podeszli kilkaset metrów, do miejsca zwanego Bartosiową Górką. Miejsce było jako tako zadbane. Widać było nawet pozostałości ostatniego, ubiegłorocznego obrzędu Dziadów w postaci ledwo wystającego z ziemi znicza, ustawionego pod rosochatym drzewem oraz świeży wykop archeologów. Badaczy na szczęście już nie było. Marek wolał nie tłumaczyć się, że nie jest rabusiem grobów, tylko wybrańcem Bogów. A gdyby jeszcze natknął się na Michała, to nie za bardzo wyobrażał sobie, że odkopie figurki i przeparaduje z nimi koledze przed nosem, bez żadnych wyjaśnień.

– Cholera, czuję się trochę jak cmentarna hiena – mruknął.

– Nie przejmuj się. Duchy tego miejsca nam sprzyjają.

– Też mam takie wrażenie. Ale ja nie o duchy tego miejsca się martwię, tylko o ludzi.

– To znajdziemy je jak najszybciej. Czujesz coś?

– I to jak.

Marek coraz intensywniej odczuwał dziwne mrowienie na karku. Postanowił kierować się tym uczuciem, jak żywy detektor. Jednak to nie przy kurhanach mrowienie było najbardziej intensywne.

Zaraz za kurhanami zaczynał się lekki spadek. Na jego granicy, nieopodal kępy jałowców stał znicz, który Marek zapalił podczas ostatnich Dziadów nieco na uboczu, jako wspomnienie i światło dla ducha Rokickiego. Podeszedł bliżej. Dokładnie w miejscu gdzie stał znicz, mrowienie było najbardziej przejmujące.

– To musi być tu – szepnął do Miłej.

– Co czujesz?

– Jakby mi tajska masażystka jeździła pazurami po plecach.

– No to dawaj.

Marek zabrał się do kopania. Demonica wpatrywała się w napięciu, jak adwokat raz za razem wbija łopatę w ziemię. Po pewnym czasie wykop miał już ponad metr głębokości, ale adwokat niestrudzenie kopał dalej.

Nagle sztych nadział się na coś miękkiego. Marek zaczął gorączkowo odgarniać ziemię i nagle ich oczom ukazał się pakunek. Ostrożnie wyciągnął go z wykopu. O dziwo, lniany toból, zawiązany sznurkiem, wyglądał, jakby został zakopany zaledwie wczoraj, a nie przed setkami lat. Drżącymi rękami Marek rozwiązał sznur.

W paczce było kilkanaście około trzydziestocentymetrowych figurek z nieokreślonego materiału. Coś jakby drewno, ale o twardości i wytrzymałości stali, przy tym były lekkie jak plastik. Z pewnością nie było to srebro, jak głosiła legenda.

– Są – szepnęła przejęta Miła.

– Bogowie, naprawdę są.

Bałowany były zachwycające. Adwokat czuł, że pulsują szczególną mocą, wydało mu się, że lekko wibrują, gdy trzymał je w rękach. Wizerunki Bogów oddane były z najwyższym artyzmem, zachowany był na nich każdy najdrobniejszy szczegół. Marek brał każdą i dokładnie oglądał.

Uśmiechnął się nagle, bo spostrzegł idealny model wesołka, który powitał go kiedyś przed bramą do Nawii. Trzymał w rękach figurkę Strzyboga.

– Co to w ogóle jest za materiał?

– Na oko to nawiron. Minerale występujący wyłącznie w Nawii. Cały ogromny pałac Welesa jest z niego zbudowany.

– Chcesz zobaczyć? – Marek wyciągnął rękę z figurką w stronę Miłej.

– To miłe, że o tym nie pamiętasz, ale ja nadal jestem stworem. Wiesz co się stanie, jeżeli dotknę którejkolwiek figurki.

– Przepraszam – mecenas uśmiechnął się speszony. – Przy tobie trochę o tym zapominam.

– Cieszę się, że czasem jestem dla ciebie normalną dziewczyną – Miła uśmiechnęła się promieniście. – To miłe uczucie.

– Hmm – mruknął Marek.

– Hmm, co?

– Wyobrażałem sobie, że jak już po wielkich i niebezpiecznych przygodach odnajdę te zakichane bałowany, to będą jakieś fajerwerki,

podniosła muzyka, czas stanie w miejscu...

– Maruniu? Brakuje ci wielkich i niebezpiecznych przygód? – Miła wymownie popukała się w czoło. – Zresztą zaraz będziesz miał kolejne i pewnie szybko ci się odechce. A muzykę puść sobie z tego pudełka, co ciągle nosisz w kieszeni i do niego gadasz.

– W zasadzie to faktycznie, zdecydowanie bym wolał, żeby mi brakowało – roześmiał się. – No dobrze. To kości zostały rzucone.

– Co zostało rzucone? – skrzywiła się Miła.

– A to takie powiedzenie z czasów rzymskich. Juliusz Cezar tak powiedział, kiedy podjął decyzję bez odwrotu – urwał widząc, że Miła nie ma zielonego pojęcia, co Marek wygaduje.

– Znowu będziesz mi musiał opowiedzieć.

– Opowiem. Jak wrócimy z Prawii. Bo wrócimy.

Miła popatrzyła na swojego podopiecznego.

– Uwielbiam twój optymizm.

– Wiesz, mam do tego trochę podstaw. Właściwie większość rzeczy w życiu mi się udaje. Kiedyś myślałem, że się w czepku urodziłem, ale od naszej rozmowy wtedy, w tym parowie przed Wodospadem Potępionych, wiem, że Bogowie nade mną czuwają. A przede wszystkim ty nade mną czuwasz, starsza siostró.

– Mówiłam ci już, że to, że ci się tak wszystko udaje, to zasługa tego, jakim jesteś człowiekiem?

– Zdarzyło się.

– A to, że jestem z ciebie dumna?

– Wiele razy – adwokat uśmiechnął się do przyjaciółki.

– No to sobie posłodziliśmy, a teraz wróćmy do rzeczywistości.

– Racja – westchnął adwokat. – A tak w ogóle, to przekazałaś już Strzybogowi, co się dzieje?

– Oczywiście. Stwierdził, że teraz już nie ma odwrotu i że zasady się zmieniły.

– Czyli?

– Czyli, że Strzybóg, Siemargł, Swarozyc, Trygław i wielu innych a nawet sama Pani Mokosz zrobią wszystko, by ci pomóc. Pozostali zajmą się Trojanem. Trzeba przyznać, że już dawno nie było wśród Bogów takiej zgody.

– A Weles?

– Weles wie. Chyba... – Miła zawahała się. – Ale Weles... zniknął. Nyja i Chors go szukają.

– Jak zniknął??? Chyba nie chce się przyłączyć do Trojana?

– Na pewno nie. Weles nienawidzi Trojana, z wzajemnością.

– No to co, u licha?

– Bogowie raczą wiedzieć – odparła Miła udatnym związkiem frazeologicznym. – Choć właściwie, to aktualnie nie raczą. Weles przepadł jak kamień w wodę.

– Myślisz, że to w związku z bałwanami?

– Nie wiem – westchnęła demonica. – Ale nie czas na to Mareczku, później będziemy się martwić. Pakuj figurki i znikamy stąd.

Marek wyciągnął lekki, ortalionowy plecak i zapakował do środka tobolek z bałwanami. Gdy pochylony zawiązywał plecak usłyszał nagle ciche syknięcie Miłej i równocześnie dyskretny wizg wyciąganego piorunitowego miecza. Podniósł głowę. Wokoło nich stały duchy. Najróżniejsze, jakby z różnych epok. Począwszy od okrytego skórami mężczyzny z neolitu, o grubo ciosanych rysach, przez postacie wyglądające na zwykłych kmieci, po wczesnośredniowiecznych wojowników, na czele z bogato ubranym i uzbrojonym wojem. Widma patrzyły na Marka i Miłą spojrzeniami, które wyrażały przeraźliwe... zmęczenie. I milczały.

– Spokojnie Miła – mruknął adwokat. – Nic nam nie zrobią.

– Wiem, ale pojawili się tak nagle, że zareagowałam instynktownie.

– Co oni tu robią?

– Najwyraźniej nie trafili do Nawii.

– Czego potrzebujecie? – zapytał Marek głośno.

– Nie mogą mówić – szepnęła Miła. – Bogowie, co się im stało?

Dostojnie wyglądający wojownik wystąpił powoli z kręgu zjaw. Ruszał się jakby z wysiłkiem przedzierał się przez powietrze. Powoli wskazał ręką na plecak, potem wskazał gdzieś w nieokreślonym kierunku, a na koniec położył rękę na sercu i ukłonił się. Gdy podniósł głowę w jego oczach czało się niewyobrażalne cierpienie.

– Proście żeby to stąd zabrać – stwierdził Marek.

W odpowiedzi wszystkie widma pokiwały wolno głowami.

– Moc zaklęta w bałwanach uwięziła was tu na setki lat.

Znowu milczące skinienia.

– Zabierzemy je. Będziecie mogli odejść.

Tym razem odpowiedzią były szerokie uśmiechy na szarych, zmaltretowanych obliczach. Wojownik uczynił powoli gest, jakby zapraszał Marka do spojrzenia w wykop archeologiczny przy krawędzi którego stał. Adwokat podszedł i podążył wzrokiem za wskazaniem woja. W wykopie leżała przepiękna fibula palczasta<sup>3</sup>. Wojownik wskazał palcem na fibulę, a potem przytknął obie dłonie do piersi, gdzie pyszniła się ta sama fibula, by po chwili zrobić dłońmi gest znamionujący podarek.

Marek schylił się i podniósł fibulę.

– Chyba właśnie dostałem dowód wdzięczności.

Zjawy uniosły prawe ręce w geście pożegnania i z wyrazem ulgi na twarzach zaczęły rozpląwać się w powietrzu. Wojownik skłonił się Miłej i Markowi, znów przyłożył dłoń do serca i również po chwili zniknął.

Nastała cisza tak absolutna, jakby cały świat wokół zatrzymał się w zadumie nad dawnymi czasami i ludźmi, których już dawno nie ma.

– Bogowie, co za koszmar – westchnęła wreszcie Miła. – Duchy tych ludzi przez setki lat tkwiły tutaj uwięzione przez moc bałwanów.

– Skończyła się ich męka. – Marek popatrzył na fibulę. – Chyba oddam to Michałowi, bo teraz to już zupełnie czuję się jak rabuś grobów.

– Nie rób tego. Dostałeś ten przedmiot w jakimś celu. Duchy nie robią prezentów, nawet z takiej wdzięczności.

– W takim razie dorzucę do kolekcji dziwnych fantów, do spółki z kwiatem paproci od Baby Jagi. A teraz do Świątyni Słońca – rzekł dziarsko adwokat. – Spotykamy się tam, czy chcesz się przejechać ludzkim pojazdem?

– Żarty się siebie trzymają – prychnęła Miła. – Ja w ludzkim pojeździe... Ale mam cię na oku! Buziaki! – Miła rozpląnęła się w powietrzu.

– No, to pogadaliśmy – westchnął Marek.

\* \* \*

Następnego dnia o świcie grupa rodzimowierców zebrała się na leśnym wzgórzu, w miejscu zwanym Świątynią Słońca, położonym nieopodal Horyńca Zdroju. W centralnym punkcie kręgu, wyznaczonego przez zniszczone, a w dużej części niemalże już niewidoczne spod krzaków i ściółki leśnej głązy, stał spory kamień. W kamieniu wydrążony był na przestrzał otwór około trzydziestocentymetrowej średnicy.

– Jesteśmy już wszyscy Marku – zagaiła Aneta Drzewicka, mazowiecka Godna, gdy wszyscy zgromadzili się wokół świętego kamienia. – Co się tym razem stało?

– Może najpierw powitajmy wśród nas nowego wiślańskiego Godnego, który zastąpił Adama Karczewskiego – Marek zwrócił się do chudego szatyna w średnim wieku.

– Mirosław Kaczor. Bardzo się cieszę, że mogę was poznać – uśmiechnął się speszony małopolanin. – Mistrz Adam wiele mi o was opowiadał.

– Witamy cię Mirosławie – powiedział szybko Marek, po czym zwrócił się do wszystkich zgromadzonych. – Będę się streszczał moi drodzy. Jest źle. Nawet bardzo źle. Z całą pewnością znacie mit o Trojanie? O tym jak się pojawił i o tym, że Świętowit wraz z Perunem, Strzybogiem i Welesem pokonali Trojana, pozbawili mocy i wtrącili do Pustki?

Godni w milczeniu skinęli głowami.

– Otóż to nie mit, tylko najprawdziwsze wydarzenia, które rozegrały się w świecie Bogów – ciągnął Marek. – Teraz Trojan, który na wieki miał pozostać uwięziony w Pustce, uciekł z niej. Zaszył się w Nawii, odzyskuje dawną moc i zbiera armię stworów.

Godni stali jak wryci i robili oczy jak pięciozłotówki.

– Marku, chcesz nam powiedzieć, że... – ślęzański Godny Artur Barański nie dokończył przerażony tym, co sam chciał powiedzieć.

– Że zawisła nad nami groźba Wróżdy – dokończył za niego Marek. – I dlatego muszę znów wejść do Nawii. Muszę tam zanieść strzyboże figurki, czyli bałwany.

– Znalazłeś strzyboże figurki??? – westchnęli chórem zdumieni Godni.

– Znalazłem. Kiedyś, w spokojniejszych czasach opowiem wam o wszystkim, ale teraz muszę jak najszybciej wejść do Nawii.

– Miejmy nadzieję, że poczekaamy na ciebie tylko chwilę, tak jak ostatnio i za parę chwil nam opowiesz – uśmiechnął się wielkopolski Godny Paweł Obara, ale widać było, że robi dobrą minę do złej gry.

– Miejmy nadzieję. Ale tym razem nie będę musiał robić pokazów z żywą wodą? – Marek puścił oko do zgromadzonych. – Szczególnie, że się po nią nie wybieram, tym razem.

Marek grzebnął na chwilę w plecaku i na chybił, trafił wyciągnął jedną z figurek. Jak na złość, „przypadkiem” była to figurka Welesa. Marek nie wierzył w przypadki. Bogowie właśnie przypominali mu, z czym niedługo będzie musiał się zmierzyć.

– Tak wyglądają bałwany – pokazał figurkę zgromadzonym i prędko ją schował. Wiślański Godny aż jęknął z wrażenia.

– Kochani, czas nagli – rzucił Marek. – Przystąpmy do rytuału, bardzo proszę.

Godni utworzyli szpaler prowadzący do dziwnego „dziurawego” kamienia, wbili w ziemię swoje laski żerców i rozpoczęli rytuał.

– Jesteś gotów? – zapytał cicho Obara, gdy obrzęd osiągnął punkt kulminacyjny.

– Jestem gotów – odparł Marek. – Tym razem na pewno.

– Idź więc. Niech Bogowie cię wspierają. Sława Bogom! – zakrzyknął Godny.

– Sława! – odpowiedzieli pozostali.

Marek zbliżył się ostrożnie do kamienia i włożył rękę w otwór w głazie. Przez chwilę nic się nie działo, aż nagle poczuł szarpnięcie i... stracił przytomność.





## Rozdział IV

Dawno, bardzo dawno temu, na początku wszechrzeczy, gdy nie było jeszcze ludzi, nie było stworów, żywiołaków, boginek i boginów, nie było nawet Bogów, na powierzchni bezkresnego oceanu pojawił się malutki pęcherzyk powietrza.

Pęcherzyk zaczął powoli rosnąć. Rósł bardzo długo i nabierał kształtów. Najpierw pojawiła się głowa, a na niej uformowały się cztery uśpione twarze. Potem tułów i ręce, a na koniec nogi. Kiedy pęcherz nabrał ostatecznych kształtów, postać którą uformował otworzyła oczy wszystkich swoich czterech twarzy i zaczerpnęła pierwszego tchu. Tak narodził się Świętowit.

Świętowit nie widział niczego wokół siebie, bo nie istniało wtedy światło. Otworzył więc usta wszystkich czterech twarzy, a twarze chórem wypowiedziały:

– Niech stanie się światło.

I nastąpiło światło, a postać Świętowita rzuciła cień na pradawny ocean. Jednak niewygodnie było Świętowitowi unosić się nad bezkresnym oceanem. Postanowił stworzyć stały ląd, aby móc oprzeć stopy. Zanurkował więc w głębiny aby zaczerpnąć z dna garść piasku i z niego uformować ląd.

W momencie, gdy Świętowit zanurkował, na oceanie pozostał jego cień. Cień oderwał się od powierzchni wody i uformował. Tak narodził się Nyja – bóg śmierci. Bo Świętowit to życie i początek, a Nyja to jego przeciwieństwo – śmierć i koniec.

Świętowit wrócił na powierzchnię z garścią piasku, z której uformował ląd. Ucieszył się też, że ma towarzysza w osobie Nyji i z tej radości zajaśniał boskim blaskiem. Blask padł na złoty piasek i nadał mu kształt. Tak narodził się drugi brat Świętowita – Swaróg.

Stali więc trzej bracia na lądzie uformowanym przez Świętowita i zastanawiali się w którą stronę się udać. Postanowili zdać się na ślepy

los. Świętowit uformował z drobinek piasku wielki podłużny kamień z ostrym końcem. Rzucił go w górę. Kamień miał spaść, a ostry koniec wskazać Bogom którą drogą iść. Ale w górze kamień uformował się w kolejną postać i na ziemię spadł już jako bóg. Tak narodził się Rod – bóg losu.

Czterej bracia wzięli się do pracy. Uformowali góry i doliny, wytyczyli koryta rzek, wykopali i napełnili wodą jeziora. Pewnego dnia znużony pracą Świętowit spoczął nad brzegiem wielkiego jeziora i przeglądał się w jego toni. W odbiciu oglądał swoje trzy twarze, bo czwarta była z tyłu, niewidoczna. Wrócił do pracy, ale na tafli jeziora pozostało odbicie trzech twarzy Świętowita. Odbicie oddzieliło się od wody i uformowało. Tak narodziło się wynaturzone przeciwieństwo Świętowita. Przeciwieństwo życia, porządku i wszystkiego, co dobre. Tak narodził się trójtwarzowy bóg – Trojan.

Trojan natychmiast zaczął niszczyć wszystko, co budowali jego starsi bracia, a Prawia, bo tak Bogowie nazwali swój świat, była już ukończona. Kawałek po kawałku Trojan wydierał tereny Prawii i zamieniał je w Pustkę, gdzie rządził chaos. Owca

W tym czasie nieświadomi niczego Bogowie postanowili stworzyć sobie towarzystwo. Potrzebowali też rąk do pracy, bo świat, który stworzyli był tak ogromny, że sami nie mogli już o niego dbać.

Świętowit tchnął życie w wielką górę i tak narodził się Perun – potężny bóg, pan niebios, gromu i wojny.

Następnie tchnął życie w cień wielkiej góry, którą wcześniej zmienił w Peruna. Tak narodził się ponury Weles.

Potem tchnął życie w wilgotną ziemię. Tak narodziła się Mokosz – dobra pani i matka wszystkich żywych istot.

Później dmuchnął na drobny piasek. Tak narodził się Strzybóg – pan wiatrów, pogody i roznosiciel dobra.

W końcu tchnął życie w maleńkie ziarenko piasku, zasadził je i z ziarenka wyrosło potężne Drzewo Życia.

Młodszy bracia Świętowita również wzięli się do pracy. Swaróg zajął się kowalstwem i pierwszym, co wykuł, był jego syn Swarozyc. Potem Swaróg w swej kuźni wykuł Słońce i zajął się tworzeniem gwiazd.

Nyja z najczarniejszego cienia uformował swego syna Chorsa. Ale młody Chors nie był tak ponury, jak jego ojciec i nie chciał żyć

w całkowitych ciemnościach, więc na pocieszenie Swaróg wykuł dla swojego bratanka Księżyc.

Rod zamarzył o córkach i sprawił, że w Prawii pojawiły się trzy Rodzanice. Czwarta córka otrzymała od ojca smutny los, była to Marzanna.

Potem pojawiać się zaczęli kolejni Bogowie. W korzeniach Drzewa Życia narodził się psiołowy bóg – Siemargł. W jego koronie narodził się Jaryło. Z rosochatej gałęzi narodził się Trygław. Następnie pojawili się Radogost, Dodola, Dadźbóg i inni.

Świat wciąż jednak był zbyt rozległy i wciąż pusty. Widzieli to Bogowie. W końcu pewnego razu Mokosz wybrała się na spacer z Perunem nad brzegiem oceanu. Natknęli się na dwie kłody leżące na brzegu. Postanowili z nich uformować żyjące stworzenia na swoje podobieństwo. Tak narodziła się pierwsza kobieta i pierwszy mężczyzna, a potem zaczęło się pojawiać coraz więcej ludzi. W końcu było ich już tylu, że Świątowit wydzielił dużą dziedzinę z Prawii i tam osiedlił ludzi. Tak powstała Jawia.

Widząc ludzi w Jawii Weles też chciał mieć swoje stworzenia. Zaczął więc formować je z martwych roślin, grudek ziemi, a potem z umarłych ludzi. Tak powstały stwory – welesowe pomioty. Tych również namnożyło się zbyt dużo, więc Świątowit wydzielił jeszcze jedną krainę, gdzie umieścił welesowe pomioty i oddał w rządy Welesowi. Tak powstała Nawia.

Odtąd każdy z Bogów tworzył swoje dzieci w większej lub mniejszej liczbie. Strzybóg stworzył kilka ubożąt, w tym ukochaną córkę Miłą, zmijów, planetników i ażdachów. Siemargł stworzył Perepłuta, domowiki, brzeginie, wodne i leśne boginki i boginów. Mokosz stworzyła żywiołaki – leszych, wodianojów i żywie. Pozostali również stworzyli swoje stwory i byty.

Tak właśnie powstał świat widzialny i niewidzialny.

Wszystkiemu przyglądał się Trojan, który nienawidził dzieła Bogów, bo sam był złem i zniszczeniem. Przeciwnieństwem wszystkiego. Niszczył wszystko na swojej drodze i przemieniał kolejne części świata w Pustkę. Im większa była Pustka, tym bardziej Trojan rósł w siłę.

W końcu Bogowie dostrzegli niebezpieczeństwo. Trojan był już wtedy tak potężny w dziele zniszczenia, jak jego najstarszy brat Świątowit w tworzeniu.

Jednak w obliczu największego zagrożenia Bogowie zjednoczyli się i w końcu Świątowit i jego trzech synowie Perun, Weles i Strzybóg dopadli Trojana. Perun ogłuszył go młotem, Weles wydarł Trojanowi dwie z trzech jego twarzy i oddał Świątowitowi, zaś Strzybóg potwornym podmuchem zdmuchnął Trojana w Pustkę. Na straży wiecznego więzienia Trojana Świątowit postawił boga śmierci, który nigdy nie zasypia – swego młodszego brata, Nyję.

Od tego czasu minęły tysiąclecia. Bogowie zajęli się swoimi sprawami, niektórzy zamknęli się w swoich dziedzinach w Prawii, inni rozgościli się w Jawii między ludźmi, jeszcze inni wędrowali po wszystkich krainach, niektórzy zaczęli się ze sobą spierać. Po pewnym czasie, po dawnej jedności Bogów i ich współdziałaniu nie było śladu. Perun poróżnił się z Welesem, Swaróg zamknął w swojej Kuźni, Strzybóg zajął sprawami ludzi, Siemargł zaszył w koronie Drzewa Życia, Chors ukrył się w najciemniejszym zakątku Nawii.

W końcu w Jawii narodził się człowiek, którego Bogowie postanowili wykorzystać do własnych celów. Każdy do swojego. Był to Widzący Witomir. Jednak działania Bogów, sprzeczne ze sobą, doprowadziły jedynie do tego, że zamknęli sobie oni możliwość wejścia do Jawii. Już wtedy Słowianie zaczęli odwracać się od swoich Bogów i obierali sobie innego, obcego boga. Słowiańscy władcy oślepieni władzą, omotani podszeptami obcych, omamieni nowinkami przyjęli obcego boga i rozpoczęli prześladowanie tych, którzy trwali jeszcze przy Starych Bogach.

Bogowie widzieli to i każdy z nich miał inny pomysł, aby temu zaradzić. W końcu za sprawą Welesa powstały bałwany. Każdy z Bogów uformował swojego bałwana na swój obraz i tchnął weń część swej mocy. Weles chciał wykorzystać bałwany, aby zamknąć wszystkim Bogom wejście do Jawii i samemu objąć rządy nad Jawią i ludźmi.

Podstęp Welesa wykrył Strzybóg, który wykradł bałwany i oddał Witomirowi, aby ten wniósł je do Jawii. Obecność potężnych boskich artefaktów miała dać świadectwo ludziom o tym, że Bogowie o nich pamiętają. Strzybóg chciał w ten sposób odnowić wiarę ludzi w Bogów. Niestety, było już za późno. Świat ludzi zamknął się przed Bogami.

Odtąd Bogowie i stwory mogli przebywać w Jawii tylko jako niematerialne byty. Coraz więcej ludzi odwracało się od Bogów, zapominało o nich lub twierdziło, że Bogowie ludzi porzucili. Od tego

czasu tylko garstka najwierniejszych wyznawców, prześladowanych przez setki lat, dochowała wiary Starym Bogom.

Aż wreszcie pojawił się w Jawii człowiek, którego los wymknął się Bogom, a jego nić życia splątała się tak, że Rodzanice nie potrafiły znaleźć jej końca. Zauważyli to Bogowie i znów, tak jak kiedyś Witomira, i tego człowieka każdy chciał wykorzystać do swoich celów. Coś się jednak zmieniło...

Człowiek ten wszedł do świata Bogów i z niego powrócił. Zrobił to z miłości – do swojej kobiety i nienarodzonego wtedy dziecka. Od tego czasu jego moc zaczęła rosnać. Początkowo powoli i dla człowieka niezauważalnie. Po narodzinach córki, gwałtowniej, aż wreszcie człowiek sam zauważył, że ma zdolności, przekraczające możliwości innych ludzi.

I wtedy właśnie Trojan uciekł z Pustki.

\* \* \*

Ocknął się po jakimś czasie. Najwyraźniej już tak musi być, że podróże między światami kończą się dla niego utratą świadomości. Rozejrzał się wokół. Był na niewielkiej leśnej polance, a kilka metrów od niego stał... żywy posąg. Strażnik!

– Radowit? – zapytał zdziwiony Marek.

– Ohohoho – zadudniło stworzenie. – Co to, to nie. Moje miano Mirmił. Witaj Widzący. Czym tak podobny do mego brata, Radowita?

– Jak dwie krople wody – stęknął Marek gramoląc się na równe nogi. – Witaj strażniku Mirmile. Widzę, że wiesz, kim jestem, a skoro tak, to pewnie wiesz, z czym przychodzę i po co. Pozwolisz mi wejść?

– Wiem. Pozwolę – zadudniło stworzenie. – Kimże ja jestem, aby działać przeciw zamierzeniom Bogów? A i wygląda na to, że jesteś wszystkim tutaj potrzebny. Ale nie masz przypadkiem przy sobie błyszczącej skały? – stwór łypnął na adwokata z ukosa.

– Eee, no tak się składa, że mam – odparł adwokat z rezygnacją w głosie wyjmując Kresa i Żmija z plecaka. – A rewolwer?

– Nie wiem, co to rewolwer, ale jeżeli jest wykonany z błyszczącej skały, to też.

– Gdzie mam zostawić?

– Schowaj je, śmiertelniku, pod tą kłodą – Mirmił wskazał palcem spory kloc na skraju polanki.

Marek odszedł kilka kroków i posłusznie wsunął broń pod kłodę. Poczuł się zdecydowanie mniej pewnie.

– Błyszcząca skałę, czy jak wy, mieszkańcy Jawii, mówicie żelazo, lepiej jest dobrze schować – powiedział stwór z podejrzeniem przesadną emfazą. – Jeszcze ktoś będzie przechodził obok tej kłody i zabierze, jak będę odwrócony tyłem i nie będę patrzył.

To mówiąc, teatralnie puścił oko do adwokata.

– Za kłodą zaczyna się ścieżka. Idź nią i dotrzesz do bramy. Powodzenia i życzę ci szczęścia odważny człecze. Będzie ci potrzebne. Żegnaj. Ja tymczasem pooglądam sobie piękny wschód słońca.

To mówiąc Mirmił ostentacyjnie odwrócił się plecami do kłody.

– Do zobaczenia wkrótce, Mirmile – odparł Marek, odwrócił się na pięcie i ruszył w drogę. Mijając kłodę dyskretnie wyciągnął spod niej broń i włożył do plecaka.

Strażnik uśmiechnął się pod nosem.

\* \* \*

Marek przez kilkanaście minut siedł nie niepokoiony przez las. Jakiż inny był to początek podróży, niż ten sprzed ponad roku. Wtedy, gdyby nie Miła, szalona wyprawa została zakończona, zanim by się na dobre zaczęła, a jego kości po wieki białaby na granicy między światami.

Teraz siedł dziarsko i nie odczuwał ani odrobiny strachu. Czuł się wręcz, jak u siebie. Jednak czuł także i to, że jest bacznie obserwowany przez wiele par oczu. Tym razem te oczy patrzyły na niego z respektem i ciekawością, a nie jak na obiad lub zwykłą ofiarę, jak to było za pierwszym razem w Nawii.

Dotarł wreszcie na skraj lasu i jego oczom ukazał się znajomy monstrualny mur, pod którym leżały ogromne głazy. Ścieżka prowadziła między nimi, wprost do bramy. Usłyszał puknięcie.

– Dzień dobry kochana.

– Dzień dobry Mareczku. Jak tam? Gotowy ratować świat?

– Oczywiście, że nie, ale mamy inne wyjście? – skrzywił się.

– No, nie mamy – westchnęła Miła.

– To chodźmy.

Doszli do ogromnej bramy i już mieli pchnąć odrzwia, gdy nagle zza wielkiego głazu dobiegło:

– A ku-uuu-uuu-ku.

Miła udała przerażenie, ale Marek nie bawił się w ceregiele. Rzucił się w objęcia stwora, który właśnie wychynął zza kamienia.

– Perepłut! Witaj! Ty też tutaj?

– Prze-ee-ecież nie pu-uuu-uszczę was sa-aaa-amych – wyjąkał pokraczny stwór.

– Nawet nie wiesz, jak ja się zajebiście cieszę, że cię widzę!

– Wza-aaa-ajemnie – Perepłut wykrzywił krzywą twarz w imitacji uśmiechu. – Zaa-aaa-ajebicie.

– No, to jeszcze brakuje nam tutaj Strzyboga i dostanę deja vu.

– Niestety, Strzybóg na razie zajęty jest wiecie sami czym, także chyba jednak nie dostaniesz tego deżawu – wypaliła Miła. – Co to w ogóle jest?

– Widzę, że jak wrócimy będę ci musiał też wyjaśnić co to jest deja vu – roześmiał się Marek.

– Gałgan – Miła przewróciła oczami. – Dobra, nie ociągajmy się – rzuciła, a Perepłut pchnął bramę.

Cała trójka wkroczyła wolno do Nawii, ale przystanęła kilka kroków za bramą.

– Nienawidzę tego miejsca – sapnął adwokat.

– My też – mruknęły chórem stwory.

– Perepłucie masz te swoje tajemnicze jagody, korzonki, wodorosty, listki... obojętnie co?

– Ma-aaa-am.

– Chwała Bogom.

Stali przez chwilę, a przed ich oczami wszelkie kolory zaczęły blaknąć, aż miejsce barw zajęły wszelkie odcienie szarości. Marek od razu stracił rezon, ale ku swojemu zdziwieniu i radości Nawia nie przytłoczyła go, tak jak za pierwszym razem. Odczuwał jakiś ciężar w piersi, natychmiast złapał wisielczy humor, ale mimo, że nie ruszył perepłutowych specyfików, nadal zachowywał trzeźwość umysłu.

Oba stwory stały skrzywione, jakby właśnie zobaczyły coś wyjątkowo obleśnego.

– Prowadź Perepłucie – rzuciła Miła na tyle dziarsko, na ile można wkraczając do krainy umarłych.

Stwory ruszyły z miejsca. Marek został.

– Wszystko w porządku? – Miła odwróciła się w kierunku adwokata zrobiwszy parę kroków.

Perepłut zaniepokojony również przystanął.



– Właśnie ze zdziwieniem stwierdzam, że tak – odparł Marek. – Czuję się średnio, ale jestem przytomny. Chyba, że mi się tylko wydaje?

– Nie, też jestem zdziwiona. Ostatnim razem, już chwilę po wejściu do Nawii, wyglądałaś i zachowywałaś się jak widmo i nawet nie można cię było ruszyć z miejsca.

– Myślisz, że Biezdar nie kłamał? Że rośnie we mnie jakaś moc? I to dzięki temu?

– Po co miałyby kłamać? Z tobą ewidentnie coś się dzieje. Mam nadzieję, że to coś dobrego i najwyraźniej tak jest.

– Nie wiem sam, czy się cieszyć, czy bać.

– Po wszystkim porozmawiaj ze Strzybogiem. Nic nie może się dziać bez przyczyny. I bez woli Bogów.

– Tak zrobię.

– Chodźmy zatem – rzuciła demonica.

Ale Marek dalej nie ruszył się z miejsca. Zaskoczone stwory posłały adwokatowi pytające spojrzenia.

– Miła, Perepłucie – zniżył głos. – Nie idziemy do Kuźni Swaroga.

Zapadła cisza. Miła i Perepłut wymienili zaskoczone spojrzenia.

– Jak to??? – wydukała wreszcie bezgranicznie zdziwiona Miła. – To gdzie idziemy?

– Do Grodu Świętowita.

– Do Grodu? Po jakiego biesa chcesz zanieść bałwany do Grodu? A jeżeli po drodze natkniemy się na sługusów Trojana? I czemu wcześniej nic nie mówiłaś?

– Nie mówiłem, bo wiecie, że w Jawii wszystko dookoła słucha. Szybko by się rozniosło po wszystkich krainach. Tutaj jest międzyświat. Nie ma tu nikogo i, jak na razie, mogę być pewny, że nie słyszy nas nikt. Właściwie wpadłem na to niedawno. W rozmowie z Aską przypadkiem mnie oświeciło. Nie chcę zanosić bałwanów do Grodu. Chcę najpierw coś z Grodu zabrać. Potem pójdziemy do Kuźni.

Miła i Perepłut wlepili w adwokata spojrzenia znamionujące najwyższe zdumienie.

– Co chcesz zabrać, na cycki Moreny? Bo nic z tego nie rozumiem.

Marek w odpowiedzi posłał Miłej uśmiech od ucha, do ucha. Po chwili na twarzy demonicy pojawił się błysk zrozumienia, a Perepłut wyszczerzył się krzywo i złapał za łysą głowę.

– Chyba oszalałaś – Miła pokręciła głową.

- Nie oszalałem.
  - Przecież to wariactwo! Poza tym Świętowit na to nie pozwoli.
  - Może pozwoli? A jak nie, to je wykradniemy.
  - No jeszcze tego brakowało!
  - Jak będzie trzeba, to wykradniemy.
  - Ale po co???
  - Zniszczymy je. Razem z bałwanami.
  - Przecież wiesz, że twarzy Trojana nie wolno zniszczyć!
  - Aha! I tu się mylisz – odparł Marek z triumfalnym uśmiechem. – Bogowie nie mogą ich zniszczyć. Ja nie jestem Bogiem.
  - Naginasz boskie prawa!
  - Jestem adwokatem. I to dobrym, jak wspominałem – Marek roześmiał się. – Czasami muszę naginać prawo. Poza tym akurat teraz nie naginam, czytam je dokładnie tak, jak brzmi.
  - Marek! Najpierw chcesz zdradzić Welesa, a właściwie już prawie zdradziłeś składając Biezdarowi przysięgę, a teraz to? Przecież to obraza Bogów! Chcesz ukraść twarz Trojana z Grodu Świętowita? Ukraść?
  - Prawie, robi dużą różnicę, to raz. A po drugie, to poproszę wcześniej Świętowita, żeby je nam dał. Ukradniemy, tylko wtedy, gdy nie da. W ostateczności.
  - Aha. Tak po prostu.
  - Tak po prostu.
  - Jesteś niemożliwy! Perepłut, powiedz mu coś, bo mi ręce opadły.
  - Ale ja się z nim zga-aaa-adzam.
- Miła wybałuszyła oczy na obydwu i wypuściła powietrze.
- Zwariowaliście obaj – Miła wzięła się pod boki i spojrzała surowo na Marka i Perepłuta.
  - Wiem, że plan jest szalony, ale pomyśl chwilę. Podejrzewam, że już wszyscy wiedzą, że mamy bałwany i idziemy je zniszczyć do Kuźni Swaroga. Zapewne za chwilę pojawią się sługusy Trojana, a może i cała horda oraz on sam, i ruszą żeby nas odnaleźć. Biezdar też już nadział na patyk swoją pieczęć i tylko czeka na korzystny rozwój wypadków. Na szczęście chwilowo mam go pod kontrolą i musimy to absolutnie wykorzystać, bo nie będzie to na długo. Poza tym nie wiem jakie jeszcze kłody pod nogi i kto nam będzie rzucał. Ci, co będą chcieli nam przeszkodzić, staną nam na drodze, ale my tą drogą nie będziemy iść. My

udamy się do Grodu, zabierzemy twarze i wtedy ruszymy do Kuźni wszystko zniszczyć.

– I przyniesiemy Swarogowi bałwany i twarze Trojana, a następnie, tak po prostu, wrzucimy je do paleniska w Kuźni? Ale wymyśliłeś.

– Nie mam w tej chwili lepszego pomysłu – Marek zawahał się.

– Ten akurat jest wyjątkowo niedorzeczny.

– Aaa–aale dla-aaa-aczego?

– Na Świątowita! Co was opętało? Idźmy do Kuźni i zniszczmy te przeklęte bałwany jak najszybciej.

– Wiesz co, Miła – zaczął Marek niepewnie – a może my źle robimy, że chcemy zniszczyć bałwany? Może właśnie powinniśmy je oddać Świątowitowi? W końcu to z Grodu Świątowita wykradł je kiedyś Strzybóg. A skoro już będziemy w Grodzie, to może uda się wziąć te twarze i powstrzymać Trojana niszcząc je?

Demonica rzuciła Markowi przeciągłe spojrzenie. Jej twarz złagodniała.

– Ten pomysł już bardziej do mnie przemawia. Właściwie nie przemyśleliśmy wszystkich rozwiązań, tylko podłapaliśmy to, co podsunął nam Biezdar. Może faktycznie nie powinniśmy niszczyć bałwanów? Poza tym jeszcze to twoje nieszczęsne słowo życia dane Biezdarowi. Może Świątowit będzie mógł na to poradzić?

– I tutaj zaczynasz myśleć, jak rasowy adwokat – roześmiał się Marek. – Przecież musimy gdzieś złożyć apelację. Albo... uchylić się od oświadczenia woli złożonego pod wpływem przymusu.

– Czeka... uchylić się od oświadczenia woli? – Miła spojrzała Markowi w oczy. – Ty to od początku zaplanowałeś! Ty wstrętny gadzie! Ja się gryzę, martwię o ciebie, a ty postanowiłeś...

– Pójść na sąd Świątowita – adwokat wszedł jej w słowo. – Przecież on jest sędzią najwyższym. I nie, składając słowo życia Biezdarowi jeszcze nie myślałem o takim rozwiązaniu. Przypadkiem znowu nasunęła mi je Asia. Reszta to już myślenie prawnicze.

– Co za kombinator jakiś! Tylko wiesz, że czym innym prawa boskie, czym innym ludzkie?

– Tak myślisz? A ja myślę, że Bogowie wiedzą co robią. Skoro dali nam zasady, prawa i naturalny porządek rzeczy, ale także wolną wolę, to jeżeli ktoś tobie ogranicza tę wolną wolę albo wykorzystuje przymusowe położenie, tak jak Biezdar, to nie działa także wbrew prawom boskim?

Miła mocowała się przez moment ze sobą, a Perepłut przyglądał się obojgu z zainteresowaniem.

– Spróbujmy – powiedziała po chwili. – To może być to wyjście, które nam nie przyszło do głowy przy spotkaniu z Biezdarem. Ty naprawdę jesteś dobrym adwokatem – dodała z nutką podziwu w głosie.

– Właściwie to chyba byłem. Teraz jestem demonim wykidajłą–zbawcą świata – Marek puścił oko. – Żeby nie powiedzieć inaczej.

– Na pewno, to jesteś niemożliwy – Miła uśmiechnęła się wreszcie. – No dobrze. Powiedzmy, że tak robimy, ale mamy inny problem. Do Grodu będziemy iść kilka tygodni. Nie mamy tyle czasu, a bałwany trzymać możesz tylko ty. Nie możemy ich wziąć od ciebie i się po prostu z nimi przenieść.

– Wiem. Myślałem o tym. Dlatego liczę na waszą pomoc, ale nieco inną niż dotychczas. Proszę was, abyście oboje coś ważnego zrobili.

– Co? – zapytały chórem stwory.

– Wy u Świętowita możecie pojawić się w parę chwil, ale ja jestem tutaj w mojej powłoce z Jawii. Nie zniknę i nie zmaterializuję się w Grodzie. To wiecie. Dlatego ciebie Perepłucie proszę żebyś odnalazł i nakłonił Siemargła, żeby mnie przeniósł do Grodu. Skoro kiedyś spod Drzewa Życia przeniósł mnie w chwilę na polanę Radowita, to i będzie w stanie przenieść mnie stąd do Grodu. Ciebie Miła proszę abyś udała się do Swaroga i wybadła, czy jeżeli pojawimy się w Kuźni z twarzami albo nawet z bałwanami i twarzami, to pozwoli nam je zniszczyć w palenisku.

– Ma-aaa-amy cię zo-ooo-ostawić? – zaskrzeczał Perepłut z troską w głosie.

– Nie ma innej rady. Poza tym chciałbym czegoś spróbować.

– Co ci znowu chodzi po głowie, nicponiu? – zapytała z przekąsem Miła.

– Chciałbym porozmawiać z Janem, bo ostatnia nasza rozmowa odbyła się w dość niesamowitych warunkach i szybko musiała się skończyć. Przede wszystkim jednak chciałbym odnaleźć Welesa. I pojednać się z nim.

– Przednia myśl Marczyku, ale jeżeli myślisz, że my sobie pójdziemy, a ty będziesz błąkał się sam po Nawii szukając Welesa i Jana, to grubo się mylisz – sarknęła Miła.

– Nie będę się błąkał. Chciałem to zrobić zaraz po wejściu do Nawii, ale chyba lepiej będzie w międzyświecie. Wrócę za bramę i będę tam na was

czekał pod murem, od strony międzyświata. Nawet nie zajrzę przez bramę do Nawii. W międzyczasie przeprowadzę obrzęd.

– Hmm – mruknęła Miła. – Osobliwy pomysł, obrzęd w międzyświecie... Myślisz, że to coś da?

– Da albo nie da, ale warto spróbować. Nie sądzisz?

– Jak na razie Nyja i Chors nawet nie wpadli na jego trop. Chciałabym wierzyć, że dumny Weles stawi się na prośbę śmiertelnika. Nawet tak niezwykłego, jak ty.

– A znasz taki dowcip o żercy i Strzybogu?

– Nie wiedziałam że są dowcipy o Strzybogu.

– A więc narzekał kiedyś żerca, że nigdy niczego nie wygrał. Miał pretensje do Strzyboga i ciągle tylko powtarzał: „Strzyboże, dlaczego ja w życiu niczego nie wygrałem? Dlaczego jesteś dla mnie taki niesprawiedliwy? Inni wygrywają, a ja nic.” W końcu Strzybóg nie wytrzymał i objawił się żercy mówiąc: „Zlituj się nade mną śmiertelniku i kup wreszcie los!”

Oba stwory wlepiły w Marka nierozumiejące spojrzenia.

– Nie rozumiem – odezwała się Miła. – Przecież Rod nie sprzedaje losu, tylko obdziela nim wszystkie istoty.

– Los na loterii – westchnął Marek. – Ciołek ze mnie. Skąd wy macie wiedzieć, co to jest los na loterii? W każdym razie tą przypowieścią chciałem wam powiedzieć, że jak się nie spróbuje, to się nie ma.

– Niech więc tak będzie – odparła Miła. – Wracamy za bramę i tam cię zostawimy. W międzyświecie twoja moc będzie na tyle duża, że żaden stwór tobie nie zagrozi. Szczególnie, że coś czuję, że tym razem Mirmiła wyprowadziłeś w pole i masz tam w plecaku „błyszczącą skałę”.

– Za dobrze mnie znasz, czuję się inwigilowany – zażartował Marek.

– Nie marudź – Miła pokazała mu język.

– Ale powiem wam w sekrecie, że Mirmił sam pomógł mi w wyprowadzeniu się w pole.

– Dobry z niego stwór, tylko serce ma zbyt gołębie.

– Zmykajcie już.

– Tylko pamiętaj – Miła pogroziła Markowi palcem. – Jak wsadysz choćby czubek nosa za bramę do Nawii, to będziemy wiedzieć. A wtedy wrócę i przysięgam, że spuszczę ci wreszcie to lanie, które wcześniej ci obiecałam. Na goły tyłek pokrzywami – pogroziła mu palcem.

– Dobrze starsza siostró – Marek wyszczerzył się do demonicy. –  
Ruszajmy więc.

\* \* \*

Za Markiem głucho zamknęła się brama. Został sam. Czas niby naglił, ale dopóki Miła i Perepłut nie wrócą, to i tak utknął w międzyświecie. Rozłożył się więc na wielkim płaskim głazie. Chciał zasnąć z nadzieją, że Rokicki znów pojawi się w Jaźni, ale sen niestety nie nadchodził. Zamiast tego w głowie kotłowały mu się myśli o tym, co by było, gdyby dwa lata temu nie spotkał ekscentrycznego jegomościa, który złożył mu tajemniczą propozycję.

– Ale spotkałem i dosyć gdybania – mruknął wreszcie sam do siebie po pół godziny nieróbstwa.

Dźwignął się i rozejrzał wokół w poszukiwaniu dobrego miejsca na obrzęd, po czym ruszył do lasu po drewno. Za drzewami przemykały większe i mniejsze cienie i kształty, ale żaden nawet nie zbliżył się do Marka. Mimo to miał się na bacności.

Nazbierał spore naręczce gałęzi i chrustu, wykonał kilka kursów do lasu po drewno i w końcu ułożył zadowalający stos. Następnie wyjął z plecaka obrus i kilka miseczek, gdzie przesypał pokarmy na ofiary – mąkę, kaszę, mak. W końcu wyjął zapalniczkę, którą przezornie zapakował do plecaka i rozпалиł ogień. Poczekał chwilę, aby obrzędowe ognisko porządnie wystrzeliło w górę i rozpoczął obrzęd.

– Zataczam krąg, aby nic co złe nie miało tutaj dostępu – zawołał okrążając ognisko głosem na tyle gromkim, aby leśnym obserwatorom nie przyszło nawet do głowy niepokojenie go.

Zatoczywszy krąg stanął obok głazu, na którym uprzednio położył obrus.

– Witaj nam gościu w czerwonym płaszczu – powiedział do ognia. – Witaj ogniczku boży i nie daj nas nigdy zubożyć.

– Witaj śmiertelniku – Marek aż podskoczył, gdy nagle usłyszał głos za plecami. Odwrócił się błyskawicznie.

– Swarozyc? – Marek zrobił wielkie oczy.

Stał przed nim wysoki, młody mężczyzna, szczupły, ale nie wychudzony, z sięgającymi ramion włosami i brodą ognistymi, jak zachodzące słońce. Na czubku głowy pełgały mu na włosach małe ogniki.

Tylko oczy gorzały błękitnie. Ubrany był we wściekle czerwoną tunikę i także szerokie spodnie.

– A kogo się spodziewałeś? – zapytał bóg. – Przecież zaprosiłeś „gościa w czerwonym płaszczu”.

– Witaj Swaróżycu – to mówiąc Marek pokłonił się bogowi ognia. – Właściwie to nie liczyłem, że pojawisz się we własnej osobie.

– Chciałem cię poznać, Widzący. Wszyscy o tobie mówią, a jakoś jeszcze nie mieliśmy sposobności. Ale skoro zawołałeś mnie w międzyświecie, to nie mogłem przegapić takiej okazji.

– Jestem zaszczycony Swaróżycu.

– Zapewne chcesz mnie o coś poprosić?

– Wiesz dlaczego tu jestem i wiesz, co się teraz dzieje. Chciałbym poprosić cię o pomoc. Słyszałem, że mogę na nią liczyć.

– Dobrze słyszałeś. Udzielę ci jej. Udzielę tobie każdej pomocy, której będziesz potrzebował. Wolę trzymać z moim młodszym wujostwem i młodymi kuzynami – Strzybogiem, Mokoszą, Siemargłem, Jaryłą, a nawet tym smutasem Chorsem, niż ciągle wysłuchiwać nakazów i zakazów mojego ojca Swaroga i moich ponurych wujów Welesa, Roda, Nyji, a nawet mojego ukochanego wuja Świętowita. A teraz, gdy wszystkim nam zagraża Trojan, musimy trzymać się razem. Inaczej nie mamy szans.

– Dziękuję ci Swaróżycu. To dla mnie bardzo ważne.

– Wszyscy chcemy powstrzymać Trojana. Pustka zaczęła się dramatycznie powiększać, a to niechybny znak, że Trojan jest coraz potężniejszy i już zaczął swoje dzieło zniszczenia.

– Muszę cię o coś spytać Swaróżycu. Wybacz mi śmiałość, ale dlaczego wy, Bogowie, nie jesteście w stanie odszukać Trojana i go powstrzymać?

– Jest wiele powodów. Po pierwsze większość z nas, jasnych Bogów, nie może wejść do Nawii dalej, niż do zewnętrznego brzegu Bylicy. Musisz wiedzieć, choć w sumie wiesz, bo podróżowałeś już przez Nawię, że jest ona bardzo niedostępną krainą i niemalże przed nami zamkniętą.

– Jakże to? Zamkniętą przed Bogami?

– Niestety – Swaróżyc zmarszczył czoło. – Stało się tak za sprawą Welesa. On kiedyś wymógł na Świętowicie, że dostęp do Nawii będą mieli tylko ciemni Bogowie i stwory. Teraz to się mści i dlatego skupiliśmy się przede wszystkim na zabezpieczeniu jej granic z Prawią. Tylko ciemni Bogowie są w stanie poruszać się po całej Nawii. Dlatego tylko Nyja

i Chors, szukają Trojana, a teraz jeszcze i Welesa w Nawii. Pozostali pilnują Prawii, Drzewa Życia, źródła żywej wody, Grodu Świątowita, Czarnego Lasu i Czarnego Jeziora, zewnętrznego brzegu Bylicy i wielu innych miejsc. Nawia jest ogromna i pełna najdziwniejszych i najmroczniejszych dziedzin. W którejś na pewno ukrywa się Trojan. Dopóki wysyła do Nawii tylko swoich sługusów, to wiemy, że jeszcze nie nabrał sił, ale w każdej chwili może się to zmienić i ruszy się sam z całą potęgą. Musimy być gotowi, bo z pewnością uderzy ze swymi stworami na Prawię. Będzie chciał się dostać do Grodu Świątowita. Na szczęście niektóre jasne stwory również są w stanie do Nawii wejść. Oczywiście, o ile są na tyle potężne, żeby wytrzymać w tej koszarnej krainie. Dlatego nie jesteśmy aż tak nieświadomi, co się tam dzieje. I dlatego ostatnim razem w Nawii mogłeś mieć towarzyszy.

Swarożyc przerwał długi wywód i spojrzał przenikliwie na Marka.

– Jest też inny powód. Nie wiem, czy zdajesz sobie z tego sprawę, ale my nie jesteśmy pewni własnych mocy. Przez bałwany oczywiście. Masz je przy sobie?

– Mam – Marek odwrócił się i pokazał Swarożycowi plecak. – Tutaj.

– Chyba nawet nie chcę na nie patrzeć – sapnął bóg. – Choć jest to ogromnie kuszące. Zniszczysz je?

– Tak chciałem, ale teraz sam nie wiem. Myślę o tym, żeby je zwrócić Świątowitowi.

Bóg ognia zamyślił się.

– Może to i dobry pomysł? – mruknął wreszcie. – W końcu to najmądrzejszy i najstarszy z Bogów. To on nas wszystkich stworzył, niech teraz zadecyduje o naszym losie. Jeżeli jednak Świątowit postanowi, że należy te figurki zniszczyć, a mój ojciec nie będzie chciał tobie w tym pomóc, to pamiętaj, że możesz liczyć na mnie i mój ogień.

– Dziękuję ci Swarożycy, ale dlaczego Swaróg miałby nie chcieć spalić bałwanów? I to nawet na polecenie Świątowita.

– Nie znasz mojego ojca. To naprawdę ognisty charakter.

– Zastanawiam się tylko, co się stanie, gdyby je zniszczyć.

– Nie wiem, co się może wydarzyć – odparł Swarożyc. – Sam się zastanawiam co się stanie, jeśli zniszczysz te przeklęte bałwany. Czy odzyskamy dawną moc, a może ona bezpowrotnie z nimi przepadnie? A może stanie się jeszcze coś innego? Tego chyba nawet sam Świątowit nie wie.



– Myślałem Swarozycu, że może przyjdą ci do głowy jakieś pomysły, czym przekonać Swaroga.

– Swaroga może przekonać wyłącznie Swaróg. I może czasem Świątowit i Weles.

– To chyba niepotrzebnie poprosiłem Miłą, żeby do niego poszła?

Swarozyc roześmiał się szczerze.

– Posłałeś wodę po ogień. A właściwie to ogień po ogień, znając Miłą. Przy całej sympatii do mojej uroczej stryjecznej bratanicy, to u mojego ojca nie zdziała niczego i jeszcze się pokłóca. Swaróg lubi się swarzyć.

Nagle dało się słyszeć puknięcie i objawiła się Miła.

– Ten stary zgred nawet nie chciał ze mną rozmawiać i zwyzywał od rozpieszczonych pannic i smarkul! – wydyszała z wściekłością. – Idziemy do Świątowita. Ja nie będę z tym starym osłem gadać!

– Ej! – roześmiał się w kułak Swarozyc. Miła nie zauważyła go, ponieważ opierał się o ogromny głaz, który go całkiem od strony demonicy zasłaniał. – Mówisz o moim ojcu!

– O, witaj wuju. Przepraszam, ale twój ojciec nawet nie wpuścił mnie do Kuźni, tylko kazał iść precz i mnie zwymyślał. Nawet ust nie zdążyłam otworzyć. Co za bóg z niego? – Miła aż się trzęsa z wściekłości. – A w ogóle, to skąd się tu wzięłeś, wuju?

– A ten oto śmiertelnik mnie zaprosił – Swarozyc wskazał na Marka.

– Aleś poobrzedował – rzuciła z przekąsem Miła. – Miałeś spróbować zaprosić Welesa.

– A ja rarogowi spod ogona wypadłem? – obruszył się bóg ognia.

– Przepraszam wuju, ale wiemy, że jesteś po naszej stronie. Za to z Welesem jest problem. Kłóci się ze wszystkimi pozostałymi Bogami, a Marek ma z nim trochę na pieńku, a w związku z tym i wszyscy pozostali, którzy go wspierają. A teraz jeszcze twój ojciec się zbiesił.

– I co chcieliście zrobić?

– Marek wymyślił, że przeprowadzi obrzęd, złoży mu ofiarę i zaprosi do świętego ognia, to może da się przebłagać i przyjdzie. Będzie wtedy można jakoś się z nim pojednać.

Swarozyc dostał nagłego ataku śmiechu, aż iskry zaczęły mu się sypać z czupryny. Miła i Marek patrzyli na niego w osłupieniu.

– Oryginalny pomysł, przyznaję – rzekł kiedy już opanował rozbawienie. – A w międzyświecie może i nawet byłby skuteczny, gdyby nie to, że Weles nie zamierza się ruszać z miejsca w którym jest, bo jest

śmiertelnie obrażony. I to nawet nie na „tego strzybożego pupilka, co pozjadał wszystkie rozумы, a baba mu nos podciera”, jak się wyraził o Marku i tobie, tylko na twojego ojca – Strzyboga i na wszystkich których nazwał „kręgiem gówniarzy”. Do którego oczywiście zaliczasz się również i ty Miła, i ja, i właściwie większość naszych boskich kuzynów.

– Naprawdę, aż tak się obraził? – Miła skrzywiła się.

– A jakże! Poszedł nawet na skargę do Świętowita, ale ten wypomnił mu niedawną napaść na Strzyboga w Czarnym Lesie. Sami zresztą byliście świadkami. Tak więc ostatecznie Weles wypadł z Grodu Świętowita wrzeszcząc, że jego noga nie stanie w żadnej krainie, dopóki nie zostanie przeproszony. I od tego czasu wszyscy go szukaliśmy.

– A skąd ty wiesz takie rzeczy, wuju? – Miła była bezbrzeżnie zdumiona.

– A dokąd mógł się udać nasz rogaty wuj, żeby skryć się przed wszystkimi i pielęgnować urażoną dumę? Do mojego ojca oczywiście. Charakterami są siebie warci.

– To wszyscy go szukają, a on siedzi w Kuźni? No trzymajcie mnie wszystkie stwory! Przecież Trojan nadchodzi! A poza tym, to jak ktokolwiek ma go przeprosić, skoro nikt nie wie, gdzie on się podziewa?

– Taki już jest Weles. Zacięty. I chciałby, żeby się domyślić.

– A nie mogłeś powiedzieć wcześniej? Przecież wszyscy go szukają po wszystkich dziedzinach!

– Po pierwsze dowiedziałem się całkiem niedawno, a poza tym, niestety, nie mogłem powiedzieć. Kiedy odkryłem, że Weles przebywa u mojego ojca, naskoczyli na mnie obaj i kazali przysięgać, że nie puszcę pary z gęby w żadnej z krain. Nie miałem wyjścia więc złożyłem przysięgę. Pod Welesem – Swarozyc uśmiechał się z przekąsem.

– Ale przecież teraz puściłeś parę z gęby, Swarozycu – włączył się w rozmowę Marek.

– Ty akurat powinieneś najlepiej wiedzieć dlaczego, mecenasie. Jesteśmy w międzyświecie. Przysięgałem, że nie powiem w „żadnej z krain” – tu Swarozyc zrobił palcami znak oznaczający cudzysłów – Tu nie ma żadnej krainy.

Rozległo się ciche klaśnięcie. To Miła wykonała facepalma klepiąc się w czoło.

– Czy to jakaś plaga prawników albo interpretatorów prawa? – jęknęła

– Zaczyna mnie to wszystko przerastać. Mój wychowanek robi jakieś zadziwiające zwroty akcji, Biezdar, najpotężniejszy welesowy pomiot

nam pomaga, Trojan szaleje po światach i zaraz je wszystkie zniszczy, Weles postanawia się w takim momencie obrazić, a Swaróg nie dość, że mu to umożliwia, to jeszcze mu wtóruje. Ja już sama nie wiem, co robić.

Swarożyc popatrzył na demonicę i człowieka stojących przed nim trochę bezradnie.

– Róbcie swoje, tak jak dotąd. Ty w Jawii Marku, a ty w świecie Bogów i stworów, Miła. Jesteśmy z was, dumni. Będziemy wam pomagać ze wszystkich sił. Strzybóg ma rację – zasady się zmieniły, bo stoimy nad przepaścią, a to jest czas próby. Mam nadzieję, że wyjdziemy z niej zwycięsko.

– A nie możesz ode mnie tych bałwanów zabrać i oddać Świętowitowi?

– zapytał adwokat. – Będzie prościej i szybciej.

– Nie Marku. To twoje brzemię. Te figurki mają szczególną moc. Przypadek sprawił, że teraz już tylko ty i Świętowit możecie dysponować figurkami. Każdy stwór, który ich dotknie zostanie unicestwiony, a każdy bóg, który otrzyma wszystkie figurki, a nie tylko swoją własną, stanie się zbyt potężny i zbyt zachłanny. Wtedy zamieni się w coś, czym teraz jest Trojan, a jego wiecznie nienasycony głód zniszczy wszystkie krainy. Nikt tego nie chce. Oprócz samego Trojana.

– Czułem, że tak będzie – odparł ponuro Marek. – A Strzybóg? Przecież to Strzybóg wykradł je z Grodu Świętowita i nie wykazywał jakoś żadnego nienasyconego głodu.

– Niestety, Strzybóg także nie. Tylko Świętowit i ty. Minęło tysiąc lat. Moc zaklęta w bałwanach jest zapewne wciąż taka sama, ale nasza... cóż, bardzo osłabła.

– Jak to?

– Starsi Bogowie są zbyt dumni, żeby to przyznać – Swarożyc zniżył głos niemalże do szeptu – ale nasza moc nie jest taka, jak kiedyś. Na przykład, przez te przeklęte figurki nie możemy wejść do Jawii, którą w końcu przecież sami stworzyliśmy. Do Nawii także nie możemy wejść, oprócz kilku z nas, którzy objęli ją w panowanie. Nie wiem dlaczego tak jest, ale dla nas samych jest to zaskoczeniem. I dlatego udziela się nam wszystkim groza związana z nadejściem Trojana. Swarożyc przerwał i zmarszczył czoło.

– Ale na mnie już czas – powiedział nagle. – Dokończcie obrzęd. Myślę, że Weles i tak pozostanie głuchy na wasze prośby, ale spróbować zawsze warto. Żegnajcie!

Błysnęło oślepiająco, a po Swarozycu została tylko okrągła plama wypalona na trawie i Miła z Markiem zaskoczeni tak szybkim zakończeniem wizyty Swarozycy.

– Chyba dzieje się coś niedobrego – mruknęła Miła. – Zniknął tak nagle... Obawiam się najgorszego.

– Myślisz, że Trojan ruszył?

– Wypluj to słowo! Poza tym to niemożliwe, żeby tak szybko zebrał siły. Mam nadzieję, że to nie o to jednak chodzi. Poczekajmy na Perepłuta. Mam nadzieję, że wróci tu niedługo z Siemargłem.

Cóż było robić? Wrócili do obrzędowego ognia i dorzucili drew. Marek wziął róg i napełnił do pitnym miodem z butelki wyciągniętej z plecaka. Następnie wyciągnął wszystko, co przygotował na ofiarę – kaszę, mąkę, chleb, kawałek mięsa... Przeprowadzili obrzęd, złożyli ofiary, lecz niestety, ani Weles, ani Jan, nie przybyli.

– No cóż – westchnęła Miła. – Ale zawsze warto było spróbować.

– Miałem nadzieję, że może jednak coś uda się wskórać – odparł zawiedziony Marek.

– No trudno. Bardziej mnie niepokoi, że wciąż nie ma Perepłuta. Niemożliwe, żeby tak długo szukał Siemargła.

– Myślisz, że mogło mu się coś stać?

– To Perepłut. On jest niezniszczalny.

Ale czas mijał, a Perepłut ciągle nie wracał. Miła z Markiem siedzieli od pewnego czasu w milczeniu na wielkim głazie. Każde pogrążone w ponurych myślach, dodatkowo spotęgowanych teraz przedłużającą się nieobecnością przyjaciela.

Nagle gruchnęło dwa razy, aż ziemia stęknęła.

– Lel? Polel? Co wy tu robicie? – zapytała zaskoczona Miła.

– Pojmali Perepłuta! – ryknęli chórem bliźniacy.

Miłą i Marka jakby perunowy grom poraził.

– Jak pojmali? Kto? Gdzie? – dukali jedno przez drugie.

– Niedawno. Podobno Perepłut szukał Siemargła wzdłuż brzegów Bylicy i przy Durnym Jarze wpadł w pułapkę – relacjonowali chórem. – Zniszczył kilkunastu sługusów Trojana, ale ich było więcej. Dużo więcej. Rzucili się na niego kupą i w końcu związali. Teraz idą wzdłuż Bylicy, w stronę Srebrnego Wiru. Nie mogliśmy mu pomóc, jest ich za dużo.

– Przekłete bydlaki!!! – wrzasnęła Miła. Marek nigdy nie widział tak wściekłego ubożenia. – Chcą go przemienić w plugawca. Dorwę ich

wszystkich! – wydyszała ze strasznym grymasem na twarzy.

– Co to ten Srebrny Wir? – zapytał Marek.

– Wielka rozpadlina w kształcie leja, gdzie skupiły się ogromne moce. Tak ogromne, że każdy, kto trafi do Wiru, dostaje pomieszania zmysłów. Tam najłatwiej przemienić kogoś w plugawca. W tym miejscu, przed wiekami, Bogowie pokonali Trojana. Starły się tam wtedy tak niewyobrażalne siły, że to miejsce nadal nimi emanuje i wypaczy każdy umysł.

– Tam właśnie idą – chórem powiedzieli bliźniacy. – Dotrą tam za jedno mgnienie Oka Chorsa mniej więcej o tej porze – dodał Polel.

– Niech to czarci chwyć! – Miła aż zazgrzytała zębami ze wściekłości. – I będziemy się musieli mocno postarać, żeby ich dogonić.

– To nie możecie się tam po prostu przenieść – zdziwił się adwokat.

– Właśnie nie – Miła rozłożyła ręce. – W promieniu kilkudziesięciu kilometrów od centrum Wiru nie działa żadna moc. Wir wszystko wypacza. Dotrzemy do granicy jego działania i dalej będziemy musieli ścigać ich na piechotę.

– Oni już weszli w działanie Wiru – wtrącił Lel.

– Skąd wy to wszystko wiecie w ogóle? – zapytała demonica. – I co tam dźwigasz Polelu?

– Od tego pokurcza – Polel bezceremonialnie zrzucił z ramienia pokaźny wór, po czym wymierzył mu porządnego kopniaka.

Lel rozwiązał wór i wyrzucił z niego liściaste stworzenie.

– Chrust! – wykrzyknęli chórem Miła z Markiem.

– Znacie tego dydkę? – zapytał zdziwiony Lel.

– Znamy – odpowiedziała Miła. – Jak miło powitać – wysyczała do dydki. – Dawno się nie widzieliśmy, pokurczu. Gdzie to ostatnio? Ach tak! Zostawiłeś nas przeklęty łajdaku w Czarnym Lesie!

– Niech ubożę nie drze japy – stęknął Chrust gramoląc się z ziemi na równe nogi. – Niech się cieszy, że Chrust Bogi sprowadził do lasu, bo teraz by skrzeczała jak kikimora Biezdarowi do ucha.

Marek i Miła spojrzeli po sobie.

– Chcesz powiedzieć, że to ty wtedy sprowadziłeś Strzyboga i Welesa do Czarnego Lasu? – spytała Miła.

– Ja pobiec do Siemargła, bo być wtedy najbliżej, a co on zrobić to jego sprawa.

– To chyba wychodzi na to, że uratowałeś nam życie. Dlaczego? – Marek był mocno skonfundowany.

– Rozkaz od Weles był, żeby doprowadzić Widzący w jeden kawałek. Dydko słuchać Weles.

Marek popatrzył na demonicę i bliźniaków.

– Chyba źle go oceniliśmy.

– A skąd wy go wzięliście? – Miła zwróciła się do bliźniaków.

– Kręcił się z bandą, która porwała Perepłuta i zamarudził – wyjaśnił Polel. – Wytropiliśmy bandę, chcieliśmy zobaczyć dokąd pójdą i wrócić po pomoc. Złapaliśmy go, jak został z tyłu.

– Czarciego chwosta żeśta złapali, tępe klocki – warknął dydko i łypnął z wyrzutem na bliźniaków. – Strzygi wam szczać prowadzić i bobaki macać. Weles kazać wszystkim dydkom śledzić, co robić sługusy Trojana. Chrust udawać, że się przyłączać do hordy i widzieć, jak oni porwać Perepłut. I dowiedzieć się, co oni chcieć zrobić. Potem Chrust uciec od nich i wracać do Weles, co by o tym donieść. I wtedy te dwa ciołki – dydko oskarżycielsko wycelowwał palec w kierunku bliźniaków – wsadzić Chrust w worek, zadawać pytania i obijać Chrust, jak cepem.

– A gdzie ty niby wracałeś do Welesa? – zapytała podchwytiliwie Miła.

– Chrust nie móc powiedzieć. To tajemnica, a dydki nie ujawniają tajemnic Weles. Niech ubożę nie wsadza nochala w nie swoje sprawy.

– A może wybierałeś się do Kuźni Swaroga?

– To po co ubożę pytać, skoro wiedzieć?

– Co by nie mówić, to trzeba mu oddać, że jest lojalny – stwierdził Marek.

– I trochę zyskał w moich oczach – dodała Miła.

– Dobra. Szkoda gadania. Musimy ratować Perepłuta.

– Teraz dopiero przydałaby się nam pomoc Siemargła – westchnęła głęboko demonica.

– Siemargł będzie tu za chwilę – wyskandowali chórem bliźniacy.

– Znaleźliśmy go – dodał Lel.

– To co nic nie mówicie, nicponie?

– Nie pytałaś, księżniczko – odparł chór.

– Kiedy będzie?

– TERAZ! – odezwał się gromki głos z góry, zagłuszany nieco szumem potężnych skrzydeł. Po chwili bóg–pies wylądował z impetem przed zgromadzonymi.

Marek zapamiętał Siemargła, jako wielkiego, dobrotliwego, łagodnego ogara, który siedział przy źródle żywej wody, wybijającej spod Drzewa Życia. Tym razem mieli przed sobą rozwścieczoną, skrzydlatą bestię szczerzącą kły i toczącą pianę z pyska.

– Dorwijcie ich – warknął bóg przez obnażone zęby. – I wybijcie te kreatury co do nogi.

Nagle gruchnęło potężnie dwa razy, a za Siemargłem wzbiły się dwa tumany kurzu.

– Świcorz? Świstun? Witajcie braciszku! Skąd wy tutaj? – zdziwiła się Miła widokiem dwóch nieco osobliwych jegomości. Obaj wysocy, postawni, na ludzkie oko w średnim wieku. Wyróżniały ich długie do połowy pleców, siwe włosy i nienormalnie potężne dłonie.

– Ruszamy na ratunek Perepłutowi, siostrzyczko – odezwał się Świstun.  
– Chcieliśmy zabrać i ciebie. I poznać się z Widzącym.

– Marku, to moi bracia, również ubożęta.

– Bardzo mi miło poznać – Mark uścisnął gigantyczne dłonie obu stworów. – To kiedy ruszamy?

– Oni ruszają, Widzący – Siemargł wskazał głową zgromadzone stwory.  
– My ruszamy gdzie indziej.

– Jakże to??? Perepłut to mój przyjaciel! Jestem mu to winien. To wyłącznie dzięki niemu i Miłej przetrwałem ostatnią wyprawę do Nawii. Nie zostawię go tak! Muszę mu pomóc!

– Nie zostawiasz. Wysyłam tam ze Strzybogiem nasze najpotężniejsze stwory. Miła, Świcorz i Świstun to najlepsze dzieci Strzyboga. Idą też Lel i Polel. Ja wysyłam moje poloki – skrzydlate ogary. Czekaają już nad Bylicą. Dopadną tę zgraję, która zabrała mojego ukochanego syna – Bóg-pies toczył pianę, jak wściekły basior. – Żałuję, że nie wolno mi wejść do Nawii, zrobiłbym tam porządek.

– My tam zrobimy porządek Siemargle – zadudnił Świcorz.

– Nie oszczędzajcie żadnego – warknął bóg-pies.

– A co ja mam robić? – zapytał rozczarowany adwokat.

– My udamy się do Grodu Świętowita, Widzący. Czas wyjaśnić pewne sprawy – Siemargł popatrzył znacząco na plecak Marka.

Marek wiedział, że dyskusja z bogiem nie ma sensu, a na pewno nie miała sensu dyskusja z dobrotliwym bogiem, wściekłym jak zraniona bestia.

– Do zobaczenia Miła, znajdźcie ich jak najszybciej i błagam cię bądź ostrożna – Marek starał się, żeby jego głos brzmiał pewnie.

– Zawsze jestem. Nie martw się – wyszczerzyła się. Minę miała jak zimna, bezlitosna furia radująca się na rzeź, jaką niedługo zgotuje.

– Żegnajcie wszyscy. Zróbcie tym skurwysynom jesień średniowiecza i wróćcie z Perepłutem.

– Jesień czego? – skrzywiła się Miła.

– Wciągamy na listę do opowiedzenia po powrocie – westchnął adwokat.

– Wiem, co to średniowiecze, słoneczko – posłała mu lekkiego kuksańca w bok. – Szutki sobie robię.

– Bardzo śmieszne – mruknął udając naburmuszonego.

– Znikamy! – krzyknęła do pozostałych – Chrust! Idziesz z nami liściasty pokurczu. Przyda się nam przewodnik.

Przy dogasającym obrzędowym ognisku pozostał Marek z nieco już spokojniejszym Siemargłem.

– Skąd wiedziałeś Siemargle, że chcę iść do Świątowita?

– Jestem bogiem, więc wiem.

– Fakt... Znowu stracę przytomność, jak ostatnio?

– Tym razem zrobimy to delikatniej. Wsiadaj.

– Na ciebie, Siemargle, mam wsiąść? – Marek zrobił oczy jak pięć złotych.

– A na kogóż innego? – wyszczerzył się bóg–pies. – Polecimy wzdłuż Bylicy, zobaczymy, czy coś tam się dzieje, a później odbijemy, ominiemy Drzewo Życia i lecimy prosto do Grodu.

Adwokat wgramolił się na Siemargła, a ten odbił się lekko od ziemi, machnął potężnymi skrzydłami i wzbił się błyskawicznie w górę. Marek spodziewał się wiatru we włosach, gwizdu w uszach, ale nie poczuł zupełnie niczego. Właściwie nie dziwił się już temu, że w świecie Bogów przeróżne rzeczy wyglądają zupełnie inaczej, a znane z Jawii prawa fizyki działają zaskakująco inaczej lub przestają mieć jakiegokolwiek zastosowanie.

Lecieli coraz wyżej i wyżej, tak, że potężny mur stał się wąską niteczką utkaną pomiędzy soczystą zielenią międzyświata, a szarością krainy umarłych. Widok był imponujący.

Dotarli wreszcie do Bylicy. Siemargł skręcił i frunął z jej nurtem. Po pewnym czasie na horyzoncie ukazała się gigantyczna góra, której widać



było tylko podstawę, reszta ginęła w chmurach. Marek wiedział już jednak, że to nie góra, a mały kawałek Drzewa Życia.

Nagle jego wzrok przykuła ogromna, czarna plama przykrywająca sporą część widzialnej dla nich części Nawii. Plama zdawała się wylewać daleko, daleko zza horyzontu i była cokolwiek osobliwa. Jakby w jej środku lśniła czerń doskonała. Jądro czarnej dziury.

– Siemargle – zagaił Marek do boga – psa, który wzrok utkwiony miał w brzegach Bylicy. – Co to jest? Ta czarna plama na horyzoncie?

Siemargł rzucił tylko okiem i zawył tak przeraźliwie, że Marek o mało nie zleciał z jego grzbietu.

– Co się dzieje? – wrzasnął przerażony.

– Trojan ruszył – warknął strasznym głosem bóg–pies. – Za wcześnie! Nie zebraliśmy jeszcze wszystkich sił! Będzie tu najpóźniej za trzy mgnienia Oka Chorsa.

– Ta plama to Trojan?

– Ta plama to tysiące stworów, plugawców Trojana, zmierzających w stronę Prawii.

– Bogowie – szepnął Marek. – Ale jak to jest możliwe? Skąd wziął tyle stworów? Przecież dopiero niedawno uciekł z Pustki!

– Nie wiem! Jest potężniejszy, niż myśleliśmy! Nie jesteśmy jeszcze gotowi. Nasze siły są rozproszone. Jeżeli przebije się do Grodu Świętowita, to będzie koniec. I na dodatek nie wiemy, gdzie podziewa się Weles!

– Wiem gdzie jest Weles. W Kuźni Swaroga.

– Skąd to wiesz? – Siemargł aż zakołysał się w powietrzu, przyprawiając Marka o chwilowe palpacje serca.

– Swarozyc nam powiedział przed kilkoma chwilami – wydyszał adwokat, gdy już ponownie usadowił się bezpiecznie na grzbiecie boga–psa.

– Zostawię cię w Grodzie i zawiadomię pozostałych. Trzeba namówić go do powrotu!

– Swarozyc twierdzi, że Weles jest śmiertelnie obrażony.

– Dlaczego mnie to nie dziwi – warknął Siemargł. – Musimy jak najszybciej dotrzeć do Grodu. Potem polecę do Kuźni i zębami wyciągnę stamtąd Welesa.

Tak zaczynała się Wróżda. Zapomniany bóg zebrał sił na tyle, aby ruszyć z hordami do Grodu Świętowita po utracone twarze, odzyskać

dawną potęgę i rozpętać pandemonium we wszystkich krainach. Marek widział, że Siemargł był poruszony. Bogowie nadal toczyli właśnie, stwory z Prawii nie stawiały się jeszcze w komplecie, a Weles nawet nie zwołał welesowych pomiotów do walki z hordami Trojana, które po prostu przetoczą się po Nawii, jak walec. Chociaż... Marek rąbnął się dłonią w czoło.

– Siemargle, nie możemy lecieć teraz do Grodu. Musimy dotrzeć do Czarnego Lasu.



## Rozdział V

Nie wiedzą ludzie, przez jakie ja tony,  
Przez jakie czyny, przez jakie męczarnie  
Zebrałem owe duchów miliony?  
Które, gdy wezwę, to mię strach ogarnie!  
Bo ze słońc różnych są i z różnej strony...  
Jako girlandy w chmurach i latarnie  
Pokazują się, kiedy sam nie zdołam  
Czynić, a one na pomoc przywołam.  
Juliusz Słowacki – Król Duch Pieśń II

Bóg–pies i człowiek stali na wielkim, płaskim głazie, leżącym na środku sporej, ponurej polany. Wokół sterczały przerażające, nagie, kilkunastometrowe kikuty. Wypaczone, zdeformowane korzenie Drzewa Życia, tworzące niesławny Czarny Las.

Marek pamiętał doskonale to miejsce. To tutaj przywłókł go kiedyś Biedzdar i tutaj doszło do starcia Strzyboga z Welesem, które ostatecznie zakończyło się wraz z przybyciem Świętowita. Znowu znalazł się w tym przekętym lesie, na upiornej polanie za sprawą najpotężniejszego wieszczego. Tym razem jednak zrobił to z własnej woli i nie ślepy, jak nowonarodzone kocię, tak jak za pierwszym razem, tylko w pełni świadomie i z planem. Planem, który był na tyle szalony, że aż powinien się udać.

Z lasu powoli wynurzały się najbardziej makabryczne kreatury. Biesy, czarty, boruty, wije, wąpierze, różnego rodzaju upiory – martwce, zgnilce, trupije, poza tym strzygi i strzygonie, bobaki, dusioły, ćmuki i wszelkiej maści znane i nieznanne Markowi welesowe pomioty. Polana powoli zapełniała się mrocznymi stworami, których oczy płonęły nienawiścią, koszarne pyski szczyrzyły kły, szpony błyskały, napięte mięśnie drgały, ale żaden nie ruszył w kierunku znienawidzonego Widzącego.

W ryzach trzymało ich siedmiu przerażających potworów, a tych siedmiu jeden człowiek dzierżący lekko podsuszoną dłoń najważniejszego z nich. Nieprzebrana rzesza kreatur z najgorszych koszmarów zalała całą polanę, a między kikutami Czarnego Lasu nadal kłębiły się kolejne.

– Witaj Widzący – zacharczał w końcu jeden z przywódców upiornej armii, gdy wszystkich siedmiu stanęło przed kamieniem, na którym oczekiwali Marek z Siemargłem. – Przyszedłeś wypełnić obietnicę? I wzięłeś sobie psa do towarzystwa? Co za piękny obrazek. Podobno pies jest najlepszym przyjacielem człowieka.

Polana zatrzęsała się od gromkiego jazgotu, wycia, chichotu, pisku i wszelkich mniej lub bardziej artykułowanych dźwięków.

– Miarkuj się bydlaku! – warknął Siemargł strasznym głosem. Tak strasznym że połowa upiornej masy ucichła nagle, a druga dodatkowo skuliła się w sobie i cofnęła o pół kroku.

– Zawrzyj pysk Niewsza, jeśli masz gadać byle co – rzucił Biezdar w stronę pobratymca. – A ty się nie unoś, psiogłowy. Niedługo zostaniemy rodziną, dzięki waszemu ulubieńcowi – Biezdar popatrzył wymownie na Marka. – To gdzie mój bałwan, śmiertelniku? Bo rozumiem, że zjawiliście się tutaj, aby wypełnić obietnicę.

– Wstrzymaj konie, Biezdar. Na razie mam to – Marek bawił się ostentacyjnie oderwaną dłonią wieszczego. – Na bałwana przyjdzie czas.

Wieszczy wlepili wzrok w adwokata.

– Nie pogrywaj ze mną, ludziku – warknął ostrzegawczo Biezdar. – Dałeś słowo życia.

– Dałem. I będę musiał wypełnić. Kiedyś. Nie zastrzegłeś terminu, pamiętasz? A może w międzyczasie znajdę inny sposób? Zobaczymy.

Wieszczy wybałuszył swoje jedyne oko.

– O czym ty mówisz przeklęty śmiertelniku, jeśli... – urwał nagle, gdy Marek podstawiał mu pod nos kikut dłoni.

– Dałem słowo życia, że oddam ci bałwana Welesa, ale nie powiedziałem kiedy, ani ty nie domagałeś się zakreślenia terminu. Dopóki bałwany są u mnie, mogę wypełnić przysięgę, a dopóki mam też twoje łapsko, to wzywam ciebie i wszystkich, którzy ci służą, żebyście stanęli ze mną i wszystkimi stworami Prawii na drodze hord Trojana.

Ciszę, jaka zapadła na polanie, można by było kroić.

– Nie zapomnę ci tego – wysyczał po chwili Biezdar. – Kiedy to wszystko się skończy i tak będziesz musiał mi oddać bałwana. Inaczej

zdechniesz. Już za kilka dni moja dłoń szczerze i twoich rozkazów też nie będziemy musieli słuchać. A wtedy, jeżeli nie będziesz chciał oddać po dobroci, to zrobię wszystko, żeby cię do tego zmusić.

– Najpierw niech się skończy. I przejrzyj na oczy upiorze, bo cię zaślepią żądza władzy, zemsty i czego tam jeszcze chcesz. I przetrwaj to, co niedługo się wydarzy. Jeśli wszyscy nie zatrzymamy tego, co nadchodzi, to nie będzie ciebie, mnie, bałwanów, ani jakiegokolwiek krainy, którą mógłbyś rządzić. Nie będzie niczego, Biezdar. Niczego.

Upiór włożył całą swoją nienawiść w spojrzenie jednego oka.

– Teraz ja cię nie doceniłem – wycedził przez zęby. – Myślałem, że jesteś grzecznym pieskiem Strzyboga, a tu okazuje się, że potrafisz kąsać.

– No to mamy remis.

Przez chwilę demon i człowiek mierzyli się wzrokiem. W końcu wieszczy, jakby nagle pogodził się ze swoim losem, jednak Marek był pewien, że to tylko pozory. Kiedy tylko upiorna łapa zamieni się w proch w jego plecaku, z całą pewnością zrobi się bardzo gorąco. Chyba, że nadchodząca groza uwolni wszystkich od tego problemu. Na zawsze.

Biezdar odwrócił wzrok od Marka, spojrzał na swych braci, potem na upiorną czeredę tłoczącą się na polanie.

– Słyszeliście braciszku! – zakrzyknął w końcu głosem przerażającym, jak charcząca syrena okrętowa. – Idziemy nad Bylicę, a potem dalej! Tam gdzie spotkamy się z Trojanem i hordą splugawionych stworów! Idźmy posłać zapomnianego Boga tam, gdzie jego miejsce!!! – wykrzyczał na koniec niczym charyzmatyczny wódz.

Polana odpowiedziała wybuchem przerażającego jazgotu.

– I zapamiętajcie dobrze tego człowieka – wieszczy wycelował paluch w stronę adwokata. – Nagniemy trochę karku dla niego, ale tylko na chwilę. Już wkrótce, właśnie dzięki niemu, to my będziemy panować w Nawii! A jeżeli nas zdradzi, jeżeli znajdzie sposób, żeby złamać przysięgę, ścigajcie go po wszystkich dziedzinach. Jego i jego ród.

Makabryczny tłum zawył, zagwizdał, zaświstał, zaburczał, tworząc upiorną kakofonię. W końcu polana zafalowała. Całe przerażające mrowie welesowych pomiotów ruszyło w kierunku miejsca, gdzie Bylica wypływała z Czarnego Jeziora. Stwory mijały wolno, w milczeniu Marka i Siemargła łypiąc spode łbów, szczerząc zębiska, zaciskając wielkie łapska w potężne kułaki, ale żaden nawet nie wykonał ruchu w stronę adwokata.

Na końcu, po kilkunastu minutach czekania, aż ponury pochód opuści wreszcie las, ruszyli także i wieszcz. Został tylko Biezdar.

– Spotkamy się po wszystkim tutaj – warknął. – I lepiej żebyś miał wtedy bałwana.

– Niepotrzebnie mi groziłeś upiorze – wycedził Marek lodowatym głosem. – Nie zapomnę ci tego i znajdę sposób, żeby raz na zawsze uwolnić świat od waszego istnienia. Twojego i twoich cholernych braciszków. Ale najpierw zajmiemy się nieco groźniejszym bydlakiem, niż ty.

– Pokazujesz zęby strzyboży kundlu – roześmiał się złowrogo wieszcz.

– Póki co, musimy wszyscy słuchać twojej woli, ale już niedługo. Jeszcze tylko kilka dni.

– W takim razie nie trać czasu. I obyśmy wszyscy za kilka dni mieli tylko taki problem. Obyśmy za kilka dni w ogóle mieli możliwość doświadczyć jakiegokolwiek problemu, Biezdar.

– Do zobaczenia, Widzący – warknął stwór, po czym odwrócił się na pięcie i podążył za swoimi koszmarnymi braćmi.

Po kilku minutach bóg–pies i człowiek zostali sami w ciszy, wśród czarnych, milczących drzew.

– Nie wiem czy zdajesz sobie sprawę, co zrobiłeś – powiedział wolno Siemargł.

– Coś złego? – Marek struchlał. – Schrzanilem coś?

– Wręcz przeciwnie – głos boga–psa dźwięczał zdziwieniem i autentycznym podziwem. – Właśnie zjednoczyłeś siły Nawii i Prawii dla wspólnego celu. Nieważne, w jaki sposób tego dokonałeś. Nieważne z kim. Ważne, że osiągnąłeś to, co było niemożliwe od czasu, gdy moi bosczy kuzyni uwięzili Trojana w Pustce.

– Nie wiem, czy jest tu jakaś moja zasługa. Po prostu wykorzystałem sytuację, a Trojan pojawił się już zupełnie bez mojego udziału. Zastanawiam się tylko, czy nasi nowi, chwilowi, sojusznicy będą dobrze walczyć.

– To stworzy, a stwór słucha swojego pana. Ich panem jest Biezdar, a ty w tej chwili, jesteś panem Biezdara. Dlatego muszą zrobić wszystko, czego od nich zażadasz. Tylko naprawdę potężny stwór jest w stanie sprzeciwić się temu, kogo musi słuchać. Tak, jak wieszcz, którzy zbuntowali się przeciw Welesowi, a wieszcz to przecież najpotężniejsze pomioty Welesa.

– Myślisz, że wieszcy nie zbuntują się teraz przeciwko nam?  
– Dopóki masz w swojej władzy część stwora, masz też władzę nad nim samym i nad jego wolą. To zbyt silne związanie, aby Biezdar mógł się z niego wyrwać.

– Czyli naprawdę się udało?

– Najwyraźniej – Siemargł spojrzał na Marka dziwnym, ale i zaciekawionym wzrokiem. – Zastanawiający z ciebie człowiek... Chodź. Teraz już możesz stawić się przed Świętowitem.

Marek wspiął się na Siemargła, a skrzydlaty bóg–pies błyskawicznie zerwał się do lotu. Po chwili obaj obserwowali jak wielka, czarna fala wylewa się z Czarnego Lasu. W oddali, w Nawii, o wiele większa fala przelała się już przez horyzont. Na szczęście przestała już rosnać, ale to, jakich była rozmiarów wywoływało zawrót głowy.

\* \* \*

– To jest Gród Świętowita? – zapytał Marek niepewnie, gdy tylko Siemargł lekko wylądował.

– A zapewne spodziewałeś się niebotycznych wałów?

– W sumie... to miał być gród.

– To tylko nazwa. Przed kim Świętowit miałby się niby chronić za tymi niebotycznymi wałami?

– A przed hordami Trojana?

– Kiedy tworzył swój Gród, Trojan tkwił już w Pustce. Poza tym, to przecież Świętowit. Trudno, żeby obawiał się czegokolwiek.

Stali przed czymś, co Marek właściwie znał doskonale. Może nie do końca z własnych obserwacji, ale przede wszystkim z opisu duńskiego kronikarza Saxo Grammatyka:

W środku miasta znajdował się plac, na którym stała świątynia drewniana o misternej budowie, wzbudzająca cześć nie tylko wspaniałością nabożeństw, lecz boskością posągu w niej umieszczonego. Zewnętrzny jej obwód dokładną płaskorzeźbą się odznaczał, przedstawiając prostą i niewydoskonaloną sztuką malarską postacie najrozmaitszych rzeczy. Jedno tylko było wejście.

Samą świątynię podwójny rząd ogrodzenia otaczał, z których zewnętrzne, ze ścian złożone, dach czerwony pokrywał, wewnętrzne czterema słupami podparte zamiast ścian świeciło czerwonymi



zawieszonymi zasłonami z zewnętrznymi ścianami było połączone tylko kilku poprzecznymi tramami.

W świątyni stał posąg ogromny, wielkością przewyższający postać ciała ludzkiego, czterema głowami i tyłuż karkami wzbudzający zdziwienie, z których dwie w stronę piersi a dwie w stronę pleców zdawały się patrzeć. Zresztą wzrok umieszczonych z przodu czy z tyłu, jedna w prawo, druga w lewo zdawały się zwracać. Brody były podgolone, włosy postrzyżone tak, że widoczny był zamiar artysty, aby przedstawić sposób, w jaki Rugianie pielęgnowali swe głowy. W prawej trzymał róg z rozmaitego kruszcu zrobiony, który kapłan znający się na ofiarach co rok napełniał miodem, aby ze samego stanu napoju mógł wywnioskować o obfitości roku przyszłego. Lewa ręka na boku wsparta tworzyła łuk. Szata dochodząca aż do goleni kończyła się w tym miejscu, w którym, dzięki zastosowaniu różnaitości drzewa, były połączone z kolanami tak niewidocznie, że miejsce ich spojenia tylko przy bacznej uwadze można było dostrzec.

Opodal widziało się uzdę i siodło bóstwa i kilka innych odznak boskości. A podziw dla nich zwiększał się z uwagi na miecz znacznej wielkości, którego pochwa i rękojeść rzucały się w oczy zewnętrznym wyglądem srebra i znakomitej ozdoby rzeźbiarskiej<sup>4</sup>.

Tak kronikarz widział świątynię Świętowita na Arkonie. Marek swego czasu widział na przylądku Arkona jedynie marne pozostałości dawnej potęgi połabskich Ranów i grodu, gdzie stała jedna z ważniejszych świątyń całej Słowiańszczyzny.

Marek mógł teraz stwierdzić, że opis Saxo był całkiem zbliżony do tego, co właśnie widział. Wcześniej przeszli z Siemargłem przez bramkę w niewielkim płocie, potem przemierzyli nieduży, brzożowo–bukowy zagajnik, aż doszli do wielkiej, zielonej polany, pokrytej soczystą trawą, wypielegnowaną, jak korty Wimbledonu.

Na środku polany stała gigantyczna świątynia. Taka, jak z opisu Saxo, tylko kilkunastokrotnie większa. Do tego wszędzie rozbrzmiewała delikatna, relaksacyjna muzyka. Marek pomyślał, że zupełnie taka, jaką można usłyszeć w gabinetach spa. Kawałek za świątynią przepiękny trawnik kończył się nagle wysokim urwiskiem, a dalej zaczynał się bezkresny ocean.

– Kurczę, tutaj naprawdę wszystko wygląda podobnie, jak na Arkonie – powiedział cicho Marek. – Byłem tam trzy lata temu. Oczywiście nie ma

już tego wszystkiego – świątyni, płotu, świętego gaju, ale otoczenie całkiem jak tam. I sądząc z tego, co widziałem na rekonstrukcjach i makietach, to gród i świątynia wyglądały właśnie tak.

– Wiem Marku. Sam Świątowit natchnął budowniczych grodu i świątyni na Arkonie. Lubiliśmy to miejsce – w głosie Siemargła zabrzmiała nutka nostalgii. – Podobnie jak Swarozyc pokierował budowniczymi świątyni w Retrze – Radogoszczy<sup>5</sup>. Jeszcze w kilku miejscach były takie świątynie, ale wszystko przepadło bezpowrotnie wraz z najcenniejszymi przedmiotami, które kiedyś ofiarowaliśmy ludziom. Bardzo ważnymi przedmiotami. Może kiedyś ktoś je wszystkie odnajdzie?

Siemargł spojrział wymownie na Marka, ale ten nie miał już czasu odpowiedzieć, bo stanęli wreszcie przed wejściem do świątyni.

– Idź – powiedział cicho Siemargł. – To, co usłyszysz, jest przeznaczone tylko dla twoich uszu, a ja i tak muszę wracać. Trojan nadchodzi. Muszę dołączyć do pozostałych i przygotować się. I musimy się zastanowić, co począć z Welesem. Bywaj!

– Bywaj Siemargle! Mam nadzieję, że się niedługo spotkamy.

– Miejmy nadzieję, Widzący. Miejmy nadzieję.

To rzekłszy bóg–pies wzbił się w górę i po chwili stał się tylko punkcikiem na tle błękitu.

Marek został przed wielkim, otwartym na oścież wejściem i patrzył na nie niepewnie. W końcu ruszył powoli. Minał zewnętrzne ogrodzenie, potem odchylił ciężką, czerwoną kotarę, zwieszającą się dobre osiem metrów i powoli wszedł do środka.

W świątyni, a może raczej w domu, bo przecież tutaj Świątowit mieszkał, panował półmrok, ale ten z rodzaju przytulnych, a nie powodujących, że skóra cierpła, a włosy na głowie stawały dęba. Delikatna muzyczka, zdecydowany, ale nie nużący zapach konwalii, pod stopami najdelikatniejszy piasek, o konsystencji mąki.

Mniej więcej tam, gdzie według opisu Saxa miał stać posąg, stał na podwyższeniu wielki, ale prosty tron. Na tronie siedział Czterotwarzowy bóg, ubrany w szarą tunikę i szerokie lniane spodnie.

– WITAJ WIDZĄCY! – usłyszał Marek we własnej głowie. – W KOŃCU JESTEŚ.

– Witaj Ojczy Bogów – Markowi głos drżał z przejęcia. – chciałem...

– WIEM, CZEGO CHCIAŁEŚ – przerwał mu łagodny głos z prawej strony. Marek odwrócił się w kierunku skąd dobiegał głos, ale nie było

tam nikogo. – WIEM PO CO TU JESTEŚ, O CO CHCIAŁEŚ ZAPYTAĆ I CZEGO CHCIAŁBYŚ SIĘ DOWIEDZIEĆ – odpowiedział głos z lewej. – ZNAM WSZYSTKIE PYTANIA I WSZYSTKIE ODPOWIEDZI, ALE TOBIE ZOSTAWIAM WYBÓR, O CO ZAPYTASZ. JEDNAK WIEDZ, ŻE TERAZ ODPOWIEM CI NA JEDNO I TYLKO JEDNO PYTANIE. RESZTĘ ZADASZ W INNYM CZASIE. A MOŻE NIE ZADASZ? TO TEŻ ZOSTAWIAM TOBIE. CHOCIAŻ MOŻE BĘDZIE TO CAŁKOWICIE POZA TWOJĄ WOLĄ. OD TEGO PYTANIA, KTÓRE ZADASZ TERAZ ZALEŻEĆ BĘDZIE WSZYSTKO INNE.

– Chciałbym zapytać o tak wiele spraw – odezwał się niepewnie adwokat, lekko skołowany tajemniczą przemową Ojca Bogów. – Czy dobrze rozumiem... mogę zadać tylko jedno pytanie?

Świętowit skinął głową.

– W takim razie... – adwokat zawahał się na chwilę. – Może zapytam w takim razie: co mam zrobić? Co mam zrobić, żeby wszystko to się skończyło i wróciło do normy?

Marek nagle znalazł się jakby we wnętrzu głowy Świętowita. Z każdej strony patrzyły na niego twarze boga. Patrzyły z zaciekawieniem.

– MOGŁEŚ ZADAĆ JEDNO Z MILIONÓW PYTAŃ, A ZADAŁEŚ JEDYNE PYTANIE, KTÓRE RZECZYWIŚCIE POWINIENEŚ BYĆ ZADAĆ. PYTANIE ŚWIADCZĄCE O TYM, ŻE JESTEŚ GOTOWY NA POŚWIĘCENIE. MIMO, ŻE CHCIAŁBYŚ WIEDZIEĆ PRZEDE WSZYSTKIM DLACZEGO TY STAŁEŚ SIĘ WIDZĄCYM I JAK SIĘ TO WSZYSTKO SKOŃCZY. JEDNOCZEŚNIE JEST TO PYTANIE, NA KTÓRE TYLKO TY MOŻESZ ODPOWIEDZIEĆ.

Twarze Boga nagle zniknęły, a Świętowit nadal siedział na tronie.

– Nie rozumiem – szepnął Marek zupełnie zdezorientowany. – Przepraszam, ale nie rozumiem.

– ZNAM PRZESZŁOŚĆ I TERAŹNIEJSZOŚĆ, WIDZĄCY. JEDNO MOJE OBLICZE PATRZY WSTECZ, W PRZESZŁOŚĆ, A DRUGIE, W TO CO TERAZ. MUSISZ WIEDZIEĆ, ŻE WSZYSTKO DZIEJE SIĘ DLATEGO, ŻE MY, BOGOWIE, TAK POSTANOWILIŚMY, ALE TEŻ DALIŚMY WAM JEDEN DAR, KTÓRYM KAŻDY CZŁOWIEK MOŻE KSZTAŁTOWAĆ PRZYSZŁOŚĆ – WOLNĄ WOLĘ. DLATEGO MOJE POZOSTAŁE DWIE TWARZE PATRZĄ WŁAŚNIE W PRZYSZŁOŚĆ – JEDNA W TO CO SIĘ ZDARZY, A DRUGA W TO SAMO, KIEDY SIĘ NIE ZDARZY. ZNAM WSZYSTKO, CO SIĘ ZDARZY I NIE ZDARZY JEDNOCZEŚNIE, ALE TO KAŻDY CZŁOWIEK, TAKŻE TY, DECYDUJE CO SIĘ STANIE, A CO NIE. BO DALIŚMY

CZŁOWIEKOWI WOLNĄ WOLĘ. I TAK JAK KAŻDY TY RÓWNIEŻ Z NIEJ KORZYSTASZ. KAŻDY Z WAS, ŚMIERTELNIKÓW, JEST KOWALEM SWEGO LOSU. MY CZASAMI STERUJEMY TYM LOSEM. CZASEM DLA ZABAWY, CZASEM DLA REALIZACJI WŁASNYCH ZAMIERZEŃ. CZUWA NAD TYM WSZYSTKIM ROD, ALE TO CZŁOWIEK WYPEŁNIA SWÓJ LOS TREŚCIĄ. I DOPIERO TERAZ NADSZEDŁ DLA CIEBIE CZAS PRÓBY. NADSZEDŁ CZAS, ŻEBYŚ TY WYPEŁNIŁ SWÓJ LOS.

– Właśnie chciałbym wiedzieć, w jaki sposób? Co mam zrobić?

– LUDZKI ŻYWOT TO CODZIENNE WYBORY, KTÓRE PCHAJĄ WAS DO WIELKOŚCI I WSPANIAŁYCH CZYNÓW LUB DOPROWADZAJĄ DO SZALEŃSTWA I SPYCHAJĄ W BEZNADZIEJĘ. PRZED TOBĄ POSTAWIONO JUŻ TAKIE WYBORY, KTÓRYMI UDOWODNISZ, ŻE JESTEŚ TYM, NA KTÓREGO CZEKAŁEM I KTÓRY ODNAJDZIE TO, CO OD WIEKÓW ZAGINIONE. ALBO MOŻE NIE JESTEŚ I NIE UDOWODNISZ.

– Czekaleś, Ojciec Bogów? I co jest zaginione?

– TO JUŻ JEST DRUGIE I TRZECIE PYTANIE. NIE ODPOWIEM CI NA NIE TERAZ. PODOBNIENIE JAK NA PYTANIE, CZY MOŻESZ ZABRAĆ TWARZE TROJANA.

– Wiesz już...

– ZAWSZE WIDZIAŁEM, ŻE JE ZABIERZESZ, WIDZIAŁEM TEŻ, ŻE ICH NIE ZABIERZESZ. NASTAŁ CZAS DECYZJI, WIDZĄCY. BĘDZIESZ MUSIAŁ WYBIERAĆ. PYTASZ WIĘC, CO MASZ ZROBIĆ? ZDECYDUJESZ O TYM SAM. PAMIĘTAJ JEDNAK O TYM, CO POWINIEN KAŻDY SŁOWIANIN.

Ostatnie zdanie odbiło się echem, a potem zapadła cisza. Ojciec Bogów wpatrywał się w Marka, a ten wyglądał, jakby odpłynął myślami na chwilę. Stał i wpatrywał się pustym wzrokiem gdzieś w nieokreślony punkt nad ramieniem Świętowita. Ale w głowie coraz bardziej mu się rozjaśniało.

Pomyślał o Rokickim. Tym, który spowodował, że stał się tym, kim się stał. Przypomniał sobie ostatnią rozmowę – „zaufaj intuicji”, powiedział stary Powiernik. Leszy i Baba Jaga tak samo – „zaufaj sobie, słuchaj siebie”.

W końcu przed oczami stanęły mu twarze Aśki i Milenki. Wszystko co robił, robił dla nich. Kochał swoje kobiety...

– Kochaj swoje kobiety...

Nagle, na jednej z boskich twarzy, tej niewidocznej dla Marka, pojawił się delikatny uśmiech w kąciaku ust.

– Pamiętam – powiedział w tym momencie Marek pewnym głosem. – Czcij Bogów, kochaj swoje kobiety, bądź lojalny dla przyjaciół i sprawiedliwy dla wrogów. Tak. Już teraz wiem, co muszę zrobić.

– ZNALAZŁEŚ ODPOWIEDŹ.

– Jednak będę potrzebował pomocy.

– WEŹ GO. WIEM, ŻE NIE CIERPISZ KONI I NIE MASZ POJĘCIA, JAK SIĘ JEŹDZI WIERZCHEM, ALE WYSTARCZY, ŻE USIĄDZIESZ I BĘDZIESZ SIĘ MOCNO TRZYMAŁ GRZYWY. BĄDŹ PEWIEN, ŻE NIGDY CIĘ NIE ZRZUCI.

– Dajesz mi swojego konia? – Marek zrobił oczy jak pięciozłotówki.

– BĘDZIE CZEKAŁ NA CIEBIE ZA GAJEM.

– Dziękuję – wystękał. – Dobrze, ale pozostało jeszcze jedno. Chyba najważniejsze – Marek zdjął plecak. – Chcę je oddać tobie, Ojcie Bogów.

– TWOJE SŁOWO ŻYCIA. PAMIĘTAJ.

– Zostałem do niego zmuszony. Chcę sprawę oddać pod twój osąd.

– JESTEŚ PEWIEN?

– Bądź sprawiedliwy dla wrogów – wyszeptał Marek. – Nie – powiedział głośno. – Jednak nie teraz. Jeżeli ma to być sprawiedliwy sąd, to razem powinniśmy stawić się przed twoim obliczem. Ja i Biezdar.

Świętowit spojrzał na Marka z jeszcze większym zaciekawieniem.

– Ale nie mogę ich wziąć tam, gdzie się teraz wybieram.

– MOŻESZ JE TUTAJ ZOSTAWIĆ. STĄD NIKT ICH NIE WEŹMIE.

– A co z ich mocą? Czy moc zaklęta w bałwanach nie powinna wrócić do Bogów?

– TO SĄ KOLEJNE PYTANIA. ALE NIE KŁOPOCZ SIĘ TYM. TERAZ MASZ INNE ZADANIE. WAŻY SIĘ TWÓJ LOS. I NIE TYLKO TWÓJ. OD TWOICH WYBORÓW ZALEŻEĆ MOŻE BARDZO WIELE.

Marek osłupiał. Tysiąc lat poszukiwań, obaw, nadziei, przekleństw i oczekiwań związanych z bałwanami i ich poszukiwaniem. Tysiąc lat lejącej się krwi, potu i łez kolejnych Powierników, którzy starali się je odnaleźć. Tysiąc lat, od kiedy za sprawą feralnych figurek Bogowie i stwory zniknęli z Jawii, mogąc przebywać w niej wyłącznie w niematerialnej, niewidzialnej postaci. Tysiąc lat, gdy na Słowiańszczyźnie rozpanoszyła się wiara w bóstwo obce tej ziemi, a Bogowie nie mogli niczego uczynić, by tę ziemię od niej uratować.

A teraz, w chwili kiedy on bohatercko odnalazł i zwrócił figurki tam, skąd pochodzą, Ojciec Bogów właściwie nie poświęca im żadnej uwagi.

Poczuł się zdezorientowany.

– NIE KŁOPOCZ SIĘ FIGURKAMI – powtórzył Świętowit.

Adwokat wyjął więc pakunek z plecaka i położył na stoliku, który chwilę wcześniej zmaterializował się pod ścianą świątyni.

– W takim razie...

– ODCHODZISZ.

– Muszę. Ale wrócę.

– WRÓCISZ. NIE WRÓCISZ. WYBIERZESZ.

– Do zobaczenia Ojczy Bogów.

– ŻEGNAJ MARKU, ALE ZANIM ODJEDZIESZ, MUSISZ WYPOCZAĆ. DUŻO PRZED TOBĄ – Świętowit uniósł dłoń i... zniknął. Marek poczuł tylko, że nogi ma jak z waty.

\* \* \*

Obudził się, samemu nie wiedząc, po jakim czasie. Łóżko, w którym leżał stało na środku świątyni. Jak się w nim znalazł, również nie miał pojęcia. Obok na stołku leżały jego rzeczy. Czyste i złożone w kostkę. Na stole po drugiej stronie łóżka parowała jajecznica w towarzystwie grzanek z baleronem, kiełbasek, kawy i soku jabłkowego. I był nawet słodki rogalik do kawy.

– Hmm, kawa po słowiańsku – mruknął z rozbawieniem i uznaniem jednocześnie. – Biorę w ciemno.

Rozejrzał się po świątyni. Pakunek z bałwanami leżał na stoliku pod ścianą, tak, jak go zostawił. Tron Świętowita stał pusty. Za tronem wisiały dwie, dość upiornie wyglądające maski.

– O żesz, to chyba Twarze Trojana – szepnął.

Podszedł bliżej i wyciągnął rękę do jednej z nich, dotknął lekko i poczuł mocne szarpnięcie. Moc w nich zaklęta była ogromna.

– Czcij Bogów – powiedział cicho sam do siebie wpatrzony w przerażające oblicza Trojana. A potem wrócił do stołu. Bez Twarzy.

Ubrał się, zjadł, obrzucił pożegnaniem spojrzeniem Twarze i pakunek z bałwanami, po czym wyszedł ze świątyni. Wszystkie najpotężniejsze i najgroźniejsze artefakty spoczywały teraz w Grodzie Świętowita.

Za zagajnikiem faktycznie czekał biały wierzchowiec. Marek nigdy nie miał zaufania do koni i nigdy nie był w stanie zrozumieć fascynacji człowieka tym zwierzęciem. I chyba nawet trochę się koni obawiał.

– To się narobiło – westchnął ni to do siebie, ni to do rumaka. – Obiecałem sobie po pierwszej wizycie na końskim grzbiecie, że usiądę na konia dwa razy w życiu – pierwszy i ostatni. I co mi przyszło?

Zwierzę wpatrywało się mądrymi oczami w Marka i delikatnie kiwało łbem, jakby na zachętę. Wdrapał się powoli na grzbiet wierzchowca, który znosił nieporadne ruchy Marka ze stoickim spokojem, i siadł na oklep.

– Bądź lojalny dla przyjaciół – szepnął sam do siebie. – I co teraz szanowny zwierzu? – zapytał rumaka. – Nawet nie wiem, w którą stronę się kierować, ale muszę jechać do Srebrnego Wiru. Rozumiesz mnie?

Koń potrząsał łbem, jakby dawał Markowi do zrozumienia, żeby ten złapał za jego grzywę. Chwycił ją obiema dłońmi. Gdy tylko to uczynił, rumak wystrzelił nagle, jak z armaty.

Markowi zdarzyło się parę razy jeździć pendolino, ale w porównaniu z białym wierzchowcem Świętowita, ten cud kolejowej techniki włókł się, jak żółw. Obrazy przed oczyma nie tyle przesuwały się, co zlały w jedną wielobarwną plamę. Rumak właściwie nie dotykał ziemi kopytami tylko gnał przed siebie jak pocisk.

Po kilku godzinach szaleńczego pędu, przerywanego tylko paroma kilkuminutowymi wypoczynkami, wielobarwna plama nagle zmieniła się na jednostajnie szaroburą. Był to niechybny znak, że wjechali wreszcie do Nawii. Po kolejnych kilkudziesięciu minutach wierzchowiec stanął wreszcie na jakimś wysokim, ponurym wzniesieniu. U stóp wzniesienia toczyła swe koszarne wody Bylica.

Adwokat podniósł głowę znad końskiej szyi i zamarł ze zgrozy. Ze wzgórza roztaczał się idealny widok na wszystko wokół w promieniu kilkudziesięciu kilometrów. W niewielkiej odległości za rzeką, ziała wielka rozpadlina w kształcie leja. Powietrze nad nią błyskało srebrzyście.

Kilkanaście metrów od krawędzi rozpadliny leżał wielki, płaski głaz, a na głazie... związany Perepłut! Nie ruszał się. Wokół roilo się od wszelkiego rodzaju kreatur. Na oko coś koło setki. Wyglądało na to, że szykują się do rytuału, aby przemienić Perepłuta w plugawca.

Nagle Marek zobaczył w oddali kilkanaście niewielkich punkcików zmierzających pędem wzdłuż Bylicy w kierunku Srebrnego Wiru. Część poruszała się lądem, część frunęła.

– To ubożęta z bliźniakami i polokami! – wykrzyknął radośnie do rumaka.

Jednak plugawce Trojana ewidentnie rozpoczynały już ponury rytuał. Ocenił odległość między spieszącymi na ratunek, a upiorną czeredą zgromadzoną wokół nieszczęsnego Perepłuta.

– Kurwa mać, nie zdążą!

Sięgnął do plecaka i wyciągnął Żmija.

– Zaraz – mruknął do siebie. – Spokojnie. Myśl gościu.

Złapał plecak i wywalił wszystko, co w nim było na ziemię, następnie wpakował do plecaka zapalniczkę, butelkę z wodą, tabletki od bólu głowy i uschniętą już dłoń Biedzara, następnie wsunął za pasek Kresa i Colta, a w rękę chwycił Żmija.

– Na przypale, albo wcale – rzucił przez zęby i wdrapał się na wierzchowca. – Ruszaj! – wrzasnął.

Rumak pomknął z boczem w dół. Dotarł w mig do brzegu, po czym lekko przeskoczył czarne wody Bylicy, mimo, że rzeka miała w tym miejscu szerokość Wisły. Jednak już nie wrócił na ziemię. Cwałował w powietrzu, jak biała błyskawica i po chwili runął z góry, z impetem w środek zgrai potworów, odczyniających przy głazie demoniczny obrządek. Koń parł jak rozpedzony taran roztrzając i tratując kreatury kopytami. Marek wymachiwał Żmijem na oślep rozłupując co chwilę jakiś wraży łeb.

W końcu wierzchowiec zahamował ostro, niemal siadając na zadzie przed głazem, na którym bez ducha spoczywał nieszczęsny Perepłut. Marek zsunął się z grzbietu prosto na głaz i dopadł bezwładnie leżącego przyjaciela. Zmasakrowany Perepłut wyglądał strasznie.

Stwory otrząsnęły się z zaskoczenia wywołanego pojawieniem się śmiertelnika na wierzchowcu Świętowita i ruszyły w stronę kamiennego ołtarza. Koń stojący dotąd spokojnie przed głazem nagle wierzgnął parę razy i kilka bezwładnych ciał z roztrzaskanymi czaszkami wbiło się w tłum pozostałych kreatur. Plugawce zaskoczone cofnęły się nieco.

Wierzchowiec przemienił się nagle w białą furję i miotał się od jednego końca głazu do drugiego rżąc ostrzegawczo. To zdecydowanie ostudziło zapal potworów. Nie na tyle jednak, żeby nie spodziewać się z ich strony ataku.

Marek tymczasem usiłował na wszelkie sposoby cucić Perepłuta. Wszystko na marne. Biedaczysko leżał bez ducha. Złapał więc za więzy



i podniósł bezwładne ciało przyjaciela. Na szczęście okazało się, że Perepłut ważył tyle, na ile wyglądał – mizernie.

Nagle, od tej strony, której nie chroniła rozszalała bestia w postaci białego rumaka, wychynął zza głazu rogaty czerep biesa. Demon błyskawicznie wskoczył na głaz i zaprezentował adwokatowi koszmarnie wyglądające szpony rozdziawiając równie koszmarną paszczę. Adwokat zgarbiony pod ciężarem Perepłuta na ramionach rzucił tylko przez zęby:

– Weź spierdalaj.

I nagle łeb biesa eksplodował w towarzystwie huku z repliki Colta Navy model z roku 1851.

Niestety, za walącym się cielskiem stwora ukazały się dwie kolejne mroczne postacie. Tym razem czarta i dusioła. Marek strzelił prosto w przerośnięty łeb czarta, z pożądanym skutkiem, po czym wycelował w drugiego napastnika. Wtem usłyszał suchy trzask. Czarnoprochowce miały to do siebie, że załadowane w nie kapiszony regularnie zawodziły.

Stwór wyszczerzył kołkowate zębiska i zamachał nienaturalnie wielkimi łapskami. Marek w akcie desperacji rzucił rewolwerem w stwora. Dusioł złapał broń w locie. Nagle zawył przeraźliwie i odrzucił ją prędko, po czym stracił równowagę i zwałił się z głazu. Błyszcząca skała, jak w Nawii nazywają stal, natychmiast spopieliała mu łapę. Resztę dusioła błyskawicznie zmieliły rozszalałe końskie kopyta.

To dało Markowi chwilę czasu. Nadludzkim wysiłkiem, taszcząc Perepłuta na grzbiecie zeskoczył z głazu, rzucił ciało przyjaciela, jak wór ziemniaków, na grzbiet wierzchowca, który nagle stanął i zniżył zad, po czym złapał zwierzę za grzywę, przerzucił nogę nad zadem i zawył histerycznie.

– Jeedź!!!

Koń wystrzelił przed siebie roztrącając plugawców. Marek trzymał kurczowo jedną ręką Perepłuta, a drugą końską grzywę, zobaczył tylko kątem oka, że wyrwali się z upiornego kręgu i błyskawicznie oddalali od niego.

Gnali coraz dalej i dalej od koszmarnej hordy. Nagle Marek poczuł piekielnie mocne uderzenie w tył głowy, zrobiło mu się ciemno przed oczami i runął na ziemię wraz z wciąż nieprzytomnym Perepłutem. Celnie rzucony kamień kompletnie go zamroczył.

Próbował dźwignąć się na kolana, ale zanim się to udało, precyzyjnie wymierzony kopniak odebrał mu resztki tchu. Po chwili ujrzał nad sobą

potwornie wykrzywiony pysk upiora. Bydlak wyrósł jak spod ziemi. Z pewnością musiał być czymś w rodzaju tylnej straży dla bandy zebranej przy Srebrnym Wirze, bo pozostałe plugawce były jeszcze kilkaset metrów od nich.

Stwór siadł okrakiem na Marku, złapał go za szyję i zaczął dusić. Adwokat chwycił upiora za nadgarstki próbując oderwać koszmarne łapska od krtani. Poczł przeszywający ból w ramieniu. Rzucił się jak ryba na piasku, żeby zrzucić z siebie napastnika, ale opadał z sił.

Wtem potwór oderwał się od niego gwałtownie i pofrunął bezwładnie jak kukła, bryzgając posoką, kilka metrów dalej. Nad Markiem stanął biały wierzchowiec.

– Dzięki – wycharczał adwokat. – Przekonałeś mnie do koni na przyszłość, dzielny zwierzaku, ale i tak chyba mamy przesrane.

Pozostałe plugawce gnały jak wichur w ich stronę i były już niecałe sto metrów od mocno poturbowanego Marka, bezwładnie leżącego Perepłuta i dzielnego zwierzęcia. To już musiał być koniec. Nie był w stanie zerwać się z ziemi i wskoczyć na wierzchowca. Uniósł z wysiłkiem głowę. Miał już tylko siłę obserwować, jak koszmarne kreatury pędzą na nich szczerząc kły i wyciągając przerażające szpony.

Ale nagle plugawe stwory zaczęły gwałtownie zwalniać, aż w końcu zatrzymały się kilkadziesiąt metrów przed leżącym Markiem. Wszystkie wpatrywały się w coś nad nim. Po chwili z góry dało się słyszeć szum skrzydeł, a zaraz po nim ozwało się upiorne, ogłuszające wręcz wycie. Potępieńczy chór jak z najgorszych koszmarów. Po kilku sekundach horda plugawców starła się brutalnie z szarżującą z góry watahą skrzydlatych, psopodobnych stworzeń.

I wtedy zaczęła się jatka, jakiej Marek nie widział, nawet na horrorach typu gore. W ruch poszły szpony, pazury, zębiska, rogi, kamienie, drągi. Wszystko w szale tak zażartym i z taką gwałtownością, że od samego patrzenia zbierało się na wymioty. W powietrzu furkotały oderwane części ciała, bryzgała posoka. Skrzydlate bestie robiły spustoszenie w szeregach plugawców, ale tych było wciąż zbyt wielu. A bestii robiło się coraz mniej z każdą chwilą.

Nagle na pole bitwy wpadły trzy srebrne smugi i dwa walce o sile rażenia rozpedzonego buldożera. Rozległa się seria świszczących dźwięków, po czym nad srebrnymi smugami, które zwolniły na tyle, że można w nich już było rozpoznać poszczególne postacie, zaczęły

wystrzeliwać w górę wszelkiej maści, ohydne czerepy. Z kolei dwa bliźniacze buldożery, wymachujące potężnymi maczugami, pozostawiały zaś za sobą krwawą miazgę, po tym, co jeszcze przed chwilą stanowiło część hordy plugawców.

Przez kolejne kilkadziesiąt sekund Marek obserwował obrzydliwą, krwawą łaźnię. Przybysze nie oszczędzali żadnej kreatury, metodycznie siejąc zniszczenie.

W pewnym momencie poszczególne stwory zaczęły odrywać się od kotłowiska próbując brać nogi za pas. Wtedy dopadały je poloki, które od pewnego momentu przestały walczyć z plugawcami, a zaczęły krążyć nad pobojobiskiem i wyszukiwały ofiary biorące nogi za pas. W mgnieniu oka dopadały i rozrywały na strzępy próbujących uciekać plugawców.

Starcie zmieniło się w rzeź. Trzy świetliste postacie, z gracją tancerzy, wykańczały stojące jeszcze na nogach kreatury lub dopadały ranne i pewnymi cięciami podrzynały im gardła. Bliźniacy, już jakby od niechcienia, machali maczugami. wieńcząc dzieło krwawego zniszczenia.

Wreszcie ostatni odcięty łeb potoczył się w kierunku leżącego jak kłoda Marka.

– Kawaleria przybyła – szepnął adwokat i zaśmiał się, ale urwał czując tępy ból w ramieniu.

Spróbował wstać, a właściwie przynajmniej wygramolić się na czworaka i dopiero wtedy zauważył, że ramię wisiało mu nienaturalnie, a do mózgu zaczęły docierać intensywne informacje o przeszywającym bólu.

– Nie wstawaj. Masz złamany obojczyk. I nogę chyba też – krzyknęła zbryzgana juchą postać w jaskrawozielonej kolczudze i skrywającym twarz hełmie, po czym podbiegła do adwokata. Marek znał tę kolczugę i ten hełm.

– W ostatniej chwili starsza siostró – wydyszał Marek i uśmiechnął się słabo. Adrenalina puszczała, a jej miejsce zaczął zajmować obezwładniający ból w nodze i ramieniu.

– Tak się cieszę, że żyjesz, że zabiję cię za to wszystko trochę później – westchnęła Miła zdejmując hełm. – Co ci do wszystkich czartów i biesów przyszło do tej łepetyny?

– Musiałem Miła. Przecież byście nie zdążyli. Ale opowiem ci wszystko, jak tylko dojdę do siebie. Co z Perepłutem?

– Bardzo źle, ale miejmy nadzieję, że z tego wyjdzie. Lel i Polel już się nim zajmują – wskazała na dwa buldożery, które kilka kroków dalej, z troską najczulszych pielęgniarek, odczyniały nad Perepłutem jakieś tajemnicze zabiegi. – Zawdzięcza ci istnienie. Opatrzą go i za chwilę wezmą się za ciebie. Skąd ty się tu w ogóle wzięłeś?

– Przyjechałem. Świętowit użyczył mi konia i... – nie dokończył, bo nagle świat zawirował i złapały go torsje. Do kompletu miał jeszcze wstrząśnienie mózgu.

Po chwili odpłynął.

\* \* \*

Wielka, złota, gorejąca postać stała przed wrotami monstrialnej budowli. Budowla przypominała odwróconą do góry nogami operę w Sidney i była tak samo biała. Tylko skala się nie zgadzała, bo budowla mogłaby w sobie pomieścić z dziesięć takich australijskich oper. A wyciosana została z jednego kawałka Drzewa Życia i posadowiona u jego stóp.

Postać, stojąca na progu kolosalnych drzwi, wspierała się na gigantycznym młocie i przypatrywała przybyszowi z niezadowoleniem.

– Czego tu chcesz ogarze? Już tutaj była niedawno córka twojego przyjaciela, Strzyboga. Jeżeli przyszedłeś zawracać mi głowę tym samym, to nie musisz strzepić ozora.

– Dołączcie do nas. Trojan już niedługo się pojawi. Jesteście nam potrzebni.

– My? Czyli kto? Bo mój synalek, to zdaje się z wami w jedną dudkę dmucha, więc nie wiem o jakim „MY” mówisz.

– Skończ te żarty. Wiem, że on tu jest.

– Kto taki?

– Nie ma sensu zaprzeczać. Chcę z wami pomówić. Z wami oboma.

– Nie wiem o czym mówisz. Poza tym nie obchodzi mnie, czego chcesz. Idź precz i daj mi pracować.

– Pracować, Swarogu? Nad czym będziesz pracować? Nad kolejnym słońcem, bo stare niedługo pochłonie Trojan? A może nad gwiazdami, żeby sobie migały w Pustce, gdzie nie ma ani światła, ani mroku? A może będziesz wykuwał błyskawice dla Peruna, żeby sobie w nieskończoność frunęły, bo w Pustce nie będą miały w co uderzyć?

– Nie twoja sprawa. Poza tym już raz zapakowaliście Trojana do Pustki. Ja nie byłem wam wtedy do niczego potrzebny. Teraz też nie jestem, skoro wy, młodzi, pozjadaliście wszystkie rozumy.

– Wtedy my byliśmy mocniejsi, a on słabszy. Teraz nie jestem pewien. Może być na odwrót.

– Nie histeryzuj. Poradzicie sobie bez nas.

– Aha! „BEZ NAS”! Czyli przyznajesz, że Weles jest u ciebie!

Swaróg zmarszczył czoło.

– Czego chcesz ode mnie, Siemargle?! – boski kowal podniósł głos. – Bo za dużo sobie pozwalasz w moim własnym domu.

– Chcę, żeby Weles łaskawie przestał ukrywać się w twojej Kuźni i żebyście pomogli nam odeprzeć Trojana!

– Weles korzysta ze świętego prawa gościnności w moim domostwie i pozostanie w nim tyle, ile będzie sobie życzył! – huknął Swaróg. – A na pewno nie życzy sobie teraz żadnych odwiedzin. Został obrażony przez twojego kumotra, a swojego brata Strzyboga, a później nawet przez własnego ojca, a mojego brata Świętowita, gdy domagał się należnych mu praw! Już nie wspomnę o tej waszej nowej ludzkiej zabawce, o tym marnym prochu na wietrze, który unicestwia welesowe pomioty, gra Bogom na nosie, a na dodatek pozwala sobie handlować losem Boga z jakimś zbuntowanym byle pomiotem.

– Jakich praw? Tych, których nikt nie podważa, czy tych, które sobie Weles, nie wiadomo dlaczego, uzurpuje? A może praw do bałwanów, które stały się przyczyną naszej słabości? I o jakiej ludzkiej zabawce mówisz? Tej, która ratuje nas wszystkich, mimo, że jest tylko człowiekiem? Zwykłym śmiertelnikiem?

– Zwykłym śmiertelnikiem? – odezwał się nagle mrozący krew w żyłach, skrzekliwy głos zza jaśniejącego Swaroga. Blask bijący od boskiego kowala nagle przygasł. – Zwykłym śmiertelnikiem, ogarze? On jest waszym pieszczochem, pupilkiem, któremu pozwalacie na wszystko, umożliwiacie wszystko i we wszystkim pobłazacie. A przecież jest tylko anomalią! Człowiekiem z przypadkowo splątaną nicią życia. Wybrykiem. I jeszcze ma czelność handlować moim bałwanem!

– Jest naszą nadzieją na ocalenie Prawii i twojej Nawii, odzyskanie Jawii, pokonanie Trojana i powrót do dawnego ładu! Zrozum to wreszcie zadufany w sobie głupcze!

– Miarkuj się kundlu! – ryknął Weles. – Moje rządy w Nawii podważa się dla jakiegoś śmiertelnika. Pluje mi się w twarz! A Jawię straciliśmy przez pobłażliwość naszego ojca! Przez zdradę Strzyboga! Przez brak zainteresowania Peruna! Przez samych ludzi, którzy odwrócili się od nas dla jakiegoś nieistniejącego bożka i nie zostali za to ukarani. Tylko ja mogłem zrobić porządek w Jawii! Ja!!!

– Jakim kosztem, Welesie? Rzezi dokonanej na ludziach? Nie chcę sobie nawet wyobrażać, co by teraz zostało z Jawii po twoich rządach.

– Co by teraz zostało? A cóż jest teraz? Teraz, ta kraina to kloaka, którą najlepiej utopić w pradawnym oceanie. Bezbożna, słaba, bez honoru, bez szacunku. Wszystko, co kiedyś stanowiło jakąkolwiek wartość zostało zniszczone przez wyznawców jakiegoś pustynnego bożka!

– A my na to pozwoliliśmy, Welesie. Opuściliśmy ludzi.

– To ludzie opuścili nas! A teraz do tego wszystkiego podważono moje odwieczne władztwo w Nawii! I to dla kogo? Dla marnego człowieka, anomalii, wybryku Roda zapewne, choć nigdy do tego się nie przyzna. Zwykłej, ludzkiej zabawki! A co zrobił Strzybóg? Przybył do Czarnego Lasu i śmiał ze mną walczyć o tego śmiertelnika! I to ty wtedy sprowadziłeś tam Strzyboga, kiedy mój dydło powiedział ci o tym, co się tam dzieje!

Siemargł popatrzył smutno na Welesa, potem na Swaroga.

– To teraz już wiesz Swarogu, dlaczego gościsz u siebie pana Nawii – prychnął drwiąco. – Bo mu Strzybóg wyrwał z łap „ludzką zabawkę”, jak się sam wyraził. – spojrzął na Rogatego Pana. – Nikt nie podważa twojego władztwa w Nawii, Welesie. Jedyne, co wszyscy podważają, to twoje metody i zamierzenia, które prowadziły do zniszczenia tego, co tyle wieków wspólnie budowaliśmy.

– Budowaliśmy – prychnął Weles. – Nie bierz mnie pod włos ogarze.

– Tak! Budowaliśmy! Wspólnie! Każdy z nas! – wykrzyczał Siemargł. – Również ty! Przypomnę ci poza tym, bo zdajesz się nie pamiętać, że to ty stworzyłeś bałwany. Od ciebie zaczęło się wszystko, co teraz tak potępiasz. Od tego czasu, gdy bałwany trafiły do Jawii, ludzie zaczęli się od nas odwracać. To ty nas tak urządziłeś. Nas i siebie. Obwiniasz wszystkich wokoło, swojej winy nie widzisz. Opuściłeś swój pałac, opuściłeś Nawię i pozostawiłeś ją na łaskę i niełaskę Trojana, a twierdzisz, że ktoś podważa twoje nad nią panowanie. Zastanów się,

Welesie. Zastanów się, póki nie jest za późno i jeszcze jesteśmy w stanie uratować wszystkie krainy.

– Nie będziesz mi tu robił wymówek – syknął Weles ze wściekłością.

– Smarkaty jesteś!

– A ty zgorzkniały i bezmyślny. Zapamiętaj sobie jedno – dzięki temu śmiertelnikowi wszystko ma szansę wrócić na swoje miejsce. Dzięki temu, co się teraz dzieje mamy szansę się odrodzić. Tak, jest tylko człowiekiem, ale wierzył w nas. I nadal wierzy, mimo, że nas poznał. A ty... – Siemargł zwiesił smutno głowę. – Ty jesteś jak Trojan.

Bóg–pies odwrócił się i ruszył powoli przed siebie.

– Wracaj! – wrzasnął za nim Weles. – Siemargle, wracaj! Przybyłeś mnie obrazić? Jeszcze nie skończyłem!

– Jak dla mnie, to skończyłeś – warknął smutno Siemargł nie odwracając się.

– Nie jestem jak Trojan!

– Udowodnij – rzucił bóg–pies, po czym wzbił się w powietrze.

– Nie jestem jak Trojan!!!

\* \* \*

Kiedyś siedziały strzygi

Siedziały tu i tam.

Jedne mocowały więzy,

Jedne zatrzymywały wojów,

Inne luzowały więzy dzielnym:

Uwolnij się z więzów,

ucieknij od wroga.

Perepłut!!!

Jeśli kość zwichnięta,

Jeśli krew zepsuta,

Jeśli ścięgno zerwane:

Kość do kości,

Krew do krwi

Ściągno do ścięgna,

Tak jakby sklejone były!6

Marek!!!

Niechaj to pomoże...

\* \* \*

Marek ocknął się. Powoli odemknął powieki. Leżał w jakimś pomieszczeniu przypominającym grootę. Jej ściany tworzyły grube korzenie, splecione ze sobą jak gigantyczne węże. Było jasno i przyjemnie, choć skąd pochodziło światło, tego nie był w stanie stwierdzić. I znów ta muzyka relaksacyjna, jak w Grodzie Świętowita.

Nad nogą adwokata pochylali się w skupieniu dwaj rośli jak dęby młodzieńcy, którzy cały czas mruzcili zakłęcie i okadzali nogę dymem. Marek wyczuł miętę i piołun.

Jeśli kość zwichnięta,

Jeśli krew zepsuta

Jeśli ścięgno zerwane...

– Zakłęcia Merseburskie – pomyślał.

Słowianie Połabscy przejęli Zakłęcia w dawnych czasach od pogańskich Sasów i, jak wynikało z zapisków Rokickiego, skutecznie leczyli nimi beznadziejne przypadki. Sztuka ta została zapomniana po upadku powstania Słowian Połabskich w 983 roku i z biegiem lat coraz mniej osób potrafiło skutecznie zastosować te zakłęcia. Podobno ostatnim, który to potrafił był obodrzycki książę Niklot.

Mógłby przysiąc, że gdy powoli odzyskiwał świadomość dochodziły do niego dźwięki Hamrer Hippyer zespołu Heilung. Co byłoby tyleż zrozumiałe, skoro Lel i Polel właśnie stosowali zakłęcie wyśpiewywane w tym utworze, co niemożliwe, bo słowiańscy herosi nie posługiwaliby się językiem staro-wysoko-niemieckim. Najwyraźniej świadomość i podświadomość płatały mu dość osobliwe figle.

No i chyba musiało być z nim marnie, skoro Lel i Polel musieli zastosować na nim nawet zabiegi magiczne. Mimo to, czuł się... wypoczęty i zdrowy. Dziwne...

W końcu bliźniacy zauważyli, że są obserwowani przez adwokata, szybko skłonili się i wyszli z groty. Po chwili u wejścia stanęły jakieś postaci, które podbiegły do Marka.

– Nastraszyłeś nas wszystkich, Widzący.

– Strzybóg. Dobrze cię widzieć, boże. Ciebie też, Miła – Marek uśmiechnął się słabo. – Ile byłem nieprzytomny? Gdzie Perepłut? I gdzie my w ogóle jesteśmy?

– Jesteśmy już w Prawii. W jednej z tysięcy grot w korzeniach Drzewa. Perepłut leży w takiej samej grocie nieopodal. A nieprzytomny byłeś



kilkanaście godzin. Licząc czas Jawii oczywiście.

– Cholera jasna. Straciłem kupę czasu. A co z Trojanem?

– Za mgnienie Oka Chorsa przekroczy Bylicę – odparł ponuro Strzybóg.  
– I dotrze do Prawii, gdzie napotka nas.

– To co my tu robimy? Musimy ruszać jak najszybciej! – Marek zerwał się z posłania i dopiero wtedy zauważył, że po złamanej nodze i obojczyku, podobnie jak i po wstrząśnieniu mózgu nie ma śladu.

– Daliście mi żywą wodę, czy jak? Bo chyba to nie tylko zasługa zaklęć. Czuję się ogólnie jak nowonarodzony.

– Żywą wodę można dawać tylko umierającym – odpowiedziała Miła. – Lel i Polel zajęli się tobą porządnie. Inaczej leżałbyś pokotem przez trzydzieści mgnień Oka Chorsa, co najmniej. Kolejne sześćdziesiąt mgnień byłoby trzeba na to, żebyś jakoś doszedł do formy. Bliźniacy porządnie cię poskładali, ale musisz się teraz oszczędzać.

– To chyba krucho ze mną było? Ale co z Perepłutem?

– Było dosyć marnie, ale na szczęście nie oberwałes aż tak bardzo. Z Perepłutem było o wiele gorzej. Zmaltretowali go do granic wytrzymałości. On dostał żywą wodę.

– Ale co z nim?

– Uratowałeś go – uśmiechnął się Strzybóg. – I od straszego losu, gdyby przemienili go w plugawca, jak i od unicestwienia, bo nie wiem, czy przetrwałby rytuał.

– Kamień z serca.

– A teraz spuszczę ci lanie – Miła popatrzyła z dezaprobatą na Marka. – Czy ty nie mógłbyś, choć raz, nie wpakować się w tarapaty?

– Miła, przecież wiesz sama, że nie było czasu. Byliście za daleko. Musiałem coś zrobić.

– Wiem. Oprócz tego, że mam ochotę ci skroić tyłek, to jestem z ciebie przeraźliwie dumna. Znowu. Tylko mam wrażenie, że nie jestem już w stanie cię chronić. Nie jestem w stanie za tobą nadążyć.

– Dziękuję starsza siostró – Marek wyszczerzył się do ubożenia. – Ale ja już jestem dużym chłopcem. Doceniam to, co dla mnie robisz i zawsze robiłaś, ale muszę pewne sprawy załatwiać sam.

– Wiem – demonica uśmiechnęła się.

– Strzyboże, Miła, ja muszę dotrzeć jak najszybciej do Grodu Świętowita. Muszę z nim znowu pomówić. A przede wszystkim trzeba wreszcie zrobić coś z tymi przekłętymi bałwanami, zanim dotrze tu Trojan

ze swoimi hordami. Zostawiłem je w Grodzie. Czas wreszcie przeciąć ten wrzód na tyłku.

– Świętowita nie ma w Grodzie. Jest teraz na Wielkiej Morawie – odparł Strzybóg. – Dogląda przygotowań.

– Gdzie jest? – zdziwił się adwokat.

– Na Wielkiej Morawie. Tak nazywa się ogromna kotlina pomiędzy Bylicą, Czarnym Lasem i Drzewem Życia – wyjaśniła demonica. – Tam czekamy na Trojana.

– Ciekawa nazwa – mruknął Marek.

Wielka Morawa kojarzyła mu się dotąd wyłącznie z nazwą słowiańskiego państwa, które istniało niecałe sto lat i upadło ostatecznie na początku X wieku pod naporem koczowniczych Węgrów.

– W takim razie ruszajmy na Wielką Morawę.

– My tak, a ty może byś wreszcie usiadł na tyłku? – odezwała się Miła głosem świadczącym o tym, że pogodziła się już z tym, że Marek na tyłku z całą pewnością nie usiadzie.

– Muszę stawić się znów przed Świętowitem. To konieczne.

– Pozwolimy mu podróżować w takim stanie? I to jeszcze w sam środek tego, co niedługo się wydarzy? – załamała ręce Miła.

– Tak musi być – odparł Strzybóg i popatrzył na Marka. – On się zmienił – dodał jakby uroczystym głosem.

– Ja? – brwi adwokata powędrowały ze zdziwienia aż na czubek jego głowy.

– Niby jak?

– Wyczuwam w tobie ogromną moc, jakiej wcześniej nie czułem. Stało się coś szczególnego.

– Ale co? – Marek spojrzał na boga pełen niepokoju.

– Musisz o tym pomówić ze Świętowitem, ale myślę, że nie masz najmniejszych powodów do niepokoju.

– W takim razie nie ma chwili do stracenia.

– Ale w takim stanie? – załamała ręce Miła. – Przecież ledwo go poskładali!

– Ale w jakim stanie, Miła? Przecież mnie już zupełnie nic nie dolega.

Miła westchnęła głośno, jak matka witająca syna o trzeciej nad ranem.

– Ruszam z tobą.

Marek posłał ubożęciu buziaka w powietrze i zaczął się zbierać do drogi.

– Tylko zaraz. Tak w ogóle, to koń Świątowita jest tutaj, mam nadzieję?

– Wrócił do niego – wyjaśnił Strzybóg.

– Wrócił??? Jasna cholera! To jak ja dotrę do Świątowita? Daleko stąd do tej Wielkiej Morawy?

– Daleko i nie daleko. Piechotą ze cztery mgnienia Oka Chorsa.

– To przecież nie dotrę przed bitwą. Muszę dotrzeć przed bitwą! – Marek złapał się za głowę. – To może Siemargł?

– Zapytaj go. Czuwa przy Perepłucie – wtrąciła Miła.

Marek poinstruowany przez Strzyboga i Miłą szybko odnalazł nieopodal bliźniaczą grootę, w której leżał Perepłut. Przy jego łóżku czuwał Siemargł.

– Uratowałeś go – powiedział cicho bóg-pies, gdy Marek stanął obok łoża przyjaciela. – Jeszcze chwila i utraciłbym mego ukochanego syna. Zrobiłeś coś, na co na pewno nie poważył by się żaden śmiertelnik.

– Jak on się czuje?

– Dostał żywą wodę. Na szczęście wszystko się udało. Musi spać do czasu aż sam się obudzi, ale wtedy będzie już w pełni sił. Pewnie jeszcze tak poleży jedno mgnienie Oka.

– Kamień z serca.

– Jestem twoim dłużnikiem, Marku. Proś, o co chcesz.

– Rzeczywiście, jest coś, o co chciałem cię prosić Siemargle. Muszę się dostać na Wielką Morawę, żeby spotkać się ze Świątowitem. Czy możesz mnie tam przenieść?

– Mogę. Jak powiedziałem, możesz prosić o co chcesz. Ja tutaj nie zdam się już na nic. Ruszajmy.

\* \* \*

Siemargł, z siedzącym mu na grzbiecie Markiem, wylądował łagodnie na wysokiej skarpie. Widok z niej zapierał dech w piersiach. I mroził krew w żyłach. Całą rozległą dolinę wypełniała gigantyczna, różnokolorowa armia stworów. Co najmniej ćwierć z kilkuset tysięcy legionów lśniła oślepiająco od złotych pancerzy. Żmijowie. Poza tym Marek dojrzał liczne zastępy smokokształtnych azdachów, latających ogarów – poloków, gigantycznych ognistych ptaków – rarogów, sirin – ptaków z głowami i piersiami pięknych kobiet, stopanów przypominających tolkienowskie krasnoludy, jaśniejących sporów, którzy

z kolei przypominali elfy. Do tego ogrom najróżniejszych demonów, których Marek zupełnie nie był w stanie zidentyfikować.

Niezliczone zastępy stały w bezruchu, w absolutnej ciszy, co potęgowało upiorność tej sceny.

Dalej, w niewielkim odstępnie od mieniającej się barwami armii, rozlała się wielka, czarna plama, która falowała, drgała, mieszała się w środku, ale wciąż posłusznie stała w jednym miejscu. Trudno było odróżnić w tej ciżbie kilkudziesięciu tysięcy najróżniejszych kreatur poszczególne stwory, ale Marek naogładał się już ich niedawno w Czarnym Lesie. Wiedział, jakie okropieństwa przywiedli wieszcy.

Bogów jeszcze nie było nigdzie widać.

– Jest nas wciąż za mało – warknął przez zęby Siemargł. – A po mojej wizycie w Kuźni Swaroga wiem, że ani Weles, ani Swaróg do nas nie dołączają. Nie jest dobrze.

– Uważasz, że pozostali Bogowie i ta gigantyczna armia nie poradzą sobie z plugawcami Trojana? Jak to możliwe?

– Trojan w krótkim czasie zebrał liczniejszą hordę niż nasze legiony. Nie wiem, jak to jest możliwe. Musi dysponować mocą, której źródła w tej chwili nie znamy, a jeżeli przebije się przez nas i dotrze do Grodu, to sam wiesz, co się stanie. A my sami pozbawiliśmy się części naszej potęgi. – Siemargł zniżył głos prawie do szeptu. – Marku, nie czuję już mojej dawnej mocy. Pozostali Bogowie również.

– Czy to przez bałwany?

– Przez bałwany również, ale jest coś jeszcze. Coś, czego nie jestem w stanie określić. I to wszystko bardzo źle wróży.

– To znaczy?

– To znaczy, że jeżeli się nie zjednoczymy, nie połączymy całej naszej potęgi, nie staniemy wszyscy razem przeciwko nadchodzącemu chaosowi, to Trojan zwycięży. Wszystkie krainy przepadną. Tylko wspólnie będziemy dysponować mocą, która może to powstrzymać.

Marka oblał zimny pot.

– Muszę coś zrobić. Muszę jakoś pomóc. Może zniszczyć bałwany i Twarze Trojana?

– Jeśli Trojan nas pokona, to zniszczenie Twarzy i tak nie będzie już miało większego znaczenia.

Marek wbił wzrok w ziemię

– A może wezmę z Grodu bałwana Welesa i oddam mu pod warunkiem, że do nas dołączy?

– Nie wiem. Ale przybyliśmy tu w jednym celu – Siemargł wymownie spojrzał na postać, która stała kilkaset metrów dalej na krańcu wzniesienia. – Może on będzie wiedział?

– Masz rację. Idę.

– Gdybym był potrzebny, będę tu na ciebie czekał.

Dało się słyszeć ciche puknięcie.

– I ja – powiedziała Miła.

\* \* \*

Świątowit stał nieruchomo jak posąg na skraju skarpy, w jej najwyższym punkcie i lustrował Wielką Morawę całą pokrytą armią stworów.

– WRÓCIŁEŚ.

– Oczywiście.

– W TAKIM RAZIE CHODŹ.

Świat nagle zawirował i obaj znaleźli się nagle w Grodzie. W świątyni Świątowita.

– TUTAJ BĘDZIEMY MOGLI POMÓWIĆ W SPOKOJU. CZEKAŁEM NA CIEBIE.

– Przecież wiedziałeś, że wrócę. Musiałem wrócić.

– NIE ZROZUMIAŁEŚ MNIE. OKAZAŁO SIĘ, ŻE TO NA CIEBIE CZEKAŁEM, BO JESTEŚ WŁAŚNIE TYM, NA KTÓREGO MOGĘ LICZYĆ. DOWIODŁEŚ, ŻE TWOJA SPLĄTANA LINIA ŻYCIA TO NIE PRZYPADEK, TYLKO URZECZYWIŚNIONY WRESZCIE SKUTEK MOICH NADZIEI. NIE MOGŁEM INGEROWAĆ W TO, JAK ROD KIERUJE ŻYWOTAMI LUDZKIMI. DLATEGO POSTANOWIŁEM STWORZYĆ TAKI ŻYWOT SWOJĄ WOLĄ. STWORZYŁEM W KOŃCU SPLĄTANĄ KĄDZIEL ŻYCIA, INNĄ NIŻ DOTYCHCZAS. ROD PRZYDZIELIŁ TĘ KĄDZIEL WŁAŚNIE TOBIE PRZY TWOICH URODZINACH, ALE RODZANICE NIE MOGŁY DOSTRZEĆ NICI ŻYCIA. STAŁEŚ SIĘ CZŁOWIEKIEM BEZ PRZEZNACZENIA. JEDYNYM TAKIM, KTÓRY SAM I TYLKO SAM WYKUWAŁ SWÓJ LOS. POTEM TWOJA DROGA TO DOKONYWANIE WŁAŚCIWYCH I SŁUSZNYCH WYBORÓW. PRZEZ SWOJE DOTYCHCZASOWE ŻYCIE UDOWODNIŁEŚ, ŻE TYLKO TY MOŻESZ

PODOŁAĆ ZADANIU, KTÓRE BĘDĘ CHCIAŁ CI POWIERZYĆ. A TERAZ PRZESZEDŁEŚ OSTATNIE PRÓBY.

– Czcij Bogów, kochaj swoje kobiety, bądź lojalny dla przyjaciół i sprawiedliwy dla wrogów powiedział Marek. – Po prostu trzymałem się najważniejszych zasad.

– ALE NIE MUSIAŁEŚ ALBO MOGŁEŚ WYBRAĆ INACZEJ. ALBO NIE TE ZASADY WYBRAĆ, JAKO SWOJE. ALE STAŁO SIĘ I DOKONAŁEŚ TEGO. NADSZEDŁ WIĘC CZAS, ABYŚ POZNAŁ PRAWDĘ.

Marek zadrzał. Wpatrywał się w napięciu w Świętowita, który przybrał nagle postać... Rokickiego!

– MOŻE W TEN SPOSÓB BĘDZIE CI ŁATWIEJ – Świętowit wskazał na tak bardzo znajomą Markowi twarz jego mentora. – TO JA UŚPIĘM NYJĘ I UWOLNIĘM TROJANA.

Pod Markiem ugięły się kolana. Krew uderzyła mu do głowy. To Ojciec Bogów spowodował wszystko to, co działo się we wszystkich krainach! Trudno było w to uwierzyć, ale tak właśnie przed chwilą usłyszał od samego Świętowita? Jaki boski plan realizował Świętowit? Chciał zniszczyć wszystkie krainy? Wszystko, co u zarania wszechrzeczy stworzył?

– Ale... dlaczego? – zdołał tylko wydusić z siebie.

– BO TYLKO TAK ODNOWIĘ WIARĘ LUDZI W NAS. Z TWOJĄ, MARKU, POMOCĄ. ALBO W TEN SPOSÓB ZNISZCZĘ TEN ŚWIAT, WSZYSTKIE KRAINY, I STWORZĘ NOWY, LEPSZY.

Marek wpatrywał się w Świętowita oszołomiony. Serce waliło mu, jak młotem.

– SAM WIDZIAŁEŚ, CO STAŁO SIĘ DZIEŁEM, KTÓRE WSZYSCY STWORZYLIŚMY – kontynuował smutno Ojciec Bogów. – CO STAŁO SIĘ Z NAMI SAMYMI. BOGOWIE SĄ ZE SOBĄ SKŁÓCENI, ZAJĘCI WŁASNYMI SPRAWAMI, PRZESTALI SIĘ INTERESOWAĆ CZYMKOLWIEK, POZA WŁASNYM NOSEM. STRACILIŚMY TEŻ WAS, LUDZI. PRZESTALIŚCIE W NAS WIERZYĆ.

– Przecież wiara w was wraca! Jest nas coraz więcej. Wyznawców Starych Bogów. Rodzimej wiary.

– WIEM, JEDNAK TO ZBYT DŁUGO TRWA, A TO, CO W TYCH CZASACH DZIEJE SIĘ W JAWII, NIE DAJE WIELKICH NADZIEI. JEDNAK TY MUSISZ WIEDZIEĆ, JAKI JEST PRAWDZIWY POWÓD, DLA KTÓREGO JAWIA ZAMKNEŁA SIĘ PRZED NAMI. TO NIE JAKIEŚ ŚMIESZNE

FIGURKI, TYLKO BRAK WIARY W NAS ZABRAŁ NAM DAWNĄ MOC. Z CZASEM IM MNIEJ OSÓB W NAS WIERZYŁO, TYM MY STAWALIŚMY SIĘ SŁABSI. AŻ W KOŃCU NASZE MIEJSCE ZAJĄŁ NIEZNANY BÓG. OD TEGO CZASU MOGLIŚMY POJAWIAĆ SIĘ W JAWII TYLKO JAKO NIEMATERIALNE BYTY, A MOCĄ JESTEŚMY TAM RÓWNI BYLE STWOROWI.

– Czyli bałwany...

– ... SĄ NIEMALŻE BEZUŻYTECZNE – dokończył Świętowit. – I NIE MIAŁY WIELE WSPÓLNEGO Z TYM, CO SIĘ W KOŃCU STAŁO, Z TYM, ŻE STRACILIŚMY JAWIĘ. TO WŁAŚCIWIE LEGENDA. KŁAMSTWO, KTÓRE SAM WYMYŚLIŁEM I PODSUNAŁEM WELESOWI, ABY UTRZYMAĆ BOGÓW W RYZACH, ABY ZACHOWAĆ RESZTKI JEDNOŚCI, ABY PRZYNAJMNIEJ NIEKTÓRZY JESZCZE INTERESOWALI SIĘ SPRAWAMI JAWII. ABY WYTŁUMACZYĆ, DLACZEGO JAWIA ZAMKNEŁA SIĘ PRZED NAMI, NIE WYJAWIAJĄC PRAWDZIWEGO POWODU. MOC ZAKŁĘTA W BAŁWANACH MOŻE TERAZ NAJWYŻEJ UNICESTWIĆ STWORA. BOGOM TE FIGURKI NIE ZDADZĄ SIĘ NA NIC, JEŻELI JE IM ODDASZ. ŻADNA MOC DO NICH NIE POWRÓCI.

– To jakiś koszmar – westchnął adwokat – Ale w takim razie do czego był ci potrzebny Trojan?

– DO OSTATECZNEGO SPRADZENIA TEGO, CZY WSZYSTKIE KRAINY SĄ W STANIE SIĘ ZJEDNOCZYĆ. CZY BOGOWIE SĄ W STANIE SIĘ ZJEDNOCZYĆ.

Marek był wstrząśnięty. To, czego dowiadywał się właśnie od Świętowita, stawiało na głowie wszystko, do czego dążył i w co wierzył.

– To co teraz? Co z hordą Trojana? – zapytał zaszokowany.

– NIE WIEM I WIEM JEDNOCZEŚNIE. CO SIĘ JEDNAK STANIE, KTÓRA PRZYSZŁOŚĆ SIĘ ZIŚCI, TO NIEDŁUGO ZOBACZYMY. ALBO BOGOWIE STANĄ RAZEM, ALBO NASTANIE CHAOS. A Z CHAOSU WYŁONI SIĘ WRESZCIE NOWA, LEPSZA WSZECHRZECZ. W ZALEŻNOŚCI OD TEGO CO SIĘ STANIE, POWIEM CI, CZEGO OD CIEBIE OCZEKUJĘ. ALBO NIE SPOTKAMY SIĘ JUŻ NIGDY.

Świętowit spojrział na Marka dziwnym wzrokiem. W jego oczach adwokat zobaczył... otchłań.

– DO WIDZENIA WIDZĄCY ALBO ŻEGNAJ.

Świętowit zniknął nagle, a dezorientowany Marek został nagle sam w świątyni. Przez dłuższą chwilę stał, jak wryty i nie był w stanie zebrać

myśli. To, czego dowiedział się chwilę wcześniej od Świętowita wstrząsnęło nim do głębi. Czuł, że świat usuwa mu się spod nóg.

W końcu sięgnął do kieszeni i wyciągnął plastikową okładkę. Otworzył ją. Ze zdjęcia spoglądały na niego wesołe oczy Aśki i Milenki.

– Powinienem być teraz z wami – poczuł ukłucie w mostku.

Westchnął głęboko. Oderwał wzrok od zdjęcia i w oczy rzuciło mu się przypadkiem zawiniątko z bałwanami. Leżało tak, jak je Marek zostawił, na stoliku przy ścianie. Podszedł do stolika i rozwinął pakunek.

– Wszystko to lipa. Tysiąc lat poszukiwań ułudy – powiedział zrezygnowany do figurek. – Jesteście legendą, która miała przykryć tragiczną prawdę. Wszyscy szukali bałwanów, a okazuje się, że nadajecie się najwyżej do muzeum.

Czy tak było lepiej? Czy lepiej wierzyć w to, że moc bałwanów zamknęła Bogom wejście do Jawii, czy może lepiej było znać prawdę? Choćby najgorszą. Marek teraz znał prawdę. Czy w związku z tym zrobiło mu się lżej? Inaczej? Czy poczuł się szczególnie, że jako jedyny pośród Bogów i ludzi wie, co stało się z Bogami i ze światem? Jako jedyny...

– Oprócz mnie i Świętowita nikt więcej tego nie wie – mruknął do siebie.

W głowie urodziła mu się kolejna szalona myśl. Ale był w świecie Bogów. Tutaj szalone myśli, są najzupełniej wykonalne.

– Nikt nie wie i niech tak zostanie!

Porwał tobołek z figurkami i wybiegł ze świątyni. Rozejrzał się wokół. Potem zaczął biegać gorączkowo po całym Grodzie. Niestety, białego wierzchowca Świętowita nie było nigdzie.

– Siemargł!!! – rozdarł się ile miał siły w płucach. – Miłaaaa!!!

Nic.

Wpadł do zagajnika i zaczął gorączkowo łamać gałęzie na ognisko. Nadal darł się wniebogłosy.

– Siemargł!!! Miła!!! Perepłut!!! Strzybóg!!!

Ułożył stos drewna i zaczął go podpalać. Na szczęście nie pozbył się zapalniczki, gdy wyrzucał wszystko z plecaka przed szaleńczą akcją ratunkową dla Perepłuta. Jednak przekłete świeże drewno nie chciało się zapalić. A chciał odprawić obrzęd i w ten sposób wezwać pomoc.

– Sieeemaaargł!!! – wrzasnął zrozpaczony ostatni raz, gdy nagle usłyszał znajomy szum. – Kurwa mać, jest!!!

Po chwili bóg–pies wylądował lekko przed Markiem.



- Bogom dzięki, że jesteś Siemargle. Spróbujmy uratować świat. Nie wiem, czy to cokolwiek da, ale musimy zrobić wszystko, co możemy.
- Jestem do twojej dyspozycji – odparł spokojnie Siemargł. – Ale musimy się pospieszyć. Trojan z hordami dotrze już wkrótce.
- Czy wszyscy Bogowie są już na Morawie?
- Oprócz Swaroga i Welesa. Nie ma też Świętowita i Roda.
- Swaroga i Welesa się nie spodziewałem. A może to i lepiej, że nie ma Świętowita i Roda. Lecimy na Morawę, a potem do Kuźni. Zdamy?
- Jeżeli się pospieszymy, to jest szansa. Poza tym użyjemy tego drugiego sposobu.
- Czyli stracę zaraz przytomność?
- Przygotuj się – Siemargł nachylił ogromny łeb i wielkim jęzorem polizał Marka po twarzy.

\* \* \*

Marek ocknął się na tej samej skarpie, z której Świętowit zabrał go do świątyni. Zerwał się szybko na równe nogi. Wokół zgromadzili się Bogowie i najpotężniejsze stwory. Świętowit, Rod, Weles i Swarog nadal nie przybyli. Pozostali wpatrywali się w Marka w napięciu.

– Jesteśmy. Co teraz? – zapytał bóg–pies.

Marek wyjął zawiniątko z plecaka.

– Bogowie! Oto wasza moc wraca do was po tysiącu latach!

Odpowiedziały mu pełne zaskoczenia pomruki.

– Do groma! – huknął nagle Perun. – Jednak jesteś niezwykłym człowiekiem, jak wieść głosiła.

Marek bez zbędnych ceregieli wręczył każdemu z Bogów jego miniaturowe wyobrażenie. Świętowita i Roda nie było, ale oni nie stworzyli figurek. W ręku zostały Markowi tylko dwa bałwany – przedstawiające Swaroga i Welesa. Schował je szybko do zawiniątka.

Bogowie za to jakby lekko zmienili się. Marsowe, zatroskane miny zniknęły na rzecz płonących oczu, zaciętych uśmiechów. Oblicza Bogów wyglądały teraz na spokojne i pewne tego, co mają zrobić – wywalić Trojana z powrotem do Pustki i wybić jego hordy do nogi. Plecy wyprostowały się, głowy podniosły, każdy jakby z nową mocą, z nową nadzieją poprawiał zbroję, doczyszczzał oręż, strzepywał niewidoczny pyłek z ramion...

Marek na to właśnie liczył. Tego chciał. Bogowie nie zorientowali się, że te przeklęte bałwany nie są warte funta kłaków, ale efekt placebo działał także i na Bogów. Ale przecież stworzyli ludzi na swoje podobieństwo.

– Teraz możemy zaczekać tu na tego parszywego odszczepieńca! – zakrzyknął Perun straszliwym głosem.

Odpowiedział mu gromki okrzyk z kilkunastu gardeł. Bogowie byli teraz naprawdę bojowo nastawieni. Tylko Strzybóg przypatrywał się Markowi z zagadkowym uśmiechem. Po chwili niedostrzegalnie skinął Markowi. Jakby z uznaniem.

– To działa – szepnął Marek sam do siebie. – Siemargle. A teraz jak najszybciej do Kuźni!

\* \* \*

Tym razem Marek odzyskał przytomność pod gigantycznymi wrotami prowadzącymi do Kuźni Swaroga. Wrota były zamknięte na głucho.

– Swarogu!!! Welesie!!! – warknął bóg–pies głosem, od którego mogły popękać bębniaki w uszach.

Przez kilka chwil nic się nie działo, po czym wrota zaczęły się bezszelestnie otwierać. Po chwili stanęli w nich obaj Bogowie.

– Masz czelność przychodzić tutaj po naszej ostatniej rozmowie, Siemargle? – huknął Swaróg. – I na dodatek przywiodłeś tutaj waszego pupilka. Czego chcecie?

– Wybacz Swarogu. Chcę wam zwrócić coś, co należy się wam po tysiącu lat – Marek wyciągnął rękę. W każdej trzymał po bałwanie. – Proszę tylko, abyście w zamian dołączyli do walki z Trojanem.

– Myślisz, że jesteśmy jakimiś przekupniami? – odparł Swaróg podniesionym głosem. – Myślisz, że możesz nam stawiać warunki, śmiertelniku? Targować się z nami? Jesteś tylko człowiekiem i...

– Przestań Swarogu! – nie wytrzymał Siemargł. – Co się z tobą stało? Co takiego się wydarzyło, że pozwoliłeś, żeby dzieło nas wszystkich zostało obrócone w niwecz? Co się stało, że traktujesz tak człowieka, który zamiast ciebie próbuje twoje dzieło ratować?

– Nikt cię nie prosił, ogarze! I tego śmiertelnika również! – warknął Swaróg. – Sami jesteśmy w stanie o siebie zadbać. Nie będę powierzał swego losu w ręce śmiertelnika, nie będę...

– Chwileczkę, wuju – skrzeczącym głosem wszedł mu w słowo Weles. Rogaty bóg wyminął stojącego we wrotach boskiego kowala i podszedł do Marka. Adwokat popatrzył na trzymetrową postać.

– Chcę oddać ci twojego bałwana, Welesie.

– A twoje słowo życia? – zachrypiał bóg. – Wydawało mi się, że kupczyłeś losem boga, kupczyłeś moim losem, jak byle handlarzyna? A teraz chcesz mi go oddać? I jeszcze chcesz nas przekonać, żebyśmy ratowali twój niewiele wartą świat przed losem, na jaki zasłużył?

– Nie Welesie. Nie kupczyłem. Zostałem zmuszony, żeby dać słowo życia w zamian za wskazanie miejsca ukrycia bałwanów. Biezdar postawił mnie pod ścianą. Musiałem wybierać – los całego świata, los wszystkich krain, albo obietnica dana wieszczemu. Nawet za cenę własnego życia.

Skotij Bog spojrzał na Swaroga, potem na Siemargła obserwującego w napięciu rozgrywającą się scenę i w końcu na Marka. Po raz pierwszy z zaciekawieniem.

– Czyli pogodziłeś się z losem?

– Nie, nie pogodziłem, ale o wiele bardziej nie pogodziłem się z tym, że jeżeli Trojan rzuci na kolana całą Prawię i Nawię, wszystkich Bogów, to zniszczy także i mój świat. Zniszczy wszystko, co jest mi drogie, a przede wszystkim odbierze życie mojej żonie i córce. Zabierze im przyszłość. A one są mi droższe ponad wszystkie krainy, światy i Bogów razem wziętych. Są mi droższe od własnego życia.

Weles świdrował Marka oczami przez chwilę. Adwokat zniósł ciężar spojrzenia.

– Daj mi je więc – powiedział nagle Weles i wyciągnął olbrzymią dłoń w kierunku Marka.

Marek położył na niej figurki. Na potężnej dłoni Rogatego Pana bałwany wyglądały jak breloczki.

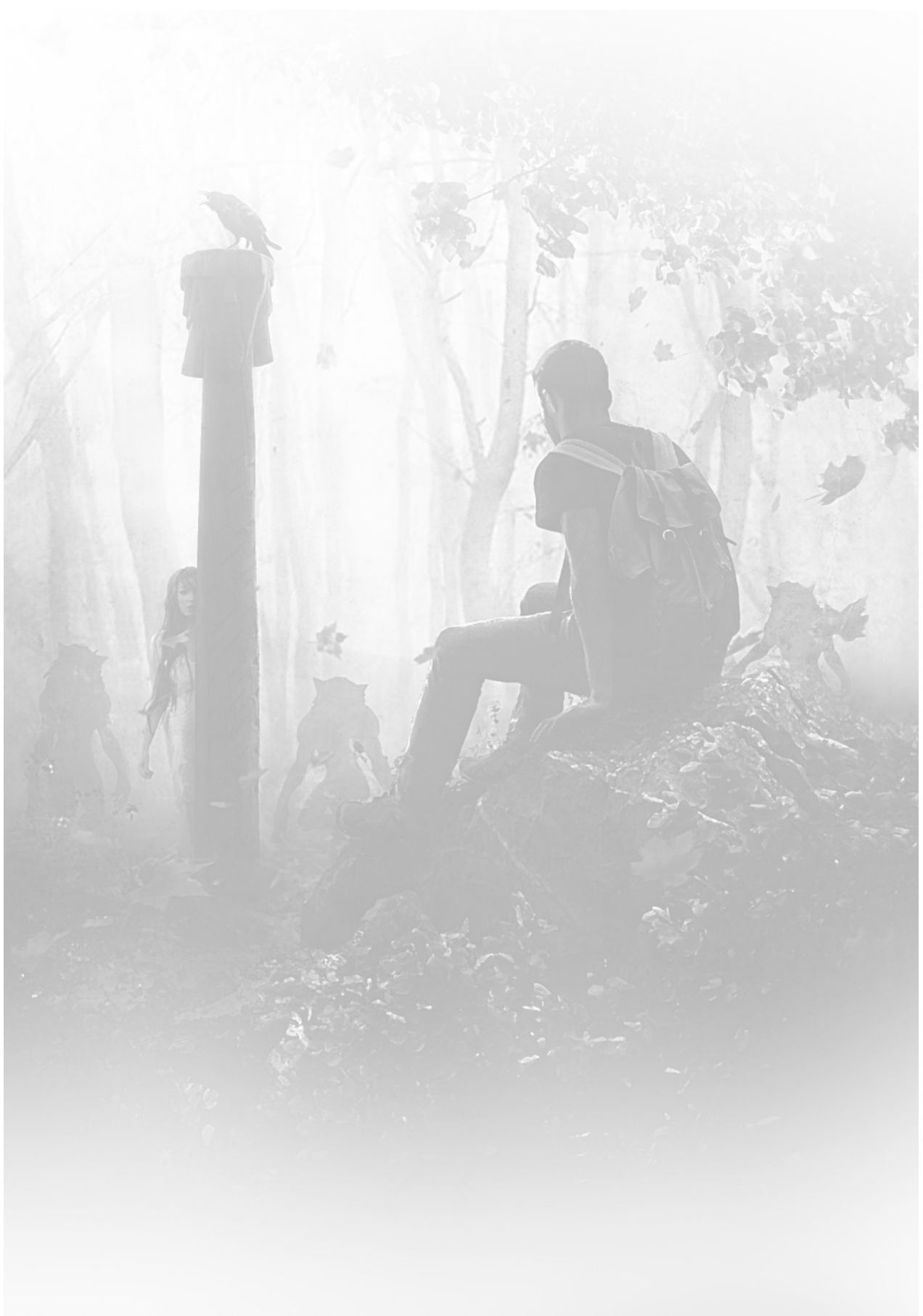
– Proszę, Welesie. Błagam...

Weles odwrócił się na pięcie i bez słowa pomaszerował w stronę wrót. Mijając Swaroga wręczył mu jego bałwana i mruknął, ni to do siebie, ni to do pozostałych:

– Zastanowię się.

Po chwili obaj Bogowie zniknęli za wrotami, które po chwili zatrasnęły się z jękiem

– Proszę... – powiedział cicho Marek, po czym ugięły się pod nim nogi.  
Zakręciło mu się w głowie. Po chwili osunął się na ziemię.  
Marek umierał.



## Rozdział VI

Na słowiańskiej góry szczycie  
pod jasną nadziei gwiazdą  
zapisuję wróżby słowa  
wróci

– wróci w stare gniazdo  
stare prawo, stara mowa  
i natchnione Słowian życie!

Roman Zmorski – poeta romantyczny

Wpis do księgi pamiątkowej na górze Ślęza.

– Pokaż mi, bracie, tę kądziel.

Niewidomy bóg skinął ręką. Po chwili pomiędzy nim, a jego gościem zawirował jakiś przedmiot, po czym zawisł w powietrzu w bezruchu.

– Proszę, bracie.

– Nadal jest splątana. Czy twoje córki zobaczyły koniec nici?

– Nie – odparł niewidomy. – Dalej nie wiemy, jaki będzie jego los. A ty?

Wiesz?

– Wiem. I nie wiem. To dziwny człek i ciekawy. Zrodzony z tęsknot, planów, oczekiwań, nawet marzeń.

– Stworzony z marzeń Bogów... – uśmiechnął się niewidomy. – Czy Bogowie mają marzenia? Czy tylko plany?

– A czy tworząc człowieka i obdarzając go wolną wolą nie mieliśmy marzeń? O światach, jakie chcieliśmy stworzyć, o istotach, które je miały zamieszkiwać.

– O nieznanym? – uśmiechnął się ślepiec.

– O nieznanym... Chyba przede wszystkim. Żebyśmy wreszcie poczuli dreszcz niepewności.

– Czy doszliśmy do końca historii, Świętowicie? Czy tak kończy się wszechrzecz? Czy my... umieramy?

– Powinieneś to wiedzieć Rodzie. Ty jesteś bogiem losu.

– Nie czuję tego bracie. Nie czuję, abyśmy odchodzili. Czuję, że... jest wręcz przeciwnie. Jakbyśmy powoli otwierali oczy ze zbyt długiego snu.

Niewidomy umilkł i zamyślił się.

– Ale może się mylę – powiedział po chwili. – Przecież Trojan rozpuścił Wróżdę. To koniec czasu. Koniec istnienia.

– Bogowie rzadko się mylą, bracie. A już na pewno nie ty. Więc może to nie Wróżda? Może jeszcze za wcześnie?

– Ty stawiasz pytania? – roześmiał się Rod. – Przecież ty, i tylko ty wiesz, co było, jest i będzie.

– Wiem. I zawsze wiedziałem o milionach przyszłości. Ale potem pojawili się ludzie. Stworzyliśmy ich na nasze podobieństwo i daliśmy im to, co mogli dostać od nas najcenniejszego. Wolną wolę. Dzięki temu powstało nieskończenie wiele przyszłości, które zależne są od ludzkich postępów. A on akurat z tej wolnej woli potrafi korzystać, jak nikt. Dzięki niemu spełniają się przyszłości, które były wcześniej mało prawdopodobne. I spełniają się właśnie teraz we wszystkich krainach. Nie tylko w Jawii. Tutaj również.

– Nie było jeszcze takiego człowieka.

– Nie było jeszcze takiego czasu.

– Ale teraz umiera.

– Nie może umrzeć.

– Wiem, Świętowicie. Ale również nie może żyć wiecznie. To wbrew porządkowi, który sami ustalaliśmy.

– Nie może. I nie będzie. Koniec nici wreszcie się objawi. Ale jeszcze nie teraz. Sam przecież widzisz. Kądział nadal jest splątana.

Świętowit wskazał na zawieszoną w powietrzu kądziel.

– A Weles? – spytał Rod.

– Weles zrozumie. Musi zrozumieć.

– A jeżeli nie?

– To wszystko przepadnie. I może wtedy właśnie nastąpi koniec. Odeślij już kądziel.

Niewidomy znów skinął ręką. Kądział zniknęła.

– Ruszamy z powrotem?

– Tak. Już czas.

\* \* \*

Skrzydlaty ogar mknął, jak strzała w przestworzach z bezwładnym ciałem w zębach. Czuł, że z Marka uchodzi życie, ale dusza uczepiła się ciała tak kurczowo, jakby była przywiązana niewidzialną nicią. Dopóki ta nie się nie przerwie, dopóty jest nadzieja.

– Oby Świętowit był już z powrotem na Morawie – jedna myśl kołatała mu się po głowie. – Tylko on może tutaj pomóc.

W końcu gruchnął z impetem na ziemię pośród zgromadzonych na skarpie Bogów i znaczniejszych stworów. Łagodnie położył ciało Marka na ziemi i zawył przeraźliwie.

Miła i Perepłut, który dotarł już całkowicie zdrowy i cały, stanęli w niemym przerażeniu obok Siemargła. Zgromadzili się też pozostali Bogowie. Nikt się nie odezwał i nie przerywał rozdzierającego skowytu boga–psa.

Spośród zgromadzonych wyszedł Strzybóg i uklęknął obok nieprzytomnego śmiertelnika, z którego uchodziły resztki życia. Złapał Marka za stygnącą dłoń i położył dłoń na czole.

– Żyje jeszcze – wyszeptał. – Żyje. Pomóż!!! – krzyknął głosem tak strasznym, aż milcząca armia zgromadzona na całej Wielkiej Morawie zafalowała.

Raptem zgromadzeni rozstąpili się. Strzybóg wpatrzony w Marka nie dostrzegł pełnego szacunku poruszenia. Nagle poczuł dłoń na swoim ramieniu. Spojrzał w górę.

– JESTEM SYNU.

Strzybóg odsunął się szybko.

Świętowit podszedł do leżącego Marka i przyklęknął. Dmuchnął mu w pierś, a pod wpływem oddechu ukazała się nad Markiem ledwo dostrzegalna mgiełka połączona z ciałem wąską nitką. Świętowit zaczerpnął mgiełkę w dłonie po czym wtłoczył ją w pierś Marka.

– TO NIE TWÓJ CZAS – powiedział łagodnie. – PRZESZEDŁEŚ OSTATECZNĄ PRÓBĘ.

Chwilę później Marek otworzył oczy.

\* \* \*

Trzy staruchy leżały wyciągnięte na kocach przed wiejską chatą pokrytą strzechą. Obejście na którym stała chałupa było schludne, choć ogród eksplodował nieokiełznaną roślinnością. Babki rozłożyły kocy w cieniu malw, postawiły kosz piknikowy, w którym było pełno



ogryzków, okruchów, pustych, glinianych naczynek i innych ewidentnych dowodów przyjemnej uczyty na świeżym powietrzu. A teraz babki rozkoszowały się nic nierobieniem.

– Jak ja lubię te nasze spokojne chwile w domostwie – odezwała się jedna ze staruch.

– Za dużo pracujemy siostry, a odpocząć od czasu, do czasu trzeba obowiązkowo – zaczęła gderać druga.

– Należy nam się – zaskrzeczała trzecia. – Ileż można siedzieć w tym szkaradzieństwie i wciąż tylko układać te motki.

Staruchy z rezygnacją spojrzały za siebie. Za sielskim obejściem i chatą jak ze skansenu piętrzyła się monstrualna budowla z szarego piaskowca.

– Wracamy? Chyba już czas?

– A mamy inne wyjście?

Podniosły się niechętnie z koców i gęsiego podążyły do gigantycznego kamiennego pałacu. Gdy przekroczyły jego próg, zamieniły się w trzy oszołamiające blond piękności, ubrane na starosłowiańską modłę. Stały chwilę w gigantycznym holu.

– Sama nie wiem, czy mi ta postać odpowiada. Czuję się jakaś taka... frywolna. Sama nie wiem, czy powinn...

Łup! Coś nagle spadło z góry i wylądowało na posadzce przed dziewczynami.

– A co to za czarcie sprawki?

– Toż to kądziel!

– I nie byle jaka – mruknęła najbardziej milcząca z dziewcząt. – To TA kądziel.

– Masz rację, siostro!

– Co Bogowie znowu wymyślili?

– Może Roda zapytamy, co to za historia?

– Widzę nić – szepnęła w napięciu najbardziej wygadana. – Siostry, widzę nić!

– Faktycznie! Jest!

– I co teraz?

– Tniemy?

– No chyba tniemy?

– Przecież od tego jesteśmy. Jesteśmy Rodzanice.

– Musimy.

Najstarsza wyciągnęła nożyce. Rozległ się cichy szczeł metalu.

- Hmm... ojej...
- Och...
- Hmm, no i nożyce nam się omsknęły – powiedziała z zakłopotaniem najbardziej gadająca.
- Aleśmy siostry ucięły, nie ma co – mruknęła trzecia.
- Długa ona.
- No długa.
- Widocznie on jest Bogom potrzebny.
- Widocznie...
- To sobie pożyje. Na dwa żywoty starczy.
- A to wiadomo z tą kądzielą? Ona dziwna. No i długo leżała splątana. Może się okaże, że się nic przerwie się gdzieś, bo Bogi sobie tak umyślą.
- Ciekawa kądziel. Nie było jeszcze takiej.
- Takiego śmiertelnika też nigdy nie było.
- No ciekawy on.
- I co teraz?
- Odłóżmy to wszystko na miejsce.
- Racja. My zrobiliśmy to, co do nas należy.
- Nic przecięta, zwinięta w motek. Jego los się wreszcie objawił. O resztę niech się Bogi martwią. I on sam – skwitowała najbardziej wygadana z Rodzanic. – Idę ją odłożyć, tam gdzie jej miejsce.

\* \* \*

Marek na czworakach głośno łapał powietrze, jak niedoszły topielec wyciągnięty w ostatniej chwili z wody na brzeg. Postacie zgromadzone wokół niego dyskretnie wycofywały się z wyrazem ulgi na twarzach.

W końcu w pobliżu dochodzącego powoli do siebie adwokata zostali klęcząca przy nim i podtrzymująca go Miła, Perepłut który z krzywym uśmiechem na swej wykrzywionej twarzy drapał się z zakłopotaniem po łepetynie oraz Strzybóg i Siemargł. Świętowit znów gdzieś zniknął.

– Muszę przyznać, że zaimponowałeś nam wszystkim. Jesteś najodważniejszym z ludzi – powiedział Strzybóg, gdy już Marek uspokoił nieco oddech i usiadł zmaltretowany na ziemi.

– Albo najgłupszym – wysapał adwokat i zaśmiał się chrapliwie. – Co się ze mną stało?

– Oddałeś bałwana Welesowi, a słowo życia zaczęło działać. Siemargł przeniósł cię tutaj z nadzieją, że Świętowit przywróci cię do życia. Bo

właściwie, to niemalże umarłeś. I Świętowit przyzwał cię z powrotem.

– Dlaczego to zrobił? Nie powiem, żebym się nie cieszył, ale nie spodziewałem się, że tak się to skończy.

– Niezbadane są drogi Ojca Bogów. Zapewne to nie miało się tak skończyć. Być może, właśnie się zaczęło? – Strzybóg popatrzył Markowi w oczy. – Mówiłem ci, wtedy, w grocie, że coś się z tobą stało. Coś szczególnego. Że się zmieniłeś i jest w tobie jakaś moc.

– Pamiętam, ale nadal nie czuję niczego szczególnego. Nie czuję żadnej zmiany. No i nie wiem, czy ten mój plan zadziała. Mam nadzieję, że sam siebie nie przechytryłem.

– Część planu z całą pewnością. Zobacz na nich wszystkich. Dostali swoje bałwany i nagle poczuli się silni. Poczuli, że ich moc, zaklęta kiedyś w figurkach, wróciła do nich. Zmotywowali ich. Natchnęli nawet.

Marek spojrzał na zgromadzonych, a potem popatrzył przeciągle na Strzyboga. Dostrzegł coś w jego oczach. Ten sam błysk, który dojrzał przed wizytą w Kuźni Swaroga, gdy rozdał Bogom ich bałwany. Na twarzy boga pojawił się ten sam zagadkowy uśmiech.

– Przejdźmy się, jeżeli dasz radę – powiedział Strzybóg znacząco odwzajemniając spojrzenie.

Odeszli kawałek od wszystkich zgromadzonych na skarpie.

– Wiesz już – bardziej stwierdził niż zapytał Marek.

– Wiem – odparł bóg. – To ja, jako ostatni miałem te figurki, zanim za sprawą Witomira trafiły do Jawii. Jako jedyne oprócz Świętowita i Welesa trzymałem je wszystkie w rękach. Teraz, gdy trzymam swoją figurkę nie czuję różnicy. Najmniejszej. Moc w nich osłabła. Tak jak w nas samych. Nic nam po nich. Ale oczywiście nikomu o tym nie powiem.

– Strzyboże, te figurki... To wszystko kłamstwo.

– Co masz na myśli?

– Figurki są niemalże bezużyteczne. I na pewno nie dodadzą wam mocy. Wiem to... od Świętowita.

– Jeżeli wiesz to od Świętowita, to tyle mi wystarczy. Więcej nie mów. To co usłyszałeś, było przeznaczone wyłącznie dla ciebie. Jeżeli nasz ojciec zechce, to sam nam wszystko wyjaśni.

– Masz rację.

– Cieszę się, że wróciłeś.

– Ja też się... – nie dokończył, bo nagle dało się słyszeć dźwięk od którego zatrzęsała się ziemia.

To było jak ryk trąby o sile kilkuset syren okrętowych. Ryk nie do zniesienia. Fala dźwięku, która zwałała z nóg, roztrzaskiwała skały, piętrzyła wody i trzęsała ziemią.

Marek ze Strzybogiem spojrzeli w kierunku, z którego dobiegał dźwięk. Na horyzoncie ukazała się monstrualnej wielkości, czarna plama, która w zastraszającym tempie rosła i zbliżała się.

– Trojan – szepnął Strzybóg.

W ten sposób bóg chaosu i zniszczenia wraz ze swoimi nieprzebranymi hordami obwieszczał swoje przybycie. Strzybóg wpatrywał się w napięciu w powiększającą się plamę na horyzoncie. Marek po raz pierwszy w życiu zobaczył na obliczu boga coś, co właściwie nie powinno istnieć – boski strach.

– Już czas. Zostań tutaj, proszę. Tam, na dole, nie zdasz się nam na nic. Ty już zrobiłeś wszystko, co mogłeś i o wiele, wiele więcej. Do zobaczenia Marku, mam nadzieję.

– Do zobaczenia, Strzyboże – Marek starał się, żeby jego głos brzmiał pewnie, ale zaskrzeczał, jak sroka. Skoro bóg się bał, to co miał powiedzieć on, zwykły śmiertelnik?

Tymczasem Bogowie po kolei znikali ze skarpy. Po chwili objawiali się na dole, stając na czele gigantycznej armii, oczekującej na nadejście grozy. Zniknęły także wszystkie najpotężniejsze stwory, które towarzyszyły Bogom w naradzie na skarpie, w tym Miła i Perepłut.

Nagle, na skraju skarpy pojawił się Świętowit. Skinął na Marka wskazując miejsce obok siebie. Adwokat podszedł do Ojca Bogów.

– TERAZ WSZYSTKO SIĘ ROZSTRZYGNIE.

– Ty nie walczysz, Świętowicie?

– TO NIE MOJA WALKA. TO WALKA ŻYWIOŁÓW, KTÓRE SAM STWORZYŁEM. WALKA ODWIECZNIE PRZECIWKAWSTAWNYCH SIŁ. WALKA ŚWIATŁA Z JEGO BRAKIEM, PORZĄDKU Z CHAOSEM. TO WALKA W ŚRODKU NATURALNEJ KOLEI RZECZY. NIECH SIĘ ROZSTRZYGNIE. NIECH SIĘ STANIE TO, CO MA SIĘ STAĆ.

\* \* \*

Słońce schowało się już za horyzont, gdy stary Passat na podlubelskich numerach rejestracyjnych zatrzymał się pod lasem w wiosce Podebłocie,

na granicy Mazowsza i Lubelszczyzny. Pod lasem kończyła się droga. Dalej trzeba było iść piechotą.

Z volkswagena wysiadło pięć osób. Postacie wyciągnęły z bagażnika torbę sportową słusznych rozmiarów i ruszyły w stronę drzew. Ubrane były w szerokie bluzy z kapturami. Mimo, że upał dopiero odpuszczał na wieczór, wszyscy mieli kaptury założone na głowy.

Grupka doszła do nienaturalnie wyglądających pagórków. Ewidentnie wzniesionych ręką człowieka. Po czym zapuściła się nieco w porastający je rzadki las. Przez chwilę postacie kręciły się to tu, to tam, jakby czegoś szukając, aż wreszcie przystanęły w jednym miejscu.

– To tutaj – powiedziała cicho jedna z postaci. – Tutaj będzie dobrze.

Wszyscy zaczęli wyjmować z torby przeróżne przedmioty. Ktoś wyjął cztery znicze, ktoś inny cztery kute noże, jeszcze inny cztery gliniane miski. Jedna z postaci nakreśliła ryłcem na ziemi koło o średnicy mniej więcej dwóch metrów. Następnie umieściła znicze na obwodzie, w równych odstępach od siebie. Do każdej z misek naląła wody i umieściła po jednej obok zniczy. W środek okręgu rzucono garść kaszy, maku, żyta i mąki, wylano cztery butelki pitnego miodu i flaszkę wody.

Gdy już wszystko zostało przygotowane, postacie ustawiły się każda przy jednym zniczu. Jedna z osób stała kilka kroków dalej i obserwowała poczynania pozostałych. Czwórka, stojąca przy wyrysowanym na ziemi okręgu, cichym głosem wypowiedziała jakieś niezrozumiałe zdania, po czym nożami trzymanymi w rękach tajemniczy osobnicy nacięli lewe dłonie i upuścili do środka okręgu po kilkanaście kropel krwi. Potem każda ze stojących w kręgu postaci zapaliła znicz stojący najbliżej siebie.

W końcu jedna z osób wyciągnęła z szerokiego rękawa glinianą tabliczkę, z dziwnymi znakami – ni to cyframi, ni to literami i umieściła ją idealnie w środku okręgu. Po chwili tabliczka błysnęła nagle jak lampa błyskowa.

Tajemnicza czwórka pokiwała głowami z zadowoleniem. Postać, która przed chwilą operowała tabliczką przywołała gestem dotąd obserwującą wszystko piątą osobę. Ta podeszła do kręgu i obejrzała wszystko z zainteresowaniem.

Po tym krótki obrzęd najwyraźniej się skończył. Tajemnicze postacie stanęły jeszcze obok, przypatrując się swemu dziełu.

– Udało się.

– Mieliśmy zaklęcie na tabliczce. Musiało się udać.

– Mądrale wymyślili, że na takich tabliczkach wypisywano „Jezusie Chrystusie zwyciężaj” – mruknął jeden z osobników wskazując na tabliczkę. – Idioci, wszędzie doszukują się znaków pierwszych chrześcijan na ziemiach polskich – osobnik wykonał dłońmi ruch, mający oznaczać cudzysłów.

– Albo słowiańskich run – roześmiał się cicho inny.

– Gdyby naprawdę wiedzieli skąd się wzięły te ich „tabliczki z Podebłocia”<sup>7</sup> i co tam jest na nich napisane, to by się zesrali ze strachu. I jedni, i drudzy – mruknęła postać, która ewidentnie wodziła prym w całej grupce.

– Myślisz, że to wystarczy?

– Z pewnością. Jeżeli zechce przyjść albo będzie musiał, to przyjdzie tą bramą. Nie wiem kiedy, ale skoro ten przeklętnik jest teraz tam, to na wszelki wypadek trzeba było otworzyć bramę. Na wypadek, gdyby tam się nie powiodło.

– Mamy potężnego przeciwnika. Z każdą chwilą potężniejszego.

– Nasz pan zgniecie go jak robaka. Jeżeli już tego nie zrobił. A jeżeli nie, to przygotowaliśmy wszystko, żeby zrobił to tutaj, w Jawii. Albo ostatecznie zrobimy to my. Teraz pozostaje czekać, czy się pojawi, czy może tam mu się powiedzie. Ale jeżeli się pojawi, to na pewno nas wezwie.

– A miejscowi? Nie zniszczą bramy, jak się któryś napatoczy? Przecież jak zobaczą znicze, to zaraz wszystko rozwalą, choćby dla zabawy.

– Brama została otwarta. Nic jej nie zniszczy. Miejscowi nawet jej nie zauważą. A czy będą tam stały znicze, czy nie, to już nie ma żadnego znaczenia. Jeszcze jeden drobiazg i wszystko będzie gotowe na jego przyjście.

– To co? Wracamy? – zapytała cicho piąta postać, która dotąd wszystko obserwowała.

– My tak – rzucił krótko osobnik, który wodził rej w grupie, po czym błyskawicznym ruchem zaszedł pytającego od tyłu, złapał za czoło, odchylił głowę i poderżnął nieszczęśnikowi gardło.

– To właśnie był ten drobiazg – rzucił z upiornym uśmiechem do pozostałych, na których dokonany właśnie mord nie zrobił najmniejszego wrażenia.

Gdy ofiara przestała drgać i kopać ziemię w konwulsjach pozostali zaciągnęli zwłoki w gęste krzaki nieopodal. Jedna z osób pobiegła do

Passata i przyniosła szpadle.

Kilkanaście minut później miejsce, gdzie zakopano zwłoki przykryto liśćmi i suchymi gałęziami. Po czym cała tajemnicza czwórka obróciła się na piętach i pośpiesznie pomaszerowała do wozu. Po pewnym czasie Passat, z osobliwym kwartetem w środku, ruszył z powrotem tą samą trasą, którą wcześniej przybył. Kilka minut później samochód minął szyld – „Gmina Trojanów żegna”. Na szyldzie widniał też herb gminy – koło młyna wodnego, rzeka i herb szlachecki Ogończyk – strzała na półokręgu na czerwonym polu.

– Zawsze mnie śmieszyło, jak oni na tym herbie, z kuli zrobili koło – warknęła ta najważniejsza postać.

\* \* \*

Monstrualna, czarna plama zbliżała się błyskawicznie. W pewnej chwili dało się słyszeć brzęczący dźwięk. Dźwięk narastał z każdą chwilą, w końcu zmienił się w to, czym był w rzeczywistości – wrzask z setek tysięcy gardeł. Po kilkunastu minutach można już było odróżnić poszczególne kreatury, które z potępieńczym rykiem szarżowały na stojącą z kamiennym spokojem wielobarwną armię obrońców Prawii.

Marek był przerażony i zafascynowany jednocześnie. Patrzył na sceny rozgrywające się przed jego oczami, jak na epicki film, rozmachem podobny filmom z Bollywood. Tutaj jednak nie o telewizyjny eskapizm chodziło, a o los wszystkich krain.

Został może niecały kilometr do koszmarnego starcia, gdy nagle z tyłu usłyszał narastający szum. Spojrzał w górę. W kierunku czarnej hordy ruszyły latające złoto i srebrnołuskie smoki, podobni uskrzydłonym węzom ażdachowie, ogniste, przypominające gigantyczne, złote myszołowy – rarogi, siriny, poloki i inne latające stwory. Na czele latających legionów frunął Siemargł.

Naprzeciw nim wyleciała chmara latawców, wyglądających jak wielkie, parciane wory zakończone długimi, szabłopodobnymi zębiskami, błoniastoskrzydłych ćmuków, paraluszy podobnych ogromnym, skrzydlatym tarantulom, lampirów – skrzydlatych wąpierz i innych splugawionych stworzeń.

I wtedy się zaczęło.

Marka zdmuchnęło z nóg, gdy Perun zaczął ciskać gromy w pierwsze szeregi napastników. Przypominało to zmasowany atak raketami typu

Tomahawk. Chwilę później w agresorów uderzyło tornado. To Strzybóg włączył się do walki. Po chwili tornado zmieniło się w ognistą burzę, gdy dołączył Swarozyc.

Przez kilka kolejnych minut klęczący Marek i stojący niewzruszenie Świętowit obserwowali apokaliptyczne pandemonium, po czym nagle wszystko ucichło. Bogowie przerwali swój morderczy atak. Pozostała tylko gigantyczna ściana kurzu, która przysłoniła całą wrogą horde.

Nagle z pyłu wystrzeliło mrowie rozjuszonych istot, które wyjąc potępieńczo z całym impetem wbiły się w stojące w najwyższym napięciu szeregi obrońców. Jednocześnie w powietrzu starły się wrogie sobie chmary stworów.

Perunowa kanonada rozległa się na nowo. Ogniste tornado Strzyboga i Swarozycyca uderzyło ze zdwojoną siłą. Wrogie armie zwały się ze sobą w strasliwym starciu.

Plugawce uderzyły z dziką furją. Zagłębiały zęby i szpony w ciałach obrońców, rozrywały ich na strzępy, w powietrzu fruwały oberwane kończyny, poszarpane wnętrzości, oderwane od tułowia głowy, bryzgały fontanny posoki. Potężne biesy masakrowały wszystkich na swojej drodze, którzy nie uszli spod ostrych szponów, czarty rozrywały nieszczęśników potężnymi łapskami albo przebijały wielkimi rogami, wapięrze rozrywały gardła i wyrywały głowy, wije zmieniały w kamień spojrzeniami i rozwalały skamieniałych falami uderzeniowymi wydawanych przez nie dźwięków.

Obrońcy nie pozostawali dłużni. Żmijowie błyskawicznymi, ledwo dostrzegalnymi ludzkim okiem cięciami mieczy, ostrych jak japońskie noże, siali potworne zniszczenie wśród plugawej hordy, stopanowie wirowali ze swoimi maczugami roztrzaskując każdego plugawca, który tylko miał nieszczęście dostać się w ich otoczenie, sporowie szyli z łuków, za każdym razem precyzyjnie kierując strzały w oczodoły agresorów.

Na prawym skrzydle obrońców rozgorzała rzeź niemalże bratobójcza. To plugawce Trojana starli się z welesowymi pomiotami Biezdara. Splugawiony czart nadziewał na rogi biezdarowego czarta, biezdarowy bies rozrywał na kawałki trojanowego biesa. Wszystko wirowało w przerażającym, krwawym kotle. Nie sposób było odróżnić napastników od obrońców. Jazgot, kwik, wrzask, charczenie, wycie i wszelkie nieartykułowane, potępieńcze dźwięki zlały się w jedną kakofonię z najczarniejszych koszmarów.



Z góry spadał na walczących krwawy grad rozszarpanych części ścierających się ze sobą w powietrzu demonów. Starcie było godne końca wszechrzeczy.

Pośród masakrujących się stworów szaleli Bogowie. Rujewit na czarnym ogierze i Radogost na białej klaczy przedzierali się przez szeregi wroga, zostawiając za sobą krwawe żniwo. Trygław wirował wokół z długimi mieczami w swoich trzech dłoniach i jak wielki blender, bez opamiętania szatkował plugawców. Nieopodal niego Jarowit oślepił demony swą złotą tarczą, by po chwili precyzyjnymi cięciami pozbawić ich głów. Nyja, ramię w ramię ze swym synem Chorsem, metodycznie i oszczędnie w ruchach zadawali mordercze ciosy czarnymi klingami.

Nieco z tyłu uwijały się Mokosz i Dziewanna. Zaklęciami, żywą wodą i sobie tylko znanymi sposobami przywracały do istnienia poległych już obrońców i wysyłały do dalszego boju.

Nagle pośród atakujących wyrosła wielka, jak piętrowy dom i czarna, jak otchłań, kula.

– Trojan – szepnął Świątowit ni to do siebie, ni to do Marka.

Martwe plugawce i ich porozrzucone części zamieniały się po kilkunastu sekundach w popiół. Kula zaczęła przyciągać do siebie chmury pyłu, które jeszcze przed chwilą były trupami stworów. Wąskimi stróżkami pył kierował się w stronę kuli, a potem znikał w jej wnętrzu. Po paru chwilach z kuli zaczęły wyskakiwać plugawce. I choć Mokosz i Dziewanna robiły co w ich mocy, plugawców przybywało szybciej, niż wskrzeszonych przez obie boginie obrońców.

– Kurwa, to jest jakiś koszmar – jęknął Marek. – Przecież oni będą nie do pokonania.

Jakby w odpowiedzi na obawy Marka, Perun natychmiast skierował kanonadę piorunów, przypominającą teraz salwy z katuszy, prosto w mroczną kulę. Podobnie Strzybóg ze Swarożycem uderzyli ognistym tornadem w upiorną sferę, w środku której najprawdopodobniej krył się Trojan.

Niestety, huraganowy atak Bogów grzązł w kuli niczym w czarnej dziurze. Jedyne, co Bogowie osiągnęli, to przerwali wylewający się ze sfery potok nowych plugawców. Cóż jednak z tego, skoro do walki włączało się wciąż tysiące kolejnych, przybyłych z Trojanem z Nawii. Kiedy jednak Bogowie przestawali kierować swe wysiłki w stronę kuli

i wracali do niszczenia plugawców, ta ponownie uruchamiała swą przerażającą fabrykę.

W końcu Marek dostrzegł też i znajome stwory. Miła wraz ze Świstunem i Świcorzem przypominali srebrzyste kosy, które wycinały przed sobą czarne łany. Perepłut dawał o sobie znać łbami strzelającymi w powietrze z prędkością piłeczek tenisowych, oderwanymi od plugawych tułowi. Bliźniacy Lel i Polel również i tu wyglądali, jak para niszczycielskich buldożerów, zostawiających po sobie krwawą miazgę, która po chwili zmieniała się w czarny popiół.

Niewiarygodnych rzeczy dokonywali wieszcy. Siedmiu szło powoli w równym rzędzie, wyjąc tak straszliwie, że ryk ten przebijał się nawet przez bitewny jazgot i docierał do uszu adwokata. Przyjmowali na siebie wściekłe ataki kolejnych dziesiątek nacierających plugawców, a te odbijały się od nich, jak od skały, przerażająco zmasakrowane i po chwili zmieniały się w popiół. Wieszcy parli metr za metrem zostawiając po sobie spopielające się ciała, a później cofali się kilkadziesiąt metrów i powtarzali metodycznie swój niszczycielski pochód, gdy tylko naprzeciw nich wyrastały kolejne linie wroga.

Podobnie zadziwiające były licha, które szalały po polu bitwy i przyjmowały najróżniejsze postacie, które były najlepsze do walki z danym przeciwnikiem. Adwokat z przerażeniem, ale również fascynacją obserwował, jak licha w jednej chwili stają się borutami, rozprawiają z grupą splugawionych bobaków, by po chwili, po przeistoczeniu w wije zamienić potężnego czarta w kupę kamieni.

Pośród trojanowej hordy i welesowych pomiotów Biedzara wyróżniało się kilka stworów, które siały szczególne zniszczenie w przeciwnych szeregach. Marek zauważył demona z którym nigdy wcześniej się nie zetknął, a wyczytał o nim tylko ze straszliwych, starych podań. Rogalec faktycznie zasłużył na swoją ponurą sławę krwiożerczej bestii, co udowadniał masakrując bez wysiłku kolejne zastępy próbujących go zgładzić zmijów. Spostrzegł też czarnego jak noc ustrela i kilkunastu złydni, którzy wyglądali jak wycięci z żurnala modele, ubrani w czarne płaszcze, a okrucieństwem nie mieli sobie równych. W obu dłoniach trzymali lekko zakrzywione szable, którymi nieustannie wywijali mordercze młynki i rozsiekowali wszystko, co weszło im w drogę, nie zważając na to czy swój, czy wróg.

Adwokat był przerażony do skraju wytrzymałości, ale wciąż jak zahipnotyzowany wpatrywał się w pole bitwy na którym, na pierwszy rzut oka nie było widać przewagi żadnej ze stron. Jednak, gdy przyjrzał się dokładnie...

Odkąd wśród napastników pojawiła się ta makabryczna kula, zaczęło wyglądać na to, że jednak plugawce Trojana przełamują nieco intensywniej szeregi obrońców. Początkowo Marek odganiał tę myśl, jak natrętnego komara, ale po pewnym czasie legiony Prawii i Nawii zaczęły się powoli cofać pod naporem nieustającej fali spaczonych kreatur.

Niestety, mimo najwyższych wysiłków Bogów i stworów, czarne hordy wciąż zalewały pole bitwy, a kula będąca pod ciągłym naporem Peruna, Strzyboga i Swaróżyca nadal trwała niewzruszenie.

– Świętowicie! – krzyknął Marek. – Musimy coś zrobić! Zrób coś, błagam! Ja zrobię!

Tylko co? Co mógł zrobić jeden śmiertelnik, pośród miliona rozszalałych stworów, bo Świętowit trwał milczący i posepny na skraju skarpy, jak rzeźbiony posąg w arkońskiej świątyni.

Bogowie z pewnością zauważyli, że dzieje się coś niedobrego, bo znowu zmienili taktykę. Teraz kierowali kontrolowane przez siebie żywioły raz w kulę, a raz w środek pola bitwy. Niestety, przewaga plugawców rysowała się coraz bardziej.

– Bogowie to koniec – szepnął Marek ze łzami w oczach. – Wszystko za chwilę przepadnie. Świętowicie!!!

Ale Ojciec Bogów nie reagował zupełnie. Trzy twarze miały zamknięte powieki, jakby spały. Jedna wpatrywała się w pole bitwy. Świętowit był jak w transie.

– Idę tam, przynajmniej na coś się przydam. Jak i tak mamy wszyscy zginąć, to zabiorę ze sobą trochę bydłaków.

– STÓJ – powiedział nagle miękkim, aczkolwiek stanowczym głosem Świętowit. – TY JAK DOTĄD ZROBIŁEŚ WIĘCEJ NIŻ MOGŁEŚ I O WIELE WIĘCEJ, NIŻ KTOKOLWIEK OCZEKIWAŁ. TERAZ TO JUŻ NIE OD CIEBIE ZALEŻY. POWINIENEŚ JEDNAK NAUCZYĆ SIĘ CIERPLIWOŚCI. JEŻELI TEN ŚWIAT OCALEJE, TO Z PEWNOŚCIĄ CIERPLIWOŚĆ SIĘ TOBIE PRZYDA.

– Jeśli ocaleje? Jak ja mam być cierpliwy, Świętowicie, kiedy tam na dole świat się właśnie kończy? – jęknął Marek.

Ale nogi, jakby nagle spętane, odmówiły mu posłuszeństwa i znów runął na kolana. Próbował się podnieść, ale był jak sparalizowany. Pozostało mu w przerażeniu obserwować rozgrywające się piekło.

Tymczasem obrońcy zdwoili jeszcze swoje wysiłki. Niestety, tak jak wróżył Siemargł – było ich zbyt mało w porównaniu z nieprzebranymi rzeszami Trojanowach demonów. Szczęśliwie, czarna plama plugawych hord już dawno przelała się przez horyzont i ciągle topniała, ale obrońców, mimo wysiłków wszystkich Bogów, ubywało jeszcze szybciej. W tamtym momencie wyglądało na to, że siły Prawii i Nawii powoli, ale nieubłaganie zmierzają do klęski.

Marek ukrył twarz w dłoniach. Czuł się kompletnie bezsilny. Widział, że przegrywają i nie mógł nic zrobić.

– Powinienem być teraz z Aśką i Milenką – szepnął do siebie. – Wszystko, kurwa, przepadło.

– TEGOM CHCIAŁ – usłyszał nagle spokojny głos Świętowita.

Zaszokowany adwokat spojrzał na Ojca Bogów.

– Tego chciałeś??? Świętowicie???

– PATRZ!

Marek nieprzytomny ze strachu i niedowierzania spojrzał w dół na walczących.

Nagle, gdzieś w oddali dało się słyszeć ogłuszający świst. Tak makabryczny i wżerający się w głąb jestestwa, że masakrujące się nawzajem strony gwałtownie oderwały się od siebie i zamarły w niemym zdziwieniu. Wszystkie oczy skierowały się w stronę Drzewa Życia rosnącego kilkadziesiąt kilometrów od pola bitwy. To z tamtej strony dobiegał ten niewiarygodny dźwięk.

Przeraźliwy wizg nasilał się i nagle dało się dostrzec dwie smugi zmierzające w kierunku pola bitwy. Jedną gorejącą oślepiająco, a drugą czarną, jak smoła. Tak czarną, jak Trojanowa kula.

– Świętowicie, co to? – Markowi zbierało się na wymioty ze strachu.

– TO TWOJE DZIEŁO. TWOJA OFIARA.

Marek wlepił nierozumiejące spojrzenie w Ojca Bogów, a potem znowu w rosnące w oczach smugi.

Chwilę później obie smugi z ogłuszającym świstem wpadły w hordeę Trojana, zmiotły, a w zasadzie zanihilowały ponad stumetrowej szerokości pas plugawców, od jednego do drugiego krańca upiornych szeregów. Po stworach pozostały jedynie opary, które po chwili

rozplynęły się w powietrzu. Smugi zaś z ogłuszającym hukiem wylądowały obok Peruna, Strzyboga i Swaróżyca, którzy, zdziwieni, również przerwali swój piekielny atak na kulę. Kula natychmiast zaczęła się powiększać.

– Bogowie, nie wierzę – Marek wybuchnął płaczem i histerycznym śmiechem na raz.

– DOKONAŁEŚ TEGO SWYM POŚWIĘCENIEM. WELES I SWARÓG WRÓCILI.

– Dalej bracia!!! – huknęli chórem Weles i Swaróg, którzy wyłonili się ze smug przyjmując swoje prawdziwe postaci. – Niech przeklęty wraca tam, skąd przyszedł. Odeślijmy chaos do Pustki!

W kulę, która błyskawicznie zaczęła wchłaniać najbliższych jej plugawców i osiadać gigantyczne rozmiary uderzył najpierw cień wysłana przez Welesa. Najczarniejszy w czarnych. Samo spojrzenie na niego mroziło serce. Chwilę potem błysnął oślepiający boski, swarogowy ogień.

– Dalej synku! – ryknął Swaróg. – Dalej bratankowie!

To słysząc Strzybóg, Perun i Swaróżyca uderzyli jeszcze silniej w kulę. Pięciu Bogów wspólnie skierowało swój niszczycielski oręż na sferę. Ta przestała się powiększać, ale wciąż nie było na niej widać choćby jednej rysy.

Hordy plugawców znowu rzuciły się na obrońców, ale masakra, jakiej dokonali w ich szeregach chwilę wcześniej Weles ze Swarogiem mocno je przetrzebiła. Teraz ruszyli obrońcy, niesieni nadzieją, jaka nagle w nich wstąpiła. Oto wszyscy Bogowie nareszcie zjednoczyli się, aby wyprzeć Trojana na powrót do Pustki.

Marek nie mógł uwierzyć. Wracał właśnie z otchłani rozpacz na wyżyny szczęścia.

– TEGOM CHCIAŁ – powtórzył Świętowit. – PO TO UCZYNIŁEM WSZYSTKO, CO UCZYNIŁEM. A TY MARKU, POMOGLĘŚ MI W TYM DZIELE. WSZYSCY BOGOWIE ZJEDNOCZYLI SIĘ. WSZYSTKIE KRAINY STANĘŁY WRESZCIE RAZEM, ABY ODEPRZEĆ CHAOS. TAK RODZI SIĘ NOWE. TAK KOŃCZY SIĘ HISTORIA. I TAK SIĘ ZACZYNA NOWA. LEPSZA.

Obok Świętowita i Marka pojawił się nagle niewidomy bóg.

– Miałeś rację bracie – powiedział Rod. – Jak zawsze, miałeś rację. To nie koniec. To dopiero nowy początek. Budzimy się ze zbyt długiego snu.

Zjednoczeni.

Świetliste legiony Prawii i czarna armia Nawii przeszły do kontrataku. Horda zaczęła topnieć w oczach. Część wyrzynali obrońcy prowadzeni przez Bogów i wieszczych, część zaczęła salwować się ucieczką. Jednak znaczna część plugawców znikła w czarnej kuli, która dwukrotnie powiększyła swoją pierwotną objętość.

Pięciu Bogów z całą zajadłością atakowało czarną sferę, która trwała niewzruszenie na arenie walki. Wreszcie zmasowany kontratak obrońców zaczął przełamywać plugawe hufce.

Nagle z wnętrza kuli dobył się ten sam upiorny, ogłuszający ryk, który na początku obwieścił przybycie Trojanowej hordy. Na ten zew plugawce odskoczyły nagle i rzuciły się do ucieczki. Przetrzebione i zmęczone do granic możliwości stwory z Prawii i Nawii nie były w stanie ich ścigać. Podobnie wyczerpani Bogowie.

Tymczasem koszmarna kula pod naporem wściekłych ataków Peruna, Strzyboga, Swaroga, Swarozycy i Welesa zaczęła trzeszczeć, a po chwili pękać. Wtem dało się słyszeć potworny, ogłuszający zgrzyt, po czym sfera wybuchła z siłą i łoskotem bomby atomowej. Ale z jej środka nie wyleciało zupełnie nic. Sfera była w środku pusta. Potężna fala uderzeniowa ścięła z nóg wszystkich, którzy byli w promieniu kilometra od kuli. Zimny podmuch dotarł również na skarpe, gdzie stali Świętowit, Rod i Marek.

I nagle nastąpiła cisza.

– Czy to koniec? – Marek jeszcze niedowierzał.

Patrzył podekscytowany to na dolinę, skąd uchodziły niedobitki plugawej hordy, a resztki obrońców gramoliły się z ziemi oszołomione po wybuchu, to na dwóch boskich braci, stojących z nim na skarpie i od których wszystko brało swój początek.

Po kuli nie było śladu. Tak jakby nigdy nie istniała. Tylko pięciu wyczerpanych Bogów przysiadło na pobojuwisku. Dołączali do nich pozostali – Bogowie i stwory.

– To koniec! – Marek nie potrafił ukryć radości. – Zaraz dostanę zawału i umrę po raz drugi.

Ale dwaj Bogowie – czterotwarzowy i niewidomy stali nieruchomo wpatrzeni tam, gdzie przed kilkoma minutami unosiła się upiorna sfera. Również niewidomy Rod wyglądał tak, jakby w zadumie przyglądał się czemuś na pobojuwisku. Marek nie śmiał przerywać Bogom, ale w jego

serce zaczęła się wkładać zimna niepewność. Sam nie był w stanie dostrzec zupełnie niczego.

Resztki poległych sługusów Trojana zmieniały się w czarny popiół. Również trupy obrońców rozpląwały się w powietrzu mimo wysiłków Mocoszy i Dziewanny, które uwijały się po polu bitwy i starały wskrzesić jak najwięcej stworów.

Pozostali Bogowie siedzieli razem na trawie i wpatrywali się w linię horyzontu, za którym znikwały resztki upiornej armii. Wyglądali z daleka, jakby urządzili sobie romantyczne oglądanie zachodu słońca.

Marek z ulgą dostrzegł też Miłą. Stała ze spuszczoną głową oddając ostatni hołd Świstunowi, który właśnie zmieniał się w delikatną mgiełkę. Świcorz powoli wstawał dzięki zabiegom Mocoszy. Nieopodal Siemargł odtwarzał Pereplutowi zmasakrowane ramię.

W oddali dostrzegł też wieszczych. Zostało ich czterech. Wiedli może dziesiątą część sił, które stawily się na wezwanie Marka. Na czele ponurej zgrai szedł Biezdar. A więc przetrwał...

Boscy bracia wciąż stali, jak zakłęci. Z ich twarzy nie dało się wyczytać zupełnie niczego. Marek struchlał. To nie wróżyło niczego dobrego, mimo, że oprócz istnienia wieszczych i ich pomiotów nic nie wskazywało na to, aby były jakiegokolwiek powody do niepokoju. Tylko...

– Tylko gdzie właściwie jest Trojan? – mruknął Marek niby do siebie, ale tak, żeby i Bogowie go słyszeli. – Zginął?

W końcu Świętowit jakby ocknął się i przerwał milczenie.

– NIE, MARKU. NIE ZGINAŁ. I TO NIE JEST KONIEC. TO DOPIERO POCZĄTEK.

– To nie będzie łatwy początek – odezwał się Rod.

– NIE BĘDZIE. ALE ON JUŻ DAŁ DOWÓD TEGO, ŻE MOŻNA NA NIEGO LICZYĆ W KAŻDEJ SYTUACJI.

Nagle Bogowie odwrócili się do Marka. Ten zamarł i zbladł.

– TO DOPIERO POCZĄTEK, WIDZĄCY. TERAZ ZACZYNA SIĘ TWOJA ROLA I OD CIEBIE BĘDZIE ZALEŻAŁO, CZY WRÓCI NATURALNY PORZĄDEK RZECZY, CZY TEŻ TO TYLKO ETAP WRÓŻDY. PRAWIA I NAWIA ZOSTAŁY URATOWANE. PRZYNAJMNIEJ NA TĘ CHWILĘ. TERAZ TY MUSISZ OCALIĆ SWÓJ ŚWIAT. JAWIĘ.

Marek zbaraniał. Przecież świat został ocalony! Trojan został pokonany, armia plugawców rozpierzchnęła się, nic nie zagraża trzem krainom. Bałwany odnalezione. On sam spełnił wszystko, czego od niego

oczekiwano i dużo więcej. Wszystko zakończyło się szczęśliwie. A on wreszcie odpocznie.

– Co się stało? – jęknął. – Przecież wszystko się skończyło! Co się stało w Jawii?

– NIESTETY, WŁAŚCIWIE DOPIERO SIĘ ZACZEŁO. TROJAN UCIEKŁ. DO JAWII.

Marek zachwiał się jak uderzony obuchem.

– Jak to, uciekł? Przecież Jawia jest zamknięta dla Bogów. A ta kula? A ten wybuch?

– TA KULA TO OREŻ I SCHRONIENIE TROJANA JEDNOCZEŚNIE. I SPOSÓB UCIEZKI NA WYPADEK PORAŻKI. TROJAN TYM RAZEM BARDZO MĄDRZE SIĘ ZABEZPIECZYŁ. GDY PRZYBYLI WELES I SWARÓG I GDY TROJAN ZROZUMIAŁ, ŻE PRZEGRĄ, WCIĄGNAŁ DO KULI TYLU PLUGAWCÓW ILU ZDOŁAŁ, ZANIM BOGOWIE OSTATECZNIE SIĘ Z NIĄ ROZPRAWILI. POTEM UŻYŁ PRZEJŚCIA, KTÓRE MU OTWORZONO I WRAZ Z PLUGAWCAMI DOSTAŁ SIĘ DO TWOJEGO ŚWIATA. TO W JAWII DOJDZIE DO OSTATECZNEGO STARCIA. A JEGO WYNIK BĘDZIE ZALEŻAŁ OD CIEBIE.

Marek wpatrywał się w zatroskane oblicza Bogów przez chwilę, zanim dotarło do niego, co właśnie usłyszał. Poczł się jakby właśnie całe Drzewo Życia waliło mu się na głowę.

– Nie wiem co powiedzieć – wydukał wreszcie. – Ja... chyba... muszę wracać. Muszę chronić moje dziewczyny. Muszę go odnaleźć.

– NAJPIERW MUSISZ POZAMYKAĆ SWOJE SPRAWY TUTAJ. POTEM BĘDZIEMY MUSIELI POMÓWIĆ. NIE MUSISZ SIĘ TERAZ SPIESZYĆ. TROJAN BĘDZIE ZBIERAŁ SIŁY W JAWII. TO POTRWA. TERAZ PRZYBIERZE LUDZKĄ POSTAĆ I WTOPI SIĘ W TŁUM. BĘDZIESZ MUSIAŁ GO ODNALEŹĆ. PODOBNIIE PLUGAWCÓW. WSZYSTKICH. BĘDĄ MORDOWAĆ. ZACZNĄ OD STWORÓW. I TYCH DOBRYCH, I TYCH SZKODLIWYCH DLA LUDZI. POTEM WEZMĄ SIĘ WŁAŚNIE ZA LUDZI. BĘDZIESZ MUSIAŁ ODNALEŹĆ PLUGAWCÓW I WYBIĆ CO DO JEDNEGO, JEŻELI JAWIA MA BYĆ BEZPIECZNA. A TROJAN NIE BĘDZIE GOTOWY WCZEŚNIEJ NIŻ NA KOLEJNĄ KUPAŁĘ.

– Czyli mam rok?

– TAK. POROZMAWIAMY O TYM, JAK POWINIENES TEN ROK WYKORZYSTAĆ, ABY SIĘ PRZYGOTOWAĆ I ODNALEŹĆ GO ZANIM ON BĘDZIE GOTOWY.



Marek pokiwał głową. To miał być koniec. Miał uratować świat i wrócić do swoich dziewczyn. Wszystko, co przeszedł, czego dokonał nie zdało się na wiele. Trojan uciekł. I to do Jawii. Poczuł, że wszystkie jego wysiłki spełzły na niczym.

– UWAŻASZ, ŻE WSZYSTKIE TWOJE WYSIŁKI SPEŁZŁY NA NICZYM? – Świętowit oczywiście czytał mu w myślach. – TO W OGROMNEJ MIERZE DZIĘKI TOBIE PRAWIA I NAWIA POZOSTANĄ TYM, CZYM BYŁY. TO RÓWNIEŻ TWOJE WYSIŁKI SPRAWIŁY, ŻE BOGOWIE ZNÓW SIĘ ZJEDNOCZYLI. ODEGRAŁEŚ ROLĘ, KTÓREJ NIE DA SIĘ PRZECENIĆ. ROLĘ, KTÓRĄ LICZYŁEM, ŻE ODEGRASZ.

– Dziękuję – Marek uśmiechnął się słabo. – Ale aż mnie zmroziło, kiedy powiedziałaś Świętowicie, że Trojan użył przejścia, które mu otworzono i uciekł do Jawii... Zaraz... Co to znaczy, że „otworzono mu przejście”? Kto mu otworzył???

– Tego będziesz musiał dowiedzieć się sam – odparł dotąd milczący Rod.  
– Przejście zostało otwarte w Jawii.

– To znaczy, że jest tam ktoś, kto pomógł Trojanowi uciec do Jawii???

– Tak. Inaczej nie mógłby tam trafić. Podobnie, jak wszyscy inni Bogowie. Będziesz musiał dowiedzieć się, kto tego dokonał i odnaleźć tego kogoś.

– Ja chyba śnię! – Marek złapał się za głowę. – Czyli jest w Jawii ktoś jeszcze, kto wiedział, że Trojan w ogóle istnieje, że uciekł z Pustki, że zaatakuje Prawię i przygotował mu ewentualny odwrót? Ja pierdołę! To znaczy...

– TO ZNACZY, ŻE TROJAN MA W JAWII SWOICH POPLECZNIKÓW, SWOICH WYZNAWCÓW, O KTÓRYCH PRZEZ PONAD DWA TYSIĄCE ZIEMSKICH LAT NIKT Z LUDZI NIE MIAŁ POJĘCIA.

– A ty Świętowicie, wiedziałaś?

– WIESZ PRZECIEŻ, WIDZĄCY, ŻE WIEM WSZYSTKO. ALE WERSJĘ PRZYSZŁOŚCI, KTÓRA NASTĘPUJE, WYBIERACIE WY – LUDZIE, SWOIMI CZYNAMI.

Marek popatrzył uważnie na obu Bogów.

– Skoro Trojan mógł dostać się do Jawii...

– TO DLACZEGO INNI BOGOWIE NIE MOGĄ, CHCIAŁEŚ ZAPYTAĆ – wszedł mu w słowo Świętowit. – TROJAN TO CZYSTE ZŁO I CHAOS. WIARA W ZŁO NIE JEST POTRZEBNA. ONO ISTNIEJE I TAK. DLATEGO WYSTARCZYŁO, ABY W JAWII ZOSTAŁO OTWARTE PRZEJŚCIE, BY

TROJAN, CZERPIĄC SIŁĘ ZE ZŁA DZIEJĄCEGO SIĘ W JAWII, MÓGŁ DO NIEJ TRAFIĆ.

– Czynienie dobra zawsze wymagało choć trochę wysiłku.

– TYM BARDZIEJ WIARA. RÓWNIEŻ WIARA W NAS.

– Myślałem, że wszystko wróci do normy – westchnął Marek. – Myślałem, że wreszcie odpocznę.

Rozmowę przerwała nagle seria łąpnięć. Na skarpie objawili się Perun, Strzybóg, Swaróżyć, Weles i Swaróg. Szum skrzydeł obwieścił przybycie Siemargła. Po kolei zaczęli objawiać się także inni Bogowie. I stwory. Miła, Perepłut, Świcorz, Lel i Polel. I wieszcz – Niewsza, Ostrobod, Niemir i oczywiście Biezdar.

Strzybóg podszedł do Marka i wyciągnął prawicę.

– Jesteśmy ci wdzięczni, niezwykły człowieku. Jestem z ciebie dumny. Ogromnie dumny – po czym objął adwokata po bratersku.

Po kolei do Marka podchodzili pozostali Bogowie i ściskali mu dłoń z uznaniem. W końcu podszedł Weles.

– Doceniam, co zrobiłeś – powiedział Rogaty Pan głosem mrozącym krew w żyłach. – Nie zdobędziesz mojej sympatii, ale zasłużyłeś na szacunek. Nawia stanie przed tobą otworem. Nie musisz się obawiać niczego z mojej strony. Pamiętaj jednak, że nie ustane w wysiłkach, aby sprowadzić Jawię na właściwą drogę. Jeżeli zechcesz mi w tym przeszkodzić, zgmiotę cię jak robaka.

– Dziękuję, Welesie. Mamy ten sam cel. Ja też chcę, aby w Jawii nastał właściwy ład.

– Ale chyba inaczej pojmujemy ten ład – syknął Weles.

– Być może. Ale proszę cię o wybaczenie. Wszystko, co robiłem, czyniłem z wiarą, że postępuję słusznie.

– Masz moje wybaczenie. Na razie.

Weles łąpnął jeszcze groźnie na adwokata i już miał odchodzić, gdy nagle odezwał się upiorny ryk.

– Domagam się sprawiedliwości!!!

Biezdar i pozostali wieszczowie stanęli między Świętowitem i Rodem, a Welesem i Markiem.

– Tyyyy??? Ty domagasz się sprawiedliwości??? – wrzasnął Weles potwornym głosem. – Ty bydlaku!!! Stworzyłem cię! Dałem ci wszystko! Pławiłeś się we krwi, we wszelkich dostatkach, a ty podle mnie zdradziłeś! Ty domagasz się sprawiedliwości, parszywa gnido???

– A potem na tysiąc ziemskich lat trzymałeś mnie i moich braci na łańcuchach w kazamatach pod swoim pałacem!!!

– Bo zrobiliście się zuchwali! Chcieliście być równi mnie. Poczuliście się bogami. I zapragnęliście władzy. Nieograniczonej władzy. Powinienem był was wszystkich zniszczyć, tak, jak was stworzyłem!!!

Nagle w ręku Welesa wyrósł czarny jak noc miecz.

– WELESIE!!! – ryk z czterech ust Świętowita zatrzęsł ziemią. Bogowie, stwory i jeden człowiek struchleli.

– JESTEŚ W OBECNOŚCI SWEGO OJCA, WELESIE. TU PANUJE BOSKI ŁAD. SCHOWAJ MIECZ – powiedział Ojciec Bogów, tym razem już łagodnym, ojcowskim głosem.

O dziwo...

– Masz rację, ojczy – miecz zniknął. – Uniosłem się. A wy – spojrzali na Biezdara. – Zejdźcie mi z oczu. Wracajcie do Czarnego Lasu i oczekujcie mojego gniewu. Bo przysięgam wam, że go doznacie.

Wieszczy z nienawiścią w oczach potoczyli wzrokiem po wszystkich zgromadzonych. Wzrok Biezdara spoczął na Marku.

– Ten śmiertelnik dał mi słowo życia – warknął przez zęby. – Co z was za Bogowie, skoro burzycie ład ustalony przez samych siebie. Nie dostałem bałwana i ten człowiek powinien umrzeć. Taki porządek ustaliliście wy sami – wieszczy oskarżycielsko wycelował palec w stronę Świętowita. – Domagam się mojego bałwana. Albo śmierci tego żalosego ludzika. Pod Welesem przysięgał!!! – wrzasnął na koniec.

– A ja zwalniam go z tego słowa! – huknął Weles. – To ja jestem strażnikiem przysięg! Z tego, co wiem, wykazałeś się brakiem honoru zdobywając informację o miejscu ukrycia bałwanów. Nie domagaj się teraz sprawiedliwości, ani honorowych czynów wobec siebie, boś ich zupełnie nie godzien. Ale skoro chcesz mojego bałwana, to proszę.

Ku zaskoczeniu wszystkich Weles wyjął figurkę zza pazuchy i wyciągnął rękę w kierunku Biezdara. Ten odskoczył jak oparzony.

– Co się stało? – zapytał drwiąco Rogaty Pan. – Już nie chcesz mojego bałwana?

– Miałem go dostać od niego – wycelował paluch w kierunku adwokata.

– W ofierze.

– Proszę bardzo – Weles z ironicznym uśmiechem wręczył Markowi bałwana. – Złóż mu figurkę w ofierze.

Czyli Weles też już wiedział. Bo raczej nie blefował. Za to Biezdar cofnął się i popatrzył spode łba.

– To podstęp – wycharczał wieszczy. – Tak łatwo oddajecie bałwana? To kolejna wasza sztuczka.

– Chodź tutaj i sam się przekonaj – rzucił drwiącym głosem Weles.

Upiór popatrzył przeciągle na Welesa, potem na Marka. Powoli wycofywał się z powrotem do pozostałych wieszczy.

– Biezdar! – krzyknął Marek. – Ale to pewnie zechcesz.

Marek sięgnął szybko do plecaka, wyjął zeschniętą już na wiór dłoń wieszczego i rzucił mu ją. Biezdar złapał ją w locie, przytknął do kikuta i po chwili dłoń wyglądała jak nowa.

– Mi nie będzie już potrzebna.

– Pusty gest, Widzący – warknął wieszczy.

– Mimo wszystko, stanąłeś po właściwej stronie.

– Mam to w dupie! – wrzasnął. – Chodźcie braciszku! – krzyknął teatralnie modulując głos. – Zostaliśmy oszukani i zdradzeni. Nie zapomnimy wam tego. Ani tobie ojczulku – Biezdar popatrzył z nienawiścią na Welesa – ani tobie śmiertelniku – przeniósł wzrok na Marka.

– Już raz ci mówiłem i robię to po raz ostatni – syknął Marek. – Nie groź mi. Nie masz pojęcia, do czego jestem zdolny.

Biezdar łypnął jeszcze na Marka i Welesa, jakby chciał wyryć w pamięci ich twarze. Po czym wszyscy wieszczy odwrócili się na pięcie i zniknęli, objawiając się na powrót przy swojej przetrzebionej znacznie armii czekającej na pobojuwisku.

– Pamiętaj o tym, gdy będziecie na powrót wyć w łańcuchach w moich piwnicach – ryknął za nimi Weles.

– CHAOS ZOSTAŁ POWSTRZYMAN! – dało się nagle słyszeć tubalny głos Świętowita. – ALE NIE CZAS TERAZ NA ŚWIĘTOWANIE. TROJAN UCIEKŁ DO JAWII. MUSIMY WSPOMÓC MARKA W TYM, ABY NISZCZYCIEL TRAFIŁ WRESZCIE TAM, SKĄD UCIEKŁ – DO PUSTKI. CZY PRZYSIĘGNIECIE DAĆ MU WSZELKĄ POMOC, JAKIEJ BĘDZIE POTRZEBOWAŁ?

– Przysięgamy!!! – huknął chór Bogów, aż zadrżała ziemia.

Chwilę później Bogowie jeden, po drugim zaczęli znikać. Siemargł, Miła i Perepłut odeszli kawałek, a Strzybóg mruknął tylko do Marka:

– Musicie jeszcze porozmawiać ze Świętowitem. Będziemy na ciebie czekać.

Po czym dołączył do pozostałej trójki.

Na skraju skarpy został tylko Marek i Ojciec Bogów.

– Nic tak nie jednoczy, jak wspólny wróg, prawda? – zagaił Marek. – Po to było to wszystko z Trojanem?

– ZROZUMIAŁEŚ – odparł Świętowit. – W OBLICZU ZAGROŻENIA SŁOWIANIE POTRAFIĄ SIĘ ZJEDNOCYĆ, ZDOBYWAJĄ SIĘ NA WIELKIE POŚWIĘCENIA, NA HEROICZNE CZYNY. WY, LUDZIE, JESTEŚCIE UKSZTAŁTOWANI NA PODOBIENSTWO BOGÓW. JESTEŚMY SOBIE PODOBNI. MAMY TE SAME SŁABOŚCI, ALE I JESTEŚMY ZDOLNI DO NIEWIARYGODNYCH RZECZY. DZIĘKI TEMU, CO SIĘ STAŁO, BOGOWIE ZNÓW STANĘLI RAZEM, ZAPOMNIELI O DAWNYCH WAŚNIACH I WSPÓLNIE POKONALI ZAGROŻENIE.

– A do czego ja byłem potrzebny? Bo wiem, do czego będę potrzebny teraz. Do odnalezienia Trojana i ostatecznego pokonania go. Ale wcześniej?

– BEZ CIEBIE, NIE MOGŁOBY WYDARZYĆ SIĘ NIC. TO TY JESTEŚ KATALIZATOREM WSZYSTKICH ZMIAN, WSZYSTKIEGO CO ZASZŁO. TO DZIĘKI TOBIE MOGŁEM UWOLNIĆ TROJANA.

– Dzięki mnie??? Przecież ja nie zrobiłem niczego szczególnego. Wprawdzie wydawało mi się przez chwilę, że zrobiłem, gdy odnalazłem bałwany, ale sam wiesz...

– NIE MUSIAŁEŚ ZROBIĆ NICZEGO SZCZEGÓLNEGO. SAM FAKT TWOJEGO ISTNIENIA POWODOWAŁ I POWODUJE CIĄG ZDARZEŃ WE WSZECHRZECZY. JESTEŚ PIERWSZYM CZŁOWIEKIEM, KTÓREGO LOS NIE BYŁ ZNANY OD CHWILI NARODZIN, AŻ DO ŚMIERCI. TO SPRAWIŁO, ŻE PO RAZ PIERWSZY PRZYSZŁOŚĆ BYŁA DLA MNIE NIEODGADNIONA. PO RAZ PIERWSZY, ZNAJĄC MILIONY PRZYSZŁOŚCI, NIE WIEDZIAŁEM ZUPEŁNIE, KTÓRA Z NICH SIĘ ZIŚCI. TY BYŁEŚ KOWALEM SWOJEGO LOSU I TO TWOJE WYBORY KREOWAŁY PRZYSZŁOŚĆ, KTÓRA NASTĘPOWAŁA. WCZEŚNIEJ LUB PÓŹNIEJ ZAINTERESOWALI SIĘ TOBĄ WSZYSCY BOGOWIE. NAJWCZEŚNIEJ MÓJ NAJBARDZIEJ PRZENIKLIWY SYN, STRZYBÓG. JUŻ PRZY TWOICH NARODZINACH PRZECZUWAŁ, ŻE BĘDZIESZ KIMŚ SZCZEGÓLNYM.

– I wysłał do mnie Miłą, żeby mnie chroniła.

– TAK, WŁAŚNIE. POTE M KOLEJNI BOGOWIE, KTÓRYCH DZIAŁAŃ NIE MOGŁEŚ WIDZIEĆ, ANI NAWET PRZECZUWAĆ, ZACZĘLI SNUĆ SWOJE PLANY WOBEC CIEBIE. AŻ WRESZCIE STAŁEŚ SIĘ WIDZĄCYM. WTEDY JUŻ WIEDZIAŁEM, ŻE JESTEŚ DLA NAS SZANSĄ. JEDNOCZEŚNIE MUSIAŁEM POZWOLIĆ CI DOJRZEĆ, NABRAĆ WIEDZY I DOŚWIADCZENIA, PEWNOŚCI SIEBIE, WEWNĘTRZNEGO SPOKOJU, A PRZED WSZYSTKIM RADOŚCI ŻYCIA. BEZ TEGO NIE PORADZIŁBYŚ SOBIE.

– I kiedy nastąpił ten moment?

– WTEDY, GDY POCZUŁEŚ, ŻE JUŻ NIC CI DO ŻYCIA NIE POTRZEBA. KIEDY POCZUŁEŚ SIĘ PRAWDZIWIE SZCZĘŚLIWY. POZNAŁEŚ TO, BEZ CZEGO NIE BYŁBYŚ ZDOLNY DO NAJWIĘKSZYCH POŚWIĘCEŃ. KIEDY WRESZCIE TO ODNALAZŁEŚ I OSTATECZNIE POCZUŁEŚ.

– To, czyli co?

– MIŁOŚĆ, MARKU. MIŁOŚĆ. TO ONA SPOWODOWAŁA, ŻE RUSZYŁEŚ RATOWAĆ ŚWIAT. TO ONA SPRAWIŁA, ŻE BYŁEŚ GOTÓW DAĆ SŁOWO ŻYCIA, A PÓŹNIEJ ODDAŁEŚ BAŁWANA WELESOWI. DLA RATOWANIA ŚWIATA. ICH ŚWIATA. NIE JAWII, TYLKO TWOICH KOBIE T. AŻ W KOŃCU ODDAŁEŚ ZA TO WŁASNE ŻYCIE.

– W sumie... tak było.

– TAK BYŁO – pokiwał głową Świętowit. – I OSTATECZNIE WYKAZAŁEŚ SIĘ TYMI WSZYSTKIMI CECHAMI, KTÓRE SĄ POTRZEBNE, ABYŚ MÓGŁ WYPEŁNIĆ ZADANIE, KTÓREGO NIKT INNY NIE MÓGŁBY WYPEŁNIĆ.

– Zagać Trojana do Pustki? Jako zwykły śmiertelnik?

– NIE. CHOĆ TO TEŻ WAŻNE, ALE DOPIERO TERAZ SIĘ OKAZAŁO, ŻE TROJAN UCIEKŁ I JESZCZE TO KOLEJNE, WAŻNE ZADANIE PRZED TOBĄ SIĘ POJAWIŁO.

– O co chodzi w takim razie?

Świętowit spojrział na Marka wszystkimi twarzami, co na pozór wydawało się niemożliwe, ale znowu zdało mu się, że znalazł się w środku głowy Ojca Bogów, a jego cztery, pradawne oblicza otaczają go.

– CHCĘ OD CIEBIE RZECZY, KTÓRA KIEDYŚ PRZEPADŁA. CHCĘ, ŻEBYŚ BYŁ NOWYM POCZĄTKIEM. CHCĘ, ŻEBYŚ SPRAWIŁ, ŻE SŁOWIANIE PRZYPOMNĄ SOBIE O SWOICH KORZENIACH. ŻEBY LUDZIE NA POWRÓT WIEDZIELI CZYM JEST MIŁOŚĆ, HONOR,

PRYZWOITOŚĆ, LOJALNOŚĆ I WSZYSTKO TO, CO ZOSTAŁO PRZEZ OSTATNIE TYSIĄC LAT W JAWII ZNISZCZONE I ZAPOMNIANE.

Świętowit popatrzył głęboko w oczy przejętemu Markowi.

– CHCĘ ŻEBYŚ ODNOWIŁ WIARĘ W NAS. TAKIE ZADANIE TOBIE POWIERZAM.

Twarze Świętowita zniknęły, a Marek patrzył teraz na niego oszołomiony, jak nigdy w życiu.

– Chcesz, żeby na ziemię Słowian wróciła Stara Wiara? I ja mam to sprawić?

Ojciec Bogów skinął głową.

– Ja mam tego dokonać, Ojcze Bogów? Ja? Jak??? Jestem tylko człowiekiem. Zwykłym człowiekiem. Jak mam się podjąć takiego zadania?

– ZWYKŁYM CZŁOWIEKIEM OD DAWNA NIE JESTEŚ, MARKU. I JESTEŚ ZBYT SKROMNY. OSTATNIMI CZYNAMI, JAK I CAŁYM SWOIM ŻYCIEM DOWIODŁEŚ, ŻE TO WŁAŚNIE TY I TYLKO TY MOŻESZ TEGO DOKONAĆ. I DOKONASZ. WIEM, ŻE DOKONASZ. ALE NIE MARTW SIĘ. NIE BĘDZIESZ SAM.

Marek spojrział na Wielką Morawę. Gigantyczna kotlina stała zielona i pusta. Jakby zupełnie nic nie zaszło. Jakby jeszcze kilkadziesiąt minut wcześniej nie rozegrała się tu apokalipsa. Nie było Bogów, stworów, nawet trupów. Truchła plugawców zmieniły się w popiół, zwłoki stworów w mgliste opary, po czym wszystko rozwiął delikatny wietrzyk. Morawa wyglądała tak, jakby nic w tym miejscu nie zaszło – wielka, zielona równina, kończąca się przy linii horyzontu burym pasem. Granicą z Nawią.

Popatrzył znowu na Świętowita, który stał dumnie, ale cierpliwie wyczekiwał odpowiedzi Marka.

– Zrobię co w mojej mocy, Świętowicie – rzekł w końcu pewnym głosem.

– WIEM.

– A co z Trojanem?

– ZNAJDŹ GO I ODEŚLIJ DO PRAWII. BOGOWIE WTRĄCĄ GO DO PUSTKI.

– Łatwo powiedzieć... Jak mam to zrobić?

– STRZYBÓG I SIEMARGŁ WYTŁUMACZĄ CI WSZYSTKO I WE WSZYSTKIM POMOGĄ.

Marek pokiwał głową.

– WIEM O CZYM MYŚLISZ. MOŻESZ ZADAĆ TO PYTANIE. TERAZ ODPOWIEM NA KAŻDE.

– Wiedziałeś, że tak się stanie? To wszystko? Warto było?

– ZNASZ ODPOWIEDŹ.

– Wiedziałeś.

– CELEM NIE BYŁO PONOWNE WTRĄCENIE TROJANA DO PUSTKI. CELEM BYŁO ZJEDNOCZENIE BOGÓW, STWORÓW I JEDYNEGO CZŁOWIEKA, KTÓRY MOŻE PRZEBYWAĆ W ŚWIECIE BOGÓW. SIŁ PRAWII, NAWII I JAWII. TERAZ, GDY SIĘ TO UDAŁO, MOŻEMY WSPÓLNIE OSIĄGNĄĆ TO, CO PRZEZ PONAD TYSIĄC LAT BYŁO NIEMOŻLIWE.

– Co takiego?

– NASZ POWRÓT.

\* \* \*

Marek usiadł na kłodzie na polanie, z której kilka dni wcześniej ruszył do świata Bogów. Czekał. Tutaj miał spotkać się ze Strzybogiem i Siemargłem oraz stworami, przysłanymi przez Bogów na pomoc. Przed powrotem do Jawii, miał poznać ich wszystkich.

– A weźmijże swoje błyszczące skały spod kłody – usłyszał nagle głos strażnika przejścia, Mirmiła.

– Oczywiście – udał, że pakuje fanty do plecaka. – Dziękuję, że ich przypilnowałeś.

– Na szczęście nikt ich nie ruszył, a niestety miałem wiele innych zajęć i nie zawsze mogłem ich pilnować – strażnik uśmiechnął się pod nosem.

Marek rozejrzał się po wielkiej, całkowicie pustej polanie. Faktycznie, zajęć było co niemiara, ale trzeba było do końca odegrać wraz z pocziwym stworem ten teatr. Choć właściwie nie wiadomo za bardzo dla kogo. Chyba tylko dla samego Mirmiła, dokarmiając w ten sposób jego dziecięcą niemalże radość z udanej konspiracji.

– Szkoda by było, jakbym utracił miecz i sztylet.

Nagle dało się słyszeć serię puknięć. Jakby ktoś delikatnie otwierał na raz skrzynkę szampana. Przed Markiem pojawili się nagle Strzybóg i Siemargł w towarzystwie stworów. A towarzystwo było osobliwe.

– Marku – zagaił Strzybóg. – Jak wiesz Perepłut nie może wejść do świata ludzi pod żadną postacią. Podobnie Lel i Polel. Ale chcieli się



z tobą pożegnać. A oto stwory, które będą ci służyć pomocą w tym, co czeka cię w Jawii. Przedstawiam ci Turupita, który jest wysłannikiem Peruna. Dalej stoi Kostroma, z pozdrowieniami od Mokoszy, Światogor, od Swaroga i Swarozycza. Kościej, od Nyji i Chorsa. Chrusta, welesowego dydkę, i Miłą oczywiście znasz.

Marek lekko zaskoczony i zaciekawiony przypatrzył się stworom, które znał tylko z legend i ludowych podań. Ogromny Światogor o ogniście rudej czuprynie przypominał nieco Arnolda Schwarzeneggera, Kostroma była eteryczną wręcz blondyneczką, Turupit wyglądał jak słowiański kміeć z przesadnie długimi wąsiskami. Najbardziej dziwacznie wyglądał Kościej. Właściwie był to szkielet obciążony cienką jak pergamin skórą.

– Niezmiernie mi miło, że mogę was poznać dostojne stwory.

– Wezwij nas, gdy tylko będzie potrzeba – odezwała się śpiewnym głosem Kostroma. – Natychmiast pojawimy się w świecie ludzi i będziemy służyć pomocą. Teraz się oddalimy.

Po czym wszyscy skłonili się i rozplłynęli w powietrzu.

– My też wra-aaa-acamy – zająkał Perepłut. – Za-aaa-awdzięczam ci istnie-eee-enie. Dziękuję!

Po czym uściskał mocno Marka.

– A ja tobie, przyjacielu – odpowiedział adwokat odwzajemniając uścisk. – Dziękuję.

Potem uściskał dłonie Lela i Polela i trzy stwory również zniknęły. Na polanie został tylko Marek, Strzybóg, Siemargł i Miła. Nie licząc Mirmiła, który kilkaset kroków dalej śledził coś w wysokiej do kolan trawie.

– Czyli co? – westchnął Marek. – Znowu idziemy ratować świat?

– Nie mamy wyjścia – mruknęła Miła.

– Ale obiecacie mi wszyscy coś. Kiedy to już naprawdę się skończy, to będę mógł pójść na zasłużoną emeryturę.

– Zło i chaos nie skończy się nigdy, Marku – odezwał się Strzybóg. – Wiesz przecież.

– Wykończycie mnie – zaśmiał się Marek. – Ale przynajmniej będę sobie wtedy hasał po Nawii i grał Welesowi na nosie.

– Strasznie dowcipny się zrobiłeś – sarknęła Miła. – Lepiej byś posłuchał, co Bogowie mają ci do powiedzenia.

– Zamieniam się w słuch.

– Nie będzie łatwo odnaleźć Trojana – powiedział Siemargł. – Najpierw wtopi się w tłum, poszuka zwolenników, a potem zacznie szkodzić.

Zwracaj uwagę na szczególne tragedie. Okrutne morderstwa, dziwne, niewyjaśnione wypadki, kataklizmy. Tak będzie działał Trojan, żeby nabierać mocy w Jawii. Będzie karmił się makabrą. Tak jak wieszcz, tylko w większej skali. Strach, krew i ból. To będzie go wzmacniać.

– W dzisiejszym świecie to nic trudnego – wtrącił z przekąsem Marek.

– Szukaj szczególnych okropieństw – ciągnął bóg–pies. – I głośnych. Ale z racji profesji, to jesteś w tym dobry.

– Kurczę, ja już właściwie zapomniałem, że nadal jestem adwokatem. Dobrze, że mam z czego rachunki płacić, bo od dwóch lat działam na zasadzie „Bogowie zapłaćcie”.

– Nie dość, że dowcipny, to jeszcze marudny – jęknęła demonica. – Skup się.

– Jest coś, co pozwoli ci pokonać Trojana i odesłać go bezpośrednio do Pustki – perorował niezrażony Siemargł. – Ale ten przedmiot dawno zaginął. Nie wiem, czy uda ci się go odnaleźć.

– Znowu mam deja vu – Marek złapał się za głowę. – Znowu mam coś odnaleźć? Już raz odnalazłem bałwany i okazało się, że psu na budę się to zdało. Oj, przepraszam Siemargle za tego psa.

Bóg–pies łypnął na adwokata, po czym ryknął gromkim śmiechem, widząc jego zakłopotaną minę. Marek po raz pierwszy w życiu zobaczył śmiejącego się psa. Po chwili salwą śmiechu wybuchli Strzybóg i Perepłut. Miła stała z założonymi rękami, a jej mina wyrażała najgłębsze politowanie.

– Z rarogów pospadaliście? Nie za wesoło wam?

– Oj, daj spokój córko – rzucił wesoło Strzybóg. – Po prostu chyba trzeba nam wszystkim było, po tym co się wydarzyło.

– To co takiego miałbym odnaleźć? – zapytał Marek, kiedy już wszystkim przeszła wesołość.

– To, co osiemset lat temu zaginęło, gdy Duńczycy zniszczyli świątynię na Arkonie – odparł dość uroczystym głosem Siemargł.

– Nie wierzę. Chcecie, żebym odnalazł miecz Świętowita, czy tak?

– Tak – odpowiedzieli chórem Bogowie i stwory.

Marek popatrzył na nich, jak na UFO.

– Przecież to jest niemożliwe.

– Bałwany odnalazłeś – rzuciła Miła.

– Przy tym bałwany to w ogóle bułka z masłem! Przecież o mieczu w ogóle nie ma żadnej wzmianki oprócz kroniki Saxo Gramatyka, a o

jego losach nie wiadomo zupełnie nic!

– Na pewno nie został zrabowany podczas najazdu Duńczyków Waldemara i Absalona – powiedział Strzybóg. – W ostatniej chwili trafił do Prusów, a potem na Mazowsze, gdzie ślad po nim zaginął.

– Nawet nie pytam skąd to wiecie – westchnął Marek. – Czyli teraz zaczynam przeszukiwać Mazowsze?

Wszyscy pokiwali głowami.

Jest jeszcze jedno – ciągnął Strzybóg. – Trojan zabrał ze sobą plugawców. Trudno powiedzieć ilu. To krwiożercze bestie i przerażające, bo dodatkowo spaczone. Musisz je wszystkie odnaleźć i wybić co do nogi. Inaczej Jawia nigdy nie będzie bezpieczna, a Trojan ciągle będzie rósł w siłę.

– Czyli jednak nie ucieknę od losu wiedźmina – westchnął Marek.

Bogowie i Miła spojrzeli na adwokata z lekkim zdumieniem.

– To jakaś ludzka, męska odmiana wiedźmy? – Miła jak zwykle dociekała przeróżnych ziemskich ciekawostek.

– Coś w tym stylu – roześmiał się adwokat. – Bohater literacki. Nieprawdziwy. Zabójca potworów i stworów.

– To teraz w Jawii pojawi się prawdziwy – skwitowała Miła z rozbajającym uśmiechem.

– W takim razie ostatnia sprawa. Od czego mam zacząć?

– Najlepiej od miejsca, gdzie pojawili się w Jawii. Aby otworzyć przejście, trzeba krwi.

– Krwawej ofiary?

– Tak, krwawej ofiary. Ludzkiej.

– O zesz kur... – Marek zrobił okrągłe oczy i poczuł, że cierpie mu skóra.

– Zaczynaj od ustalenia, czy ostatnio gdzieś w odludnym miejscu, doszło do krwawego, zagadkowego mordu. Na miejscu zbrodni znajdziesz kolejne wskazówki.

– Dobrze, tak zrobię – smętnie pokiwał głową Marek.

– Chyba czas się pożegnać – odezwał się Siemargł. – Pamiętaj, że w każdej chwili możesz się do nas zwrócić. Powodzenia. I dziękuję. Wszyscy ci dziękujemy.

Strzybóg uściśnął Marka, Miła rzuciła, że zobaczą się niedługo, zaś Siemargł podał Markowi swoją wielką łapę.

– Bez ciebie nic by się nie udało – powiedział Marek.

– I bez ciebie – odparł Bóg–pies. – To był zaszczyt, Widzący.

– To był zaszczyt dla mnie. To dla mnie zaszczyt, że was znam. Do zobaczenia.

Mirmił pociągnął za gruby łańcuch ukryty w trawie. Po chwili z trawy wynurzył się kamienny portal. Marek uniósł dłoń w pożegnalnym geście i przeszedł przez kamienny łuk.

I już tradycyjnie stracił przytomność.

\* \* \*

Ocknął się czując czyjąś dłoń na czole.

– Cześć. Witaj z powrotem – usłyszał głos Anety Drzewickiej, mazowieckiej Godnej.

– Cześć – Marek stanął na nogi.

Stali na wzgórzu w pobliżu Świątyni Słońca. Oprócz nich nie było nikogo. Obok rozbity był namiot.

– Ile mnie nie było?

– Tym razem dwa dni. Wszyscy musieli wracać, a ja pomyślałam, że poczekam na ciebie. Zawsze chciałam pobiwakować w lesie – uśmiechnęła się promiennie.

– Dziękuję Anetko. To ogromnie miłe z twojej strony.

– Chyba trochę tam pobyłeś? Udało się wszystko? Chyba tak, skoro wciąż żyjemy.

– Prawie się udało. Długa historia. Wszystko ci opowiem, ale najważniejsze to, że Trojan uciekł do Jawii.

– Bogowie – szepnęła przerażona Godna. – Jak to uciekł? I co teraz?

– Muszę go odnaleźć. A ponieważ jesteś z Mazowsza, to zdaje się, że będę miał do ciebie ogromną prośbę.

\* \* \*

– Jesteś! – Aśka rzuciła mu się na szyję, gdy Marek stanął w progu domu. – Bałam się, że przepadniesz na długo, ale wierzyłam, że wrócisz cały i zdrowy. Czułam.

– Zawsze będę wracał. Choćbym miał wyrznąć armię demonów. Choćbym miał skonać. Zawsze będę wracał.

Aśka nie miała pojęcia, jak bardzo prawdziwe były słowa jej męża.

– Uratowałeś świat?

– Prawie, kochanie. Prawie. A dzięki wam, uratuję go do końca.

\* \* \*

Zaciekawiony lis nagle dał drapaka, bo dziwne poruszenie w ziemi okazało się nie być czymś zdatnym do jedzenia, tylko parzącym ognikiem pełgającym pośród leśnej ściółki.

Ognik błysnął, a wokół niego koncentrycznie zaczęła rozszerzać się spalenizna. W końcu wypalony do gołej ziemi okrąg osiągnął rozmiary koła, wcześniej wyrytego na ziemi jakimś ostrym przedmiotem. Na krawędziach okręgu stały cztery, zgaszone znicze.

Nagle, jakby spod ziemi w wypalonym okręgu zaczęły pojawiać się ciemne kształty, które jak bańki mydlane od słomki, odrywały się od niego i odlatywały w las. Kilka, kilkanaście, kilkadziesiąt...

W końcu, po kilkunastu minutach pojawił się jeszcze jeden kształt. Czarny jak bezgwiezdna noc. Kształt rósł błyskawicznie, aż osiągnął rozmiary dorosłego człowieka. Po chwili uformował się w pełni. W kręgu stał teraz elegancki osobnik, w garniturze, na oko koło pięćdziesiątki. Rozejrzał się po skąpanym w księżycowym świetle, czerwcowym lesie i podniósł niedbale ręce, jakby nakazywał gestem, aby uczniowie wstali z ławek.

Nic się jednak nie zadziało. Przez twarz mężczyzny przebiegł grymas zaskoczenia i irytacji. Tym razem wniósł w ten rozkazujący ruch całą swą władczość. Nic.

W końcu z jednego z pagórków otaczających mężczyznę powoli wysączyła się mgiełka, która po chwili przybrała postać smętnego upióra wyglądającego, jak siedem nieszczęść.

– Tak mnie witacie? – warknął mężczyzna przez zęby. – Tak witacie swego pana?

– Nie witamy cię – zahuczał ponuro upiór. – I nie jesteś naszym panem. Nikt cię tu nie chce. I jest ktoś, kto jest tutaj, w Jawii. potężniejszy od ciebie.

Mężczyzna zakipiał z oburzenia. Wyszedł z kręgu i ruszył w kierunku bezczelnego stwora. Mijając rosnące obok drzewo z wściekłością rąbnął w nie pięścią. Po chwili nieznanne uczucie w dłoni sprawiło, że aż przyklęknął. Jakby jego cała dłoń znalazła się w ogniu.

Stwór spojrział na wijącą się z bólu postać z pogardą i politowaniem.

– Tak wygląda życie śmiertelnika. Bo tutaj jesteś niczym więcej. I obyś nie został kimś więcej.

– Masz mi służyć! – wrzasnął przybysz z bólu i wściekłości.

– Zapytaj tego nieszczęśnika, co go tam schowali pod krzakami, bez pogrzebowego stosu. Może zechce ci służyć – upiór spojrział niechętnie na stos gałęzi. – W sumie to z jego krwi powstałeś i jego ducha przejąłeś. A ja, jeżeli już mam służyć, to wolę innemu panu – mruknął i odszedł w las.

Mężczyzna podniósł się obolały i rozjuszony.

– To teraz zobaczycie – wycedził przez zęby. – Niedługo będziecie mnie błagać. A na końcu zajmę się tym Widzącym. Ale najpierw sprowadzę na ten świat grozę i niedolę.



## Epilog

Marek stał zamyślony wpatrując się w kolorową, świetlną elewację Centrum Spotkania Kultur w Lublinie. Ostatnie wydarzenia jeszcze spinały mu wszystkie mięśnie, aż bolał go kark. Trzeba było myśli ulokować gdzie indziej.

Aśka też potrzebowała odetchnąć. I dlatego Lichoccy zostawili tego wieczoru Milenkę pod opieką mamy Marka i postanowili spędzić piątkowy wieczór na nocnym szaleństwie. Należało się im trochę rozrywki i relaksu. Akurat otwierano nowy klub w Lublinie pod zagadkową nazwą Piękna Pszczoła, więc postanowili sprawdzić nowe miejsce.

– Halo! Ziemia do męża! – śpiewnym głosem odezwała się Aśka. – Bawimy się dzisiaj, mój książę, czy planujemy ratowanie świata?

– Bawimy, droga żono. Za przeproszeniem, pierdolę dzisiaj świat, kochanie. Szalejemy dziś.

– No, wreszcie wrócił mój facet – klepnęła go po tyłku. – O, państwo prokuratorstwo idą. Cześć Aga, cześć Frycek!

– Witamy państwo mecenasostwo – rzucili chórem prokurator Agnieszka Lisicka wraz z mężem Fryderykiem, również prokuratorem. – Idziemy?

– Idziemy!

– Umarzasz? – mruknął Marek do Lisickiej, kiedy ruszyli we czworo do Pięknej Pszczoły.

– A co mam, kurwa, zrobić? – jęknęła cicho prokuratorka – Demona oskarżyć? Ale na szczęście nic nowego się nie wydarzyło.

– Wiem Aga. Na chwilę to zabezpieczyłem.

– Na chwilę?

– Długo opowiadać. Chwilowo będziesz miała spokój, ale nie wiem na jak długo. Ale dajmy dziś sobie siana z robotą, co?

– Masz rację.



– Co wy tam szepczecie? – odwróciła się do nich Aśka, idąca przodem z Fryckiem.

– A ty co, zazdrosna? – rzuciła wesoło Lisicka i pokazała język.

– Teraz? Miałaś dwadzieścia lat, żeby go poderwać – roześmiała się Aśka. – Wiem, że jesteście, jak rodzeństwo.

– Oj, o pracy gadamy – odparła Lisicka z udawaną skruchą.

– Koniec gadania o pracy. Wchodzimy!

W klubie roiło się od ciekawych nowego miejsca trzydziestoparolatków i wkrótce towarzystwo rzuciło się w wir zabawy. W pewnym momencie Aśka krzyknęła tylko Markowi do ucha:

– Idę do kibelka!

I zniknęła w tłumie.

Marek został na parkiecie z Agnieszką, Fryderykiem i kilkoma innymi znajomymi, z którymi spotkali się w klubie.

Nagle poczuł mocne mrowienie na karku. Zupełnie jak wtedy, gdy szukali z Miłą bałwanów na Bartosiowej Górcie, nieopodal Chodlika. Coś było nie tak...

Zszedł z parkietu i ruszył do wyjścia. Mijał ludzi, których nie znał. Jeszcze kilka minut temu klub roił się od znajomych, teraz nie rozpoznawał nikogo. Twarze, które mijał, patrzyły na niego dziwnie – z wyrzutem, ze zdziwieniem, z oburzeniem, niektóre z nienawiścią. Poczł bolesne ukłucie w mostku. Coś było bardzo nie tak...

Dotarł do schodów i wtedy usłyszał krzyk. Rzucił się w dół schodami, roztrącając wchodzących do klubu. Serce podeszło mu do gardła. Znowu usłyszał pisk kobiety. To była Aśka! Pobiegł na złamanie karku w kierunku, z którego dochodził rozpaczliwy dźwięk. Wielki budynek, w którym znajdował się klub, był w środku oświetlony słabymi lampami. W korytarzach panował półmrok.

Nagle dostrzegł przerażający widok. Aśka szarpała się między dwoma roslými mężczyznami, którzy brutalnie ciągnęli ją w głąb długiego korytarza. Ruszył biegiem w ich kierunku. Jeden z mężczyzn usłyszał go i odwrócił się. Marek był kilkadziesiąt metrów od nich, ale dostrzegł jarzące się w półmroku oczy.

– Zostawcie ją! Skurwysyny!!!

Nagle drugi z mężczyzn złapał Aśkę za włosy, odgiął jej głowę i wbił się zębami w jej krtań i rozerwał błyskawicznym ruchem głowy.

– Niiieee!!! – zawył adwokat. – Niiieee!!!

Zanim Marek ich dopadł, rozplynie się w powietrzu, wyszczerzając koszmarne zębiska.

Aśka leżała martwa w kałuży krwi.

– Niiieee!!! Niiieee, kurwa, błagam!!!

– Marek! Marek!!!

Aśka krzyczała do niego obejmując go za szyję.

– Kochanie! To tylko zły sen! Marek!

Marek ocknął się nagle. Siedział na kanapie, na której usiadł zmordowany po ich powrocie z Pięknej Pszczoły.

– Kochanie już w porządku – dyszała Aśka. – Już dobrze. To tylko zły sen. Boże jak się przestraszyłam. Zacząłeś krzyczeć, a ja nie mogłam cię dobudzić. Już dobrze...

– O kurwa – sapnął adwokat i ukrył twarz w dłoniach.

– Co się stało? Co ci się przyśniło?

– Nic... nie wiem... nie pamiętam – skłamał. – Jakies idiotyzmy. Chyba stres ze mnie wyłazi. Ale już dobrze. To tylko sen. Tylko sen.

Ale wiedział, że to nie był sen. To była groźba.



# Słowniczek

Arkona – przylądek na wyspie Rugia (Niemcy), gdzie do 1168 istniał potężny gród połabskiego plemienia Ranów, a w nim świątynia Świętowita.

Baba Jaga (Baba Jędza) – w dawnych czasach istota demoniczna lub boska, obecnie sprowadzona do roli złej wiedźmy w bajkach.

Biezdar – najpotężniejszy z wieszczych (patrz wieszcy), jeden z głównych antagonistów Marka Lichockiego,

Bezmir – stwór, strzygoń zamieszkujący cmentarz przy ul. Lipowej w Lublinie. Tajny współpracownik Marka Lichockiego.

Chodlik – niegdyś potężny gród w Kotlinie Chodelki. Obecnie grodzisko w Województwie Lubelskim, nieopodal Opola Lubelskiego. Prowadzone są tam intensywne i owocne prace badawcze.

Chors – bóg księżyca.

Chryst – chudy stwór zbudowany z pożółkłych liści, szpieg i posłaniec Welesa.

Czerwień – obecnie Czermno w Województwie Lubelskim. Dawniej potężny gród, stolica Grodów Czerwieńskich.

Ćmuki – demony słowiańskie. Na potrzeby powieści złe, skrzydlate stwory.

Domowiki – stwory, opiekunowie domów.

Dziady – słowiańskie święto zmarłych.

Dziewanna – niepotwierdzona bogini z panteonu Długosza. Pani życia roślin i zwierząt.

Gardzienice – wioska w Województwie Lubelskim, siedziba jednego z najsłynniejszych na świecie teatrów alternatywnych.

Godni – strażnicy dawnej wiary z każdej z historycznych, słowiańskich dzielnic Polski.

Jare Święto – święto wiosenne, wypadające w czas równonocy wiosennej.

Jawia – świat ludzi.

Kupała – święto wypadające w najkrótszą noc w roku. Święto ognia i wody.

Lel i Polel – bliźnięta, legendarni słowiańscy herosi.

Leszy – pół boska, pół demoniczna istota, pan i opiekun lasów.

Miła – stwór, ubożę, na potrzeby powieści potężna demonica, stworzona przez Strzyboga, opiekunka Marka Lichockiego.

Mirmił – stwór, jeden ze strażników wejścia do Nawii. Stoi na straży wejścia w Świątyni Słońca w Nowinach Horynieckich.

Mokosz – bogini płodności, ziemi, dobrobytu i życia.

Nawia – siedziba Welesa, kraina, do której trafiają dusze zmarłych i tam zamieszkują.

Nyja – niepotwierdzony bóg z panteonu Długosza. Na potrzeby powieści bóg śmierci.

Plony – święto przypadające na czas równonocy jesiennej.

Perepłut – bóg lub stwór/demon o nieznannej funkcji. Na potrzeby powieści jeden z najpotężniejszych stworów w Prawii, stworzony przez Siemargła dla ochrony Drzewa Życia.

Perun – jeden z głównych i najpotężniejszych bogów Słowian. Władca piorunów, patron wojowników.

Podebłocie – wioska na granicy województw Lubelskiego i Mazowieckiego, gdzie znajduje się grodzisko słowiańskie. Odnaleziono tam tajemnicze „tabliczki z Podebłocia” – gliniane tabliczki z dotąd nierozszyfrowanym pismem.

Prawia – siedziba Bogów.

Radogost – bóg Słowian Połabskich, czczony w Radogoszczy/Retrze, o nieznanym bliżej funkcjach.

Radogoszcz/Retra – główny gród Wieleckiego plemienia Redarów, w którym znajdowała się świątynia Swaróżyca.

Radowit – stwór, jeden ze strażników wejścia do Nawii. Stoi na straży wejścia na Łysej Górze.

Rod – bóg losu, opiekun rodów. Na potrzeby powieści niewidomy bóg kształtujący losy wszystkiego, co żyje.

Rodzanice – trzy kobiety tkające nić życia każdego człowieka i ustalające jego los.

Rujewit – bóg Słowian Połabskich wyobrażany z siedmioma głowami i siedmioma mieczami, o nieznanym bliżej funkcjach. Podejrzewa się, że

miał u Połabian funkcje wojenne.

Siemargł – bóg wyobrażany pod postacią skrzydlatego psa, o nieznanym funkcjach. Na potrzeby powieści opiekun rodziny, domostwa i Drzewa Życia.

Strzybóg – bóg wiatru, pogody, roznosiciel bogactwa i powodzenia.

Swarożyc – bóg, syn Swaroga, pan ognia.

Swaróg – bóg ognia niebiańskiego, bóg-kowal, stwórczyni słońca i ciał niebieskich.

Szczodre Gody – święto wypadające w czas przesilenia zimowego.

Świętowit (Ojciec Bogów) – bóg Słowian Połabskich, czczony na Arkonie. Na potrzeby powieści ojciec Bogów, stwórczyni wszechrzeczy.

Trojan – bóg o nieznanym funkcji, wzmiankowany w Słowie o wyprawie Igora. Na potrzeby powieści wykreowany, jako bóg zła, chaosu, przeciwieństwo Świętowita.

Trygław – bóg Słowian Połabskich i Pomorzan, wyobrażany jako trójgłowy bóg.

Ubożęta – w wierzeniach dawnych Słowian opiekuńcze duchy domowe, często pochodzące z duchów przodków. W powieści potężne stwory opiekuńcze. Jednym z ubożąt jest Miła.

Upiory – zbiorcza nazwa stworów powstałych z przemienienia zmarłych, najczęściej złe lub szkodliwe. Na potrzeby powieści najpotężniejszymi upiorami są wieszcy, ale są też inne rodzaje upiorów – martwce, wąpierz, upiry.

Weles (Rogaty Pan) – bóg rządzący Nawią, pan zmarłych, strażnik przysięg, bóg magii, bogactwa, kupców, sztuki i rzemiosła.

Wieszcy (Siedmiu) – rodzaj upiorów, w powieści wieszcy to najpotężniejszy rodzaj upiora.

Witek – domownik zamieszkujący dom Lichockich.

Wołyń – obecnie Gródek k. Hrubieszowa. Niegdyś potężny gród plemienia Bużan. Obecnie grodzisko, z zachowanymi pozostałościami potężnych wałów.

Żmijowiska – mały gródek na Lubelszczyźnie, w gminie Wilków, w kotlinie Chodelki, obecnie grodzisko i muzeum z rekonstrukcjami chat, na którym odbywają się rozliczne wydarzenia kulturalne, w tym również religijne – święta rodzimowiercze.

[1] Patrz opowiadanie „Poroniec” opublikowane w antologii „Słowiański horror”, Wydawnictwo Horror Masakra, Sucha Beskidzka 2019

[2] Patrz opowiadanie „Poroniec”

[3] Fibule to ozdobne spinki do szat. Fibula palczasta to jeden z rodzajów fibuli, z wypukłymi wypustkami na półokrągłej główce.

[4] Gerard Labuda – Materiały źródłowe do historii Polski epoki feudalnej: Słowiańszczyzna pierwotna, Warszawa 1954,

[5] Świątynia w Retrze (Radogoszczy) była kiedyś jedną z najważniejszych świątyń Słowian Połabskich. Jak wskazuje Thietmar w swojej kronice, świątynia miała być poświęcona Swarożycowi.

[6] Te inkantacje to tzw. Zaklęcia Merseburskie – dwa średniowieczne zaklęcia, oryginalnie zapisane w języku staro-wysokoniemieckim. Stanowią one jedyne zachowane w tym języku świadectwa niemieckiej kultury pogańskiej. Odkryte w 1841 r. przez G. Waitza w manuskrypcie z Fuldy z IX lub X w. Manuskrypt znajdował się w bibliotece katedralnej w Merseburgu i stąd nazwa. Tutaj przerobione przez autora na potrzeby powieści na słowiańską modłę.

[7] Tabliczki z Podebłocia – tajemnicze gliniane artefakty pokryte znakami interpretowanymi jako pismo, odnalezione podczas wykopalisk na grodzisku we wsi Podebłocie, w gminie Trojanów na południowym wschodzie województwa Mazowieckiego.

# Spis treści

Strona tytułowa  
Strona redakcyjna  
Prolog  
Rozdział I  
Rozdział II  
Rozdział III  
Rozdział IV  
Rozdział V  
Rozdział VI  
Epilog  
Słowniczek